

Campbella Armstronga

KOCERT DUCHÓW

Dzień w dzień, od pierwszego zasiewu, aż do zbiorów, Harry Tennant troszczył się o sadzonki z cierpliwością kogoś, kogo znużyło życie w świecie ludzi. Codziennie szedł w głąb lasu, do miejsca, gdzie znajdowało się jego pole. Z uwagą pochylał się nad swoimi roślinami, ostrożnie odrywał listek albo pączek i rozcierał go w palcach. Zamykał oczy i wdychał żywiczny zapach. Jeżeli był zadowolony, mówił do Isadory — olbrzymiego psa, który zawsze mu towarzyszył. Kiedy coś mu nie odpowiadało, marszczył brwi. Pies, doskonale potrafiący wyczuć niezadowolenie swego pana, posępnie ruszał w stronę domu, instynktownie odnajdując drogę wśród drzew.

Życie Tennanta było całkowicie podporządkowane tym zbiorom. Martwił się każdą, nawet nieznaczną zmianą pogody, która mogła zaszkodzić zasiewom. On sam, podobnie jak roślina, stał się wrażliwy na mrozy, okresy suszy oraz ulewne deszcze, oznaczające zawsze koniec lata w tej

części stanu Nowy Jork.

Właśnie nadeszła taka deszczowa pora. Tennant włożył stary kapelusz z szerokim rondem oraz sztormiak i ruszył swą codzienną trasą przez las, w kierunku pola. Słyszał krople deszczu uderzające w liście drzew. Pomimo wstrętnej mokrej pogody olbrzymi pies wiernie podążał za nim.

Kiedy dotarli na miejsce, Tennanta ogarnęło dziwne przeczucie, że coś jest nie w porządku. Być może zaniepokoił się widząc, że pies biega wkoło, węsząc w poszukiwaniu czegoś niewidzialnego. A może w przygnębienie wprawił go widok roślin przygiętych do ziemi przez ulewę. Wydawały mu się bardzo delikatne. Taka pogoda mogła sprawić, że tracą swoją moc. Co miał robić? Był równie bezsilny wobec tego żywiołu, jak rośliny.

Ruszył z powrotem do domu. Na twarzy czuł przedzierające się przez ścianę drzew silne podmuchy wiatru. Przystanął na chwilę i z niepokojem nasłuchiwał. Wydało mu się, że w szumie deszczu słyszy coś dziwnego, jakby przytłumiony odgłos silnika małego samolotu. Spojrzał na zasnuite chmurami niebo, ale niczego tam nie zauważył. Być może ten dziwny dźwięk był tylko warkotem traktora pracującego na jakimś odległym polu.

Ruszył dalej. Farmerzy nie pracują taką pogodę, myślał. Kiedy wreszcie dotarł do domu, wszedł do kuchni, zdjął kapelusz i płaszcz przeciwdeszczowy. Długo stał wpatrując się w prześwit między drzewami. Mokrymi palcami wyjął papierosa i zapalił go. Niebo nad lasem było szare, niespokojne i tajemnicze, tak jakby kryło w sobie jakieś niewiadome niebezpieczeństwo. Zastanawiał się, ile to już razy stał tak obserwując drzewa i niebo, czując jak narasta w nim niepokój, jak potęguje się wrażenie, że z jego życiem jest coś nie tak. Zawsze zdawało mu się, że

jest o krok od wyjaśnienia tej zagadki. Mało prawdopodobne jednak, aby mógł znaleźć rozwiązanie w szarozielonej kombinacji liści i chmur, której się przyglądał.

Bzdura, pomyślał. Moje życie jest zupełnie normalne i zwyczajne.

Zbudził się w środku nocy. Był w ubraniu. Wciąż jeszcze padało, ale mniej. Wydało mu się, że ciemność nie jest taka jak zwykle. Las dziwnie odmieniony. To wrażenie niepokoiło Tennanta. W sypialni było zimno i wilgotno. Zostawił otwarte okno. Śniło mu się miasto. Może San Francisco. Domy cudacznie kanciaste i przerażające. Na ulicach nie było ludzi. Zewsząd wiało straszliwą pustką.

Harry długo leżał bez ruchu. Na parterze domu skrzypnęła jakaś deska. Pomyślał, że to śpiąca na werandzie Isadora poruszyła się przez sen. Potem dobiegł go odgłos drzwi uderzających cicho o framugę. Pewnie pies wszedł do domu. Często tak robił w nocy.

Harry wstał. Wyszedł z sypialni i spojrzał w dół przechylając się przez poręcz schodów. Było jednak zbyt ciemno, aby mógł cokolwiek zobaczyć. Noc była bezksiężycowa i pochmurna. W powietrzu wciąż jeszcze czuł zapach jajecznicy, którą usmażył sobie na kolację. Serce biło mu równo, prawie jak zegar. Zawołał Isadore. Nic się nie poruszyło. Tennant spodziewał się usłyszeć chociaż lekkie uderzenie ogona o deski podłogi. Położył dłoń na poręczy i zaczął schodzić po stopniach.

Pierwsza latarka błysnęła, kiedy stanął u stóp schodów. Chwilę później zaświeciła kolejna. Tennant stał nieruchomo, oślepiiony strumieniem światła. Dopiero po chwili zdołał dojrzeć błyszczący, ciemny płaszcz, z którego ściekała woda i parę czarnych butów. Zdawało mu się, że poza kręgami światła majaczy mu kształt leżącej w przedpokoju Isadory. Kiedy przyzwyczaił się

do ostrego światła, dostrzegł, że pies miał zamknięte oczy i wysunięty język.

- Harry Tennant - usłyszał jakiś głos. - Jest pan aresztowany.

Założono mu kajdanki i odciągnięto od leżącej bez ruchu Isadory. Wyprowadzono go na stopnie werandy. Krople deszczu kapały mu z dachu na głowę. Psa uśpiono nabojem ze środkiem usypiającym. Dwaj gliniarze, którzy skuli Tennanta stwierdzili, że wystarczyłoby tego na powalenie słonia.

Las za domem ciemniał zupełnie obcy w blasku rzucanym przez trupioniebieskie i jaskrawoczerwone światła wozów policyjnych. Ich błyski rozpraszały mrok. Poza kręgami latarek i reflektorów powstawał niesamowity świat cieni. Tennanta oślepiały snopy światła. Głosy odbijały się echem od ściany drzew. Ilu “strażników prawa i porządku” brało udział w tej akcji? Z hałasu, jaki panował, można było przypuszczać, że około pięćdziesięciu. Absurdalna liczba jak na tak mało znaczącą operację. Ale to mogło być tylko złudzenie. Noc czyniła wszystko większym niż było w rzeczywistości. Nieustannie migające światła latarek dopełniały jeszcze tego wrażenia. Prawdopodobnie było dziesięciu, najwyżej dwunastu ludzi. Pewnie kilku z biura szeryfa okręgu, kilku z policji stanowej i może jeden lub dwóch agentów DEA. Zresztą to nie miało dla Harry’ego żadnego znaczenia. Było mu obojętne jakie mieli naszywki i z jakiego byli wydziału.

Miał wrażenie, że właśnie stało się coś, co od początku było właściwie nieuniknione. Szczęście jest jak struna, jego - właśnie

pękła. Poczul przyływ adrenaliny, ale nie był pewien, czy to strach. Nie do końca zdawał sobie sprawę z tego, co się wokół działo. Czul się raczej jak widz, który obserwuje wszystko z dystansu.

-Co będzie z Isadorą? - zapytał wskazując na psa.

-Będzie miała niezłego kaca - odparł jeden z policjantów.

Tennant przyjrzał się mu. Około pięćdziesiątki, wyglądał na kogoś ogólnie niezadowolonego z życia. Miał zapadnięte policzki i mlecznobiałe pierścienie wokół źrenic.

-Jeżeli się w ogóle obudzi - dorzucił ktoś inny.

-Co to ma znaczyć? - spytał Harry.

-Dostała niezłą dawkę. - Drugi gliniarz był chudy. Tennantowi zdawało się, że już kiedyś go widział. Chyba w miejscowym sklepie, w Sterling Township. - To duża suka. Nic jej nie będzie.

-Lepiej, żeby tak było. Co zamierzacie ze mną zrobić?

-Zaczekamy na szeryfa Grabbe - wyjaśnił młodszy policjant.

-Tak, właśnie tak - potwierdził drugi. - Zaczekamy na szeryfa.

Tennant przypomniał sobie, że chyba parę miesięcy temu widział plakaty wyborcze Jacka Grabbe. Oblepiono nimi słupy w całym okręgu. Nie był jednak całkiem pewny. Zwykle nie obchodziły go polityczne przepychanki. Polityka była dla tych, którzy wkupili się do systemu hasłami typu "Wysłuchajcie głosu ludu". Powinni raczej krzyknąć "Pozwólcie ludziom wybrać między jednym nudziarskim kandydatem, a drugim wcale nie bardziej interesującym". Tennant żył z dala od tego wszystkiego, na marginesie. Ta strefa nie podlegała prawom polityki.

-Właśnie przyjechał - powiadomił wysoki gliniarz.

Szeryf Grabbe szedł między oświetlonymi pniami drzew w kierunku domu. Kroczył dumny i wyprostowany, w sposób charakterystyczny dla niskich mężczyzn. Miał na sobie ciemny garnitur i zwykły płaszcz przeciwdeszczowy. Rzadkie włosy deszcz przykleił mu do czaszki. Wyglądało to tak, jakby dziecko namalowało mu flamastrem na głowie ciemne linie. Zbliżył się do werandy.

-Harry Tennant? - Spojrzał na zakutego w kajdanki. - Czy to pańska ziemia?

Harry potwierdził. Jego głos zabrzmiał dziwnie. Powinien starać się mówić niższym, bardziej stanowczym tonem.

Grabbe machnął mu przed nosem jakąś kartką papieru.

-Nakaz rewizji - wskazał kciukiem w kierunku drzew. - Wygląda na to, że mamy niezłą plantacyjkę trawki. Niech zgadnę, nie ma pan zielonego pojęcia skąd się tutaj wzięła. Mam rację?

Tennant spojrzał na las, wyglądający teraz jak teatr świateł i cieni. Zastanawiał się jak wybrnąć z tego zamętu. Musiał zachować zimną krew.

-Ma pan rację, nie mam zielonego pojęcia - odparł. Starał się, aby zaskoczenie w jego głosie zabrzmiało autentycznie.

-Może to jacyś turyści, którzy tam obozowali, tak przypadkiem rzucili parę nasion, no i proszę. Wyrosło z tego wcale niezłe poletko. - Grabbe uśmiechnął się jak ktoś, kto z góry wie, jaki będzie wynik rozgrywki. - Czy to nie było właśnie tak, Harry?

-Może. Nic o tym nie wiem. Nie chodzę do lasu.

-Reprezentuję w tym okręgu prawo. Harry. Żadnych narkotyków, żadnych ćpunów, żadnych sprzedawców i nielegalnych upraw. Zwyczajnie i po prostu. - Kropla deszczu spłynęła wzdłuż

brwi Grabbe'a. - Będziemy jeszcze musieli obejrzeć sobie to wszystko w dzień. Jak na razie, możemy stwierdzić, że masz tutaj niezłe zbiory. Z dziesięć kilo. Może piętnaście. Cała kupa skrętów. - Stał na palcach i spojrzał Harry'emu w twarz. - Sam to rozprowadzasz, Tennant? Chodzisz po szkołach?

-Nigdy nie sprzedałbym działki dzieciakowi! Nie zrobiłbym tego!

Grabbe wzruszył ramionami i niespodziewanie spojrzał na Harry'ego ze współczuciem.

- Tak między nami, osobiście nie widzę nic złego w tym, że ktoś sobie od czasu do czasu zapali skręta. Wiele osób pali trawkę i jakoś nic im się od tego nie dzieje. Mają tylko czerwone oczy i duży apetyt. To nie to, co uzależnienie od koki czy alkoholizm. Amatorzy trawki nie wsiądą pijani za kierownicę i nie rozwalą jakiegoś przechodnia. Ale to nie ma żadnego znaczenia. Wpadłeś w gówno, Harry. Sędzia Stakowski nie podziela mojej opinii na temat trawki. Stak twierdzi, że takich jak ty powinno się obdzierać ze skóry, patroszyć, a potem piec na wolnym ogniu.

^ - Zanim mnie upieczecie, chcę mieć adwokata - stwierdził

Tennant sucho. Stak. Ten poufały skrót mówił bardzo wiele. Prawo w tym małym miasteczku, to klika oficerów i sędziów. Prywatny klubik, potajemne ugody i szeptane umowy.

- Nie martw się, będziesz go miał.

- Kiedy?

- Niedługo.

- Co to znaczy niedługo? - spytał Tennant. - Za godzinę? Za dzień?

Grabbe zignorował pytanie Harry'ego. Zwrócił się do dwóch policjantów.

- Zabierzcie go i zamknijcie. Tylko dokładnie.

Zamknijcie. A więc tak to się kończyło. Tennant poczuł zimny dreszcz. Myśl o tym, że zostanie zamknięty w małej celi napełniała go przerażeniem. Zgrzyt zamków, dzwoniące pęki kluczy, styropianowe talerze, plastikowe łyżki, siorbanie. Szepty w ciemnościach, pojękiwania śpiących ludzi. Nie. Nigdy. Małe przestrzenie sprzyjają koszmarom. Śnią się tam przerażające sny. Harry bał się szaleństwa, bał się bezkresnych przestrzeni swego umysłu, wewnętrznych niezbadanych i dzikich ścieżek. Czuł jak w jego czaszce rośnie ciśnienie, chęć ucieczki, wyzwolenia się. Nie da się zamknąć w jakiejś okropnej celi, nie da odciąć sobie powietrza. Zdawało mu się, że skądś już to zna. Zamknięte przestrzenie, małe okna. Spacery od ściany do ściany, liczenie kroków tylko po to, żeby odkryć, że wciąż jest ich tyle samo.

Jeżeli wcześniej nie był tego pewien, teraz wiedział to bez żadnych wątpliwości. Bał się.

Policjanci sprowadzili go ze schodów. Błotnista ziemia przyklejała mu się do butów. Próbował stawiać opór, nie chciał iść. Wtedy jeden z policjantów śmiejąc się złośliwie, uderzył go pięścią w kręgosłup. Tennant padł na kolana z pochyloną do przodu głową. Poczłł kolejne uderzenie, tym razem w szyję. Szybki, mocny cios. Ból rozdarł mu mózg. Ktoś brutalnie go podniósł i pchnął na maskę wozu policyjnego. Harry'emu zdawało się, że nagle dom przechylił się gwałtownie w jedną stronę. Szum deszczu głucho dźwięczał mu w uszach. Tennant nie miał pojęcia, co się wokół niego dzieje. Człł tylko ból. Nie mógł oddychać.

-A teraz się zachowuj, Harry - rzucił ktoś z boku.

Wsadzono go do wozu patrolowego. Kajdanki wrzynały mu się w skórę.

- Sędzia Stakowski - powiedział gliniarz z wklęsłymi policzkami, który usiadł teraz za kierownicą.

-Uaa! - dorzucił jego młodszy towarzysz.

Skąd ten entuzjizm w ich głosach? Czy Stakowski był dla nich jakimś bohaterem? Czy był kimś, kogo podziwiali? A może chcieli tylko bardziej zdenerwować Harry'ego, dać mu do zrozumienia, że stanie przed sędzią, który takich jak on od razu wieszka? Gliniarze mają różne zagrania żeby udupić człowieka, tylko ty nigdy nie wiesz jakie są reguły rozgrywek i czy to w ogóle jest gra.

Cisza i deszcz. Czarny płaszcz przeciwdeszczowy połyskiwał w świetle reflektorów. Gdzieś od strony ciemnych pól wiatr przywiał zapach cebuli. Tu i tam bladoniebieskie światła wyławiały z mroku kolejne wozy. Nie opodal stał zardzewiały traktor i stara dziecięca huśtawka. Jakiś

mężczyzna na werandzie palił papierosa. Obraz klęski, pomyślał Tennant. Przeklętej klęski.

Jego własnej klęski.

Sądził, że zawiozą go bezpośrednio do aresztu w Oswego, ale samochód skręcił w nie znaną mu drogę. Zaniepokojony Tennant bezskutecznie usiłował dojrzeć coś w ciemnościach. Ogarnęło go niejasne przeczucie, że grozi mu jakieś trudne do wytłumaczenia niebezpieczeństwo. W świetle samochodowych reflektorów widział tylko ciągnące się wzdłuż drogi, jednostajne płaszczyzny pól. Niebo było bezgwiazdne.

-Dokąd mnie wieziecie? - zapytał.

Żaden z policjantów nie odpowiedział od razu. Niepokój Harry'ego wzrósł. Mogli go przecież wywieźć na jakieś pustkowie i strzelić mu w tył głowy. Oczywiście, proste, przemyślane. Kto by za nim tęsknił? Gdyby ktokolwiek chciał się kiedyś dowiedzieć co się stało, odpowiedź była jasna: zastrzelony przy próbie ucieczki. Czyż nie tak właśnie działo się w wielu małych okręgach, gdzie oficerowie byli po prostu bandziorami z licencją? Doskonały sposób na

odciążenie systemu prawnego. Ludzie znikali w tajemniczych okolicznościach, a po latach odnajdywano niemożliwe do zidentyfikowania szczątki. Nikogo to nie obchodziło. Zresztą, komu chciałoby się zajmować jakimś starym szkieletem?

Harry powtórzył pytanie.

Odpowiedział mu młodszy policjant.

-Ty tam z tyłu cicho siedź, chyba że masz ochotę na jeszcze jedną porcję “douczania”.

-Dlaczego nie jedziemy prosto do Oswego?

-Jedziemy inną drogą. Chyba nie masz nic przeciwko temu?

-A dokąd prowadzi ta inna droga?

-Do cholernego więzienia, Tennant, a ty myślałeś, że dokąd? - zirytował się gliniarz z przekrwionymi oczami.

-Myślę, że chcecie objechać cały stan, żeby mnie bardziej zdenerwować.

-Facet ma jakieś zwidy, nie? - rzucił w stronę kolegi starszy gliniarz. - Pewnie wypalił za dużo własnych plonów.

Policjanci zaśmiali się. Zaczęło mocniej padać. Guma wycieraczek z piskiem przesuwiała się po przedniej szybie. Harry’emu dźwięczał w uszach śmiech obu mężczyzn, raz cichy i mrukliwy, to znów wysoki i piskliwy, przypominający odgłos wycieraczek. Noc wypełniona była po brzegi przemocą i szaleństwem. Tennant dziwił się, że dźwięk ludzkiego głosu mógł aż w takim stopniu przypominać odgłos jaki wydawał mechanizm.

Próbował zapomnieć o bólu. Zamknął oczy i wsłuchując się w bębniący o dach wozu deszcz,

wyobrażał sobie mokre nietoperze na krótko pojawiające się w świetle reflektorów samochodu, by po chwili zniknąć w ciemnościach. Policjanci przestali się śmiać. Młodszy wyglądał przez boczną szybę i gwizdał melodię “Pennies From Heaven”. Harry miał wrażenie, że mężczyźni zapomnieli o jego istnieniu, tak jak zapomina się o starym dowcipie, którego nie warto powtarzać. Tennant przestał się interesować tym, dokąd zmierzali. Był więźniem. Policjanci mogli odpowiadać na jego pytania albo je ignorować, zależnie od tego, na co akurat mieli ochotę. Mogli nawet przystawić mu do głowy lufę pistoletu... Wystarczyłaby jedna kula. Zostałby na polu, w strugach de-

Strach Tennanta rósł. Pająk, przął mu w mózgu sieć. Jakiś surrealistyczny wzór, nieskończony i złożony.

Uspokój się. Szukaj centrum. Znajdź spokojne oko cyklonu. Skąd w zakamarkach jego umysłu wziął się fen szept.’ Przypadkowe spięcie w neuronach? Był przemęczony, to wszystko.

Harry zaczął się wiercić. Burczało mu w brzuchu i zdrętwiały mu nogi. Prawie ich nie czuł. Miał ponad sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu i ważył około stu kilogramów, a na tylnym siedzeniu policyjnego wozu trudno było o spokojne centrum czegokolwiek, zwłaszcza że ból nie pozwalał mu się skupić.

Samochód skręcił raz i drugi. Przy drodze mignęła zielona tablica, ale zniknęła zanim Harry zdążył odczytać nazwę. Nie wiedział skąd brało się dziwne przeświadczenie, że zna tę okolice. Może samochód “odnalazł” właściwą drogę. Wjechali między jakieś domy. Otoczyły ich wiktoriańskie kamienice, których wąskie, ciemne i strome klatki schodowe zdawały się prowadzić aż na poddasze nieba. Te nieruchome bryły w jakiś niewytłumaczalny sposób

przywróciły mu spokój. Powoli mijało uczucie paniki. Był jak wzburzona woda, która uspokaja się, gdy przestaje wiać wiatr. Wiedział jednak, że bezwietrzna pogoda nie trwa wiecznie.

Byli w Oswego. Jak spod ziemi wyrastały przed nimi przedmieścia. Blade światła lamp, spokojne ulice, nieczynne nocą tawerny. Niebieski owal znaku Genesee Cream Ale kołysał się w jednym z okien. Pod drzewem, w pobliżu torów kolejowych stała jakaś para. Przez moment, w świetle reflektorów dostrzegli zaskoczoną, białą twarz mężczyzny i otwarte usta kobiety.

- Pojechaliśmy na skróty, Harry - stwierdził starszy gliniarz, - Zaskoczyliśmy cię, ha?
- Nieżyły z ciebie nerwus - dodał młodszy.

Tennant myślał o mapach - zaznaczone sieci dróg, niebieskie jeziora i linie rzek. Ulga jaką poczuł, była większa niż podziw dla kierowcy, który wśród tej plątaniny dróg zdołał znaleźć Oswego. Dla obcego tutejsze drogi mogły się stać labiryntem nie do przebrnięcia. Tennant, po dziewięciu latach, spędzonych w swoim lesie, niewiele wiedział o okolicznych terenach.

Przypomniało mu się, iż jeszcze kilka chwil temu był przekonany, że gliniarze wyprowadzą go gdzieś w pole i rozwalą mu czaszkę.

Było to w pewnym sensie zabawne, jeżeli ktoś umiał na to spojrzeć z dystansu.

Wóz zatrzymał się przed Ratuszem. W podziemiach znajdowało się stanowe więzienie. Paniczny strach, który na chwilę opuścił Harry'ego, znowu powracał. Więzienie, jak by na nie nie patrzeć, nie było zabawne.

W celi śmierdziało tanim środkiem do dezynfekcji, Harry był sam. Siedział na wąskim łóżku i gapił się na ścianę. Pokrywały ją rysunki i napisy, większość zdążyła już wyblaknąć albo została zamazana. Jakieś hasła, obsceniczne dowcipy, gdzieś czytelne pojedyncze słowa.

Nie miał pojęcia, ile czasu siedział już w tej celi. Godzinę, dwie? Nie miał zegarka. Kiedy wreszcie będzie mógł zadzwonić do jakiegoś adwokata? Wiedział, że każda władza uwielbiała pastwić się nad swoimi ofiarami. Sekrety i przemilczenia były na porządku dziennym. Ci, którzy trafili w krąg takich mistyfikacji, żyli jakby byli zanurzeni w ciemnej cieczy. Nic nie wiedzieli i nie słyszeli. Czekali zawieszeni w pustce,

Tennant bał się zamknąć oczy. Nie chciał odcinać się od świata, zamykać w sanktuarium swych myśli. Nie miał ochoty błąkać się po zakamarkach swego mózgu. Próbował skoncentrować się na ścianach. Autorzy niektórych napisów chyba niezbyt dobrze znali angielski. Słowa tworzyły dziwaczne połączenia:

DIPSHIT BLACKBIRD CHUCKEE Harry przez chwilę zastanawiał się, czy te słowa nie miały jakiegoś głębszego sensu. Wiedział, że takie poszukiwania ukrytego znaczenia mogły okazać się niebezpieczne. Wystarczyło wpatrywać się w coś wystarczająco długo, aby zobaczyć niemal wszystko.

Tennant zaczął chodzić po celi. Krąg ścian zacieśniał się wokół niego. Miał wrażenie, że za chwilę zacznie się dusić. Przypomniała mu się Isadora. Czy wciąż jeszcze była nieprzytomna? Może środek usypiający przestał już działać i teraz dezorientowany i na wpół przytomny pies błąkał się po pustym i ciemnym domu. Harry zacisnął pięści. Ciasne pomieszczenia zawsze wywoływały u niego podobne uczucie gniewu i bezsilności. Chciał wyjść na zewnątrz, zobaczyć się z adwokatem i wyjść za kaucją. Podeszedł do drzwi i zaczął w nie walić pięściami. Krzyknął.

Żadnej reakcji. Cisza.

Znowu usiadł. Starał się nie myśleć. Zdrzemnął się na chwilę. Kiedy otworzył oczy zobaczył pochyłającego się nad nim mężczyznę.

- Harry? Nazywam się Frank Rozak, Jestem adwokatem. Tennant miał sucho w ustach.

- Czyim adwokatem?

- Twoim, jeżeli oczywiście będziesz chciał.

- Ale ja do nikogo nie dzwoniłem. Nawet pana nie znam.

- Zawsze wiem co i kiedy w trawie piszczy. Powiedzmy, że do tych spraw mam szósty zmysł.

Poza tym jestem w tym mieście jedynym prawnikiem, który cierpi na bezsenność. Nazywają mnie nawet Wampirem. Dowiedziałem się, że cię zapuszkowali i pomyślałem, że mógłbym polecić swe usługi. Jeżeli będziesz chciał kogoś innego, nie pogniewam się.

- Nikogo innego nie znam.

- Mogłeś po prostu wziąć książkę telefoniczną i znaleźć jakiegoś adwokata.

- Nawet nie widziałem telefonu - powiedział Tennant. - Zdawało mi się, że mam prawo

zadzwoń, ale jakoś nikt o tym nie pamiętał.

- Te gburowate wieśniaki zwykle zapominają o dobrych manierach - uprzejmie stwierdził Rozak. - Jeżeli chcesz skorzystać ze swego prawa, dopilnuję tego.

Tennant pokręcił głową. To i tak nie miało już znaczenia. Co miałyby zrobić? Wybrać jakiegoś prawnika z książki telefonicznej? Nie miał ochoty na taką loterię. Dokładniej przyjrzał się Rozakowi. Siwowłosa, po pięćdziesiątce, z czerwonymi kręgami pod oczami i wypchanymi kieszeniami, które pomieściłyby cały arsenał notatek. Jego dłonie były czerwone i powykrzywiane przez reumatyzm. Miał brzydko opuchnięte kostki palców.

- Ten telefon to nie wszystko - dodał Tennant. - Zostałem pobity i nie przeczytano mi moich praw.

- A to gbury. Jestem wstrząśnięty, Harry. - Rozak zaśmiał się chrapliwie. - Niestety, to nic nie znaczy. Powiedzą, że stawiałeś

opór i że musieli cię trochę przekonać. Poza tym będą utrzymywali, że przeczytali ci twoje prawa. I o znany wszystkim sędziom numer. Zatrzymany twierdzi, że nie przeczytano mu jego praw. I o me telewizja, Harry. Zapomnij o tych bzdurach. J rzeba się zastanowię., czy nie ma jakiegoś bardziej realnego sposobu wyciągnięcia cię stąd. Kozak popatrzył na zegarek. Jest pięć rano O dziesiątę) staniesz przed sędzią Stakowskim. Wynegocjujemy jakąś kaucję.

Jaką?

Ile masz, liany?

To znaczy?

No, jaka jest rynkowa wartość tego towaru, który miałeś u siebie?

Sześćdziesiąt, siedemdziesiąt., może więcej.

Według mnie kaucję ustali gdzieś na dwadzieścia tysięcy. Czy miałeś już wcześniej kłopoty z władzami? Jakies poważniejsze wyskoki?

Nie.

Nie brzmi to zbyt przekonująco, Harry, Tennant spojrział na Kozaka.

Nic takiego nie pamiętam powiedział.

Jeżeli chcesz, żebym cię bronił, to muszę wiedzieć wszystko. Nie możesz nic przede mną ukrywać. Żadnych niedomówień, Ja tylko tak to rozgrywam. Kozak wyjął z kieszeni jakąś buteleczkę z lekarstwem i połknął brązową kapsułkę. I o środek przeciwbólowy wyjaśnił.

Przypominam sobie, że kiedyś byłem oskarżony o handel, czy coś w tym rodzaju. Kto by

pamiętał takie rzeczy?

Kozak uśmiechnął się.

Żadnych niespodzianek. Nic chciałbym dopiero na sali sądowej dowiedzieć się, że byłeś już wcześniej aresztowany. Wiesz o co mi chodzi?

Tennant potwierdził. Nic pamiętał dokładnie, o co był wtedy oskarżony. Pamięć, banalne sprawy. Zwyczajność była dla Tennan- ta czarną magią.

i jeszcze coś dorzucił Kozak. Tutejszy prokurator to cholernie dociekliwa larwa. Nazywa się Flitt. Jeżeli akurat będzie dokuczał mu wrzód, co się ostatnio często zdarza, to czeka nas pizeprawa z jego kolcami. Kantem, który jak dotąd jcn/xv.c nic zdołał dowieść, /<■ posiada coś. co zwiemy inteligencją Osobiście wolałbym Kanta < zy masz jakieś pytania⁷

Skąd wiedzieli o polu?

A jak myślisz? Ktoś cię wsypał. Widziałem nakaz rewi/ji.

K to to mógł być?

Czy to ważne? Wystarczył jakiś anonimowy telefon, liany. Któryś z gliniarzy to sprawdził, znalazł towar, wydano nakaz i załatwione.

Anonimowy telefon, pomyślał fennant Informator, jukii durh w te.iie. Może kio.i zauważył polu z przelatujurego nisko \umolotu? A może to był jakii przypadkowy spacerowicz/

J o co! Chcesz, żebym cię bronił, Harry?

Może być kiwnął głową I ennant.

Do diabła, jeszcze nie miałem tak entuzjastycznie nastawione go klienta zadrwił Kozak. Uścisnąłbym ci dłoń. ale tak sic złożyło, że dotyk budź/ we mnie wstręt. Prawnik przeszedł w

przeciwny kąt cii. Wyglądał, jakby się nad czymś zastanawiał. Nie obchodzi mnie to, że jesteś winny jak cholera, Harry. Mam udowodnić, że nic miałeś nic wspólnego z, tamtym polem. Muszę więc mieć pełne dane: jak żyjesz, ile zarabiasz i takie tam różne bzdury. Musimy dowieść, że nic musiałeś zarabiać sprzedając to świństwo.

Jak żyje. Iego właściwie nic wiedział on sam. Miał tylko to pole, to wszystko. To było całe jego życie.

Zrozum, oskarżenie ma silny argument. Nic mogłeś przecież żyć samym powietrzem. Muszę wiedzieć cokolwiek o twoich źródłach zarobków.

Postaram się zrobić co w mojej mocy - powiedział Tennant, chociaż zupełnie nie wiedział, co. Nic miał żadnego konta w banku, żadnych oszczędności, nie odziedziczył żadnego spadku. Musiał coś wymyślić.

Chciałbym też dowiedzieć się czegoś więcej o tobie. Masz rodzinę, znajomych, kogoś, kto mógłby za tobą świadczyć?

Rodzina, znajomi. To wszystko tworzyło sieć, która określała tożsamość człowieka, ale jak miał rozplątać poszczególne sznurki tej sieci? Tennant patrzył na Kozaka z takim zdziwieniem, jakby ten zadał mu pytanie w nieznanym języku.

k

- Coś nie w porządku, Harry? ~ spytał Rozak. - Chyba masz gdzieś rodzinę, matkę, ojca? Może braci albo siostry?

Tennant poczuł, że jest mu zimno. Miał przemoczone buty i skarpetki. Wstrząsały nim dreszcze.

- Moja matka nie żyje. Nie mam żadnych braci ani sióstr.

- A ojciec?

Tennant zawahał się.

- Co ojciec?

- Czy żyje?

Czy żyje? Harry wzruszył ramionami.

- Chyba tak.

- Chyba? - Rozak przysiadł na brzegu łóżka.

- Od dawna nie utrzymujemy ze sobą kontaktów.

- Jakaś kłótnia? Zdarza się. Synowie i ojcowie zwykle nie zgadzają się ze sobą.

- No tak.

- Podaj mi jego adres, to się z nim skontaktuję. Gdzie on mieszka?

- Gdzieś w Waszyngtonie - odparł Tennant. Wszystko wydawało mu się jakieś mgliste i niewyraźne. Nie mógł niczego sobie przypomnieć dokładnie. Nawet wspomnienie twarzy ojca dziwnie się rozmazywało. Kiedy to ostatni raz myślał o Raylandzie Tennan- cie? - Nie chcę go w

to mieszać. Nie musisz go odszukiwać.

Rozak westchnął.

- Dobra, jeżeli tego chcesz, Harry, to tak będzie, ale musisz mi podać nazwisko kogoś, kto zaświadczy, że jesteś święty. Jakiś znajomy ksiądz, a może lekarz?

- Nie znam nikogo takiego.

- Dobrze, nie należysz do tych religijnych. Ja też jestem zatwardziałym ateistą i jakoś jeszcze nie trafił mnie żaden piorun, ale lekarza to chyba masz. Każdy ma jakiegoś. Podaj mi nazwisko kogoś, kto cię kiedyś leczył, nawet jeżeli było to tylko zapalenie migdałków.

Tennant zamknął oczy i oparł się o ścianę. Pamiętał tylko jakiegoś faceta w marynarce w pepitkę. Mógł to być lekarz. Harry nie pamiętał nic więcej.

- Chyba jako dziecko chodziłem do jakiegoś lekarza, ale nie pamiętam, jak się nazywał. - Harry spojrzał na Rozaka.

Prawnik poklepał go po kolanie.

Hej, uspokój się.

- Nie mogę.

- Niepotrzebnie się denerwujesz.

Nie chcę trafić do więzienia.

Frank Rozak wstał. Strzyknęło mu w kościach. Zaczął chodzić po celi. Zastanawiał się nad czymś. Przyglądał się rysunkom pokrywającym ściany. Może chciał rozszyfrować znaczenie zamazanych słów.

- Będę z tobą szczery, Harry - powiedział nagle. Zapomnij

owięzieniu. Tam na pewno nie trafisz.

- Skąd ta pewność?

Rozak uśmiechnął się szczerze. Nie mógł udawać. Nie wyglądał na kogoś, kto wciska ludziom kit.

- Trudno mi to wytłumaczyć, Harry. Po prostu zaufaj mi. Będzie dobrze. Nie mam co do tego wątpliwości. Możesz się nie przejmować tą całą sprawą. Damy sobie radę ze wszystkimi zarzutami. Będziesz mógł sobie spokojnie wrócić do swego domku w lesie, wolny jak ptak.

- Naprawdę nie wiem, jak możesz być tak tego pewny - powiedział Tennant. - Pewnie wiesz coś, o czym ja nie mam pojęcia.

Rozak wzruszył ramionami.

- Za to mi płacą, żebym wiedział różne rzeczy. - Nagły szyderczy błysk w jego oczach zadziwił Harry'ego. - Rób tylko, co ci mówię, a będzie dobrze.

- A co zrobisz, jeżeli ten cały Flitt będzie miał odmienne niż ty zdanie na temat tej sprawy? - spytał Harry. - Jeżeli będzie coś na mnie miał?

- Najpierw będzie musiał to coś znaleźć.

- To znaczy?

Frank Rozak zamrugnął powiekami.

- Odpocznij sobie, Harry.

- Zaczekaj - poprosił Tennant. Podniósł się z łóżka.

Rozak wyszedł już z celi. Drzwi zamknęły się za nim z trzaskiem. Tennant usłyszał dźwięk przekręcanego w zamku klucza. Znowu usiadł na łóżku. Zaczął zastanawiać się nad tym, co

powiedział mu Rozak. Kim w ogóle był ten człowiek? Czy był w stanie przejechać olbrzymim spychaczem przez niewielkie luki prawne? A może chciał

tylko przygotować Harry'ego na to, co go czeka, wzmocnić jego wiarę, która w tak śmiertelnie czarną noc jak ta, ulatniała się?

Tennant siedział zdezorientowany. Wsłuchiwał się w ciszę panującą w celi. Pomyślał, że powinien był poprosić Rozaka, by zajął się jego psem. Niestety, Rozak już wyszedł. Harry mógł jedynie czekać.

O dziesiątej Tennant stanął przed sędzią Stakowskim. Franka Rozaka nie było jeszcze w sądzie. Harry siedział sam i zastanawiał się, co mogło zatrzymać jego adwokata. Sala sądowa była ciemna i po staroświecku urządzona. Przy wejściach stali umundurowani policjanci. W ławkach siedział jakiś dziennikarz i dwóch, czy trzech widzów.

Stakowski był niewysokim mężczyzną. Prawie ginał w swojej todze. Kiedy wspinał się na fotel, wyglądał jak bezkształtny, atramentowy kleks. Jego strój falował poruszany jakimiś prądami powietrza. Dopiero kiedy usiadł, prawdopodobnie na stosie poduszek, spomiędzy fałd ubrania ukazała się jego głowa. Z powagą rozejrzał się po sali. Przypominał trochę księdza, który sprawdza czy wszystko gotowe do mszy. Czy dobrze wywoskowano ławki i wyczyszczono witraże? Czy wszystko odpowiednio przygotowano do gry, jaka miała się za chwilę rozpocząć? Jeżeli tak, to zostało się tylko pomodlić. Na swój ponury sposób Stakowski uznał, że niema się do czego przyczepić. Dał znak, aby zaczynać pierwszą z zaplanowanych na ten dzień rozpraw. Miał zaskakująco głęboki głos jak na tak niewielkiego człowieczka.

- Kto reprezentuje pana Tennanta? - zapytał.

Tennant wstał.

- Mój adwokat jeszcze nie przybył.

Sędzia zmarszczył brwi.

- Jak się nazywa pański adwokat, panie Tennant?

- Frank Rozak.

- Rozak? - upewnił się Stakowski. Popatrzył na prokuratora. - Czy zna pan kogoś o tym nazwisku, panie Kant?

Kant pokręcił głową.

- Nie, Wysoki Sądzie.

Sędzia znowu zwrócił się do Tennanta.

Kiedy wyznaczył go pan na swego obrońcę?

Przyszedł nad ranem do mojej celi.

I zaproponował, że podejmie się pana obrony?

'lak.

Sędzia milczał przez chwilę.

Czy Frank Rozak pochodzi z tych okolic, czy też jest z jakiejś innej miejscowości?

Tennant patrząc w stronę drzwi odparł:

- Mówił mi, że mieszka tutaj.

- Dziwne - stwierdził Stakowski. - Znam tutaj wszystkich prawników, panie Tennant, ale nigdy nie słyszałem o kimś nazwiskiem Rozak.

W głowie Tennanta kłębiły się myśli. Wszystko się za chwilę wyjaśni. Zobaczą, że zaszła jakaś pomyłka. Dlaczego Rozaka jeszcze nie było? Czy ten człowiek był tylko wytworem jego zmęczo-

nej wyobraźni? Nie. On był rzeczywisty. Z całą pewnością. Wszystko w nim było autentyczne od jego spuchniętych, czerwonych dłoni i szerokiego uśmiechu, aż po niesamowitą aurę pewności, jaką roztaczał wokół siebie.

- Może pomylił pan nazwiska?

- Możliwe.

Sędzia spojrział na zegarek i zastukał palcami w blat stołu.

- Czy zostawił panu jakąś wizytówkę, numer telefonu?

Tennant zaprzeczył.

- Powiedział tylko, że nazywa się Frank Rozak. Nie prosiłem go o żaden dokument.

Stakowski powiedział coś cicho do jednego z umundurowanych policjantów. Tennant nie słyszał, co mówił. Sędzia skończył i przyjrzał się Harry'emu z uwagą.

- Panie Tennant, z tego, co wiem, nie zarejestrowano żadnych odwiedzin w pańskiej celi.

Gdyby miał pan jakiegoś gościa, jego nazwisko znalazłoby się w rejestrze.

- Być może te odwiedziny zostały... przeoczone - powiedział cierpko Tennant.

- A może były tylko urojeniem?

- Urojeniem?

Stakowski nie zwrócił uwagi na zdziwienie Tennanta.

- Skoro tak się sprawy mają, dostanie pan obrońcę z urzędu. Przynajmniej do czasu, kiedy pan Rozak zdecyduje się pojawić.

Zdezorientowany i przerażony Tennant usiłował tłumaczyć, że pewnie Rozaka coś zatrzymało, że lada chwila przybędzie, że to tylko kwestia kilku minut, ale procedura prawna już toczyła się własnym torem, jak cyrk, który daje popis tylko dla własnych clownów i akrobatów. Harry się nie liczył. Mały, łysy mężczyzna w brązowej marynarce, niejaki Harcourt McKay, został wyznaczony na jego obrońcę z urzędu. Większa część rozmowy odbywała się przy ławie sędziowskiej. McKay, Kant i Stakowski konferowali o czymś cicho. Tennant, rozczarowany i przygnębiony, usiadł. Rozak po prostu zniknął, a przedstawienie toczyło się dalej.

Tennant nie do końca zdawał sobie sprawę ze znaczenia słów. Jak przez mgłę docierało do niego, że ustalana jest wysokość kaucji. Padały różne propozycje. Harry miał wrażenie, jakby był eksponatem na aukcji. Czekał na uderzenie młotka - koniec licytacji. Sędzia uznał, że dom i ziemia Tennanta są dostateczną gwarancją kaucji. Kant, który nigdy nie wiedział jak skończyć dopiero co rozpoczęte zdanie, bąknął coś o wiarygodności oskarżonego. Bla bla bla, narkotyki. Bla bla bla, poważna sprawa. McKay stwierdził, że potrzebuje czasu na przestudiowanie sprawy swego klienta i zapoznanie się ze stawianymi mu zarzutami.

Sędzia Stakowski miał już chyba dosyć całej tej sprawy z tajemniczym zniknięciem Rozaka. Zakłóciło normalny przebieg postępowania sądowego. Ustalono termin rozprawy wstępnej. Miała się odbyć za sześć tygodni. Tennant miał zakaz opuszczania stanu bez wcześniejszego powiadomienia władz. Musiał stawić się w sądzie w wyznaczonym dniu, o określonej godzinie.

Podpisano jakieś papiery i Harry razem z McKayem wyszli z sądu.

Tennant mrugał szybko powiekami oślepiiony jasnym światłem poranka. Rozejrzał się po Bridge Street. Ponure centrum Oswego nie należało do najprzyjemniejszych miejsc na świecie. Z boku dochodził szum rzeki Oswego, wpadającej do jeziora Ontario. W powietrzu unosił się zapach świeżo usmażonych pączków.

- Kim do cholery jest ten Rozak? - spytał Tennant.

Harcourt McKay wzruszył ramionami.

- Może to jakiś dowcipniś. Niektórzy tacy są. Lubią udawać kogoś, kim naprawdę nie są. To pewnie jest jakiś sposób zaspokojenia ambicji.

- Niezły mi dowcip - zauważył Tennant. - Wyglądało, że facet zna się na rzeczy. Nawet wspomniał coś o Kancie. Mówił też, że zna prokuratora okręgowego, Flitta. Był naprawdę przekonujący.

Harcourt McKay zgarbił się i opuścił nisko głowę, wciągając ją między ramiona.

- Nie jestem psychologiem, Harry. Kto wie, skąd się biorą takie typy. Wyobraża sobie, że jest prawnikiem, no i umie nabierać ludzi. Na twoim miejscu przestałbym się zajmować tym Rozakiem, a zająłbym się raczej własnymi problemami.

Własne problemy. Perspektywa więzienia. Harry nie mógł przestać myśleć o Rozaku. Dokładnie pamiętał wszystkie najdrobniejsze szczegóły. Nawet brązową kapsułkę ze środkiem przeciwbólowym. Wciąż jeszcze w uszach dźwięczał mu głos Rozaka.

Co to była za gra? Czy Rozak był jakimś cholernym czubkiem, który chciał go zwyczajnie nabrać? Niemożliwe. Zwykły nabieracz nie mógł być aż tak przekonujący. Rozak wydał mu się

uczciwy. Poza tym ta jego pewność, że sprawa Harry'ego zakończy się pomyślnie... Może rzeczywiście trochę za duża. Tennant nie potrafił się w tym wszystkim pozbierać.

Może McKay miał rację. Świat jest przecież pełen dziwaków, a Rozak mógł być jednym z nich.

- Musimy obgadać pewne kwestie, Harry - powiedział McKay. - Dzisiaj mam cały dzień zajęty, tak więc spotkać się możemy dopiero jutro. W południe, w moim biurze. Chcesz, żebym podrzucił cię teraz do domu?

Tennant nie skorzystał z propozycji McKaya. Powiedział, że złapie jakąś okazję do Sterling. Zresztą, miał ochotę się przejść, przemyśleć parę rzeczy, zapomnieć o ciasnej celi.

McKay wręczył mu wizytówkę.

-Jutro w południe. Do zobaczenia.

-Jeszcze jedno, nie wytrzymam w więzieniu, nie mogę tam trafić.

-Kto mówił cokolwiek o więzieniu? - McKay znowu wtulił głowę w ramiona. Uśmiechnął się krzywo na pożegnanie i odszedł w stronę swego samochodu, starego, czerwonego buicka.

Tennant patrzył jak prawnik odjeżdża, a potem ruszył wzdłuż Bridge Street w kierunku uniwersytetu. Sądził, że tam łatwiej złapie jakąś okazję. Obojętnie przechodził obok sklepów i barów.

Poranne powietrze było wilgotne i nieprzyjemne. W końcu kierowca starego dodge'a zgodził się go kawałek podrzucić. Harry wysiadł około dwóch mil od swego domku. Starał się iść szybko. Martwił się o psa.

Nie przeszedł chyba nawet mili. kiedy zatrzymał się przy nim błyszczący, czerwony cadillac. Siedząca za kierownicą dziewczyna opuściła szybę.

-Przepraszani pana bardzo, szukam Harry'ego Tennanta, podobno mieszka gdzieś w tej okolicy.

Przez dziewięć lat Tennant żył w spokojnym, zielonym świecie. w swoim nankrocosmosie. gdzie jedynym jego zajęciem była uprawa haszyszu. Miał niewielki, drewniany doniek wśród drzew i skrzynkę na listy przy końcu błotnistej drogi. Rzadko dostawał jakąś pocztę. Przychodziły do niego tylko zawiadomienia zaadresowane „Do użytkownika”. Rachunków dostawał niewiele. Nie miał telefonu, a prąd czerpał z własnego generatora. Czasami, kiedy musiał uzupełnić zapasy, wsiadał w furgonetkę i jechał do sklepu spożywczego w Sterling. Nie znał właściciela sklepu. Nic nie znał nawet nazwisk swoich najbliższych sąsiadów. Żył w izolacji od świata zewnętrznego. Jego życie miało swój dziwny, ale regularny rytm. Aż do tego dnia.

Aż do chwili, kiedy zjawiała się ta obca dziewczyna w czerwonym cadillacu.

Była niska i szczupła. Ciemnowłosa. Miała krótką, nieco chłopięcą fryzurę z przedziałkiem

pośrodku. Ubrana była w czarne dżinsy i luźny sweter. W lewym uchu miała srebrne koło. Tennant zwrócił uwagę na wyraz twarzy dziewczyny. Taka twarz zrobiłaby chyba wrażenie na każdym. Wspaniałe oczy. Wielkie i smutne, tak jakby ich właścicielka widziała wiele okropieństw, które zapadły jej głęboko w pamięć.

- Dlaczego chce się pani widzieć z H ar ym Tennantem?
- Muszę z nim porozmawiać.
- O czyni?

Dziewczyna uśmiechnęła się.

- Czy jest pan jego sekretarzem? - spytała otwierając drzwi samochodu. Tennant zauważył, że na nogach miała stare tenisówki.

Przechyliła głowę na bok i przyjrzała mu się uważnie. - A może to pan jest Harrym Tennantem?

- Zgadza się.

- Wygląda pan zupełnie inaczej niż na fotografii. No, może jest jakieś niewielkie podobieństwo.

- Na fotografii?

- Czy ma pan chwilę, żeby ze mną porozmawiać?

W głowie Tennanta wciąż jeszcze brzmiało słowo fotografia. Kiedy ostatnio robił sobie jakieś zdjęcie? Nie pamiętał. O co mogło chodzić tej dziewczynie? Przyszło mu na myśl, że może ona też jest podstawiona, że to dalszy ciąg śledztwa, chciała go przecież o coś pytać.

- O co pani chodzi?

Dziewczyna nie odpowiedziała na pytanie.

- Mieszka pan gdzieś blisko? Chętnie napiłabym się czegoś ciepłego. Ta wilgoć mnie wykończy.

- Mam dom, około mili stąd. - Tennant wskazał ręką przed siebie.

- Niech pan wsiada. Podrzucę pana.

Otworzył drzwi samochodu zastanawiając się, dlaczego tak łatwo podporządkował się woli dziewczyny. Być może był zbyt zaskoczony i dezorientowany, żeby się jej przeciwstawić. Już wiele dziwnych rzeczy zdarzyło się tego przedpołudnia.

Kiedy wsiadł, zapytał o zdjęcie.

- Proszę. - Z dużej torebki leżącej na siedzeniu obok, wyjęła wycinek z pożółkłej gazety.

Popatrzył na skrawek obojętnie. Było to niewyraźne zdjęcie pięciorga młodych ludzi ubranych w kolorowe ciuchy. Sądząc po ich wyglądzie, zdjęcie zostało zrobione gdzieś pod koniec lat sześćdziesiątych. Jakaś niejasna myśl błysnęła mu w mózgu, trudne do określenia wrażenie, które trwało zaledwie chwilę. Harry nie miał nastroju na wysłuchiwanie pytań obcych, którzy pokazywali mu strzępy starych gazet. Czuł, że ma już dosyć jak na jeden dzień. Cela, sąd, zniknięcie Rozaka. Wszystko było za bardzo poplątane i za bardzo rzeczywiste. Zaczynało go to irytować. Wszystkie sprawy wydawały mu się nieważne, kiedy miał w perspektywie parę lat za kratkami.

- Więc? - spytała dziewczyna.

Więc co?

- Tak po prostu odkłada pan to?

- Pokazuje mi pani jakieś stare zdjęcie. Co mam powiedzieć?

-Pan chyba nie mówi poważnie? Proszę spojrzeć jeszcze raz.

Westchnął i zrobił to, o co go prosiła. Tym razem starał się przyjrzeć fotografii dokładniej. Ostatnio pogorszył mu się wzrok.

Nie sprawił sobie okularów, bo uznał, że za wiele z tym zachodu. Teraz, kiedy patrzył na to stare zdjęcie, miał nieprzyjemne wrażenie, że spogląda w krzywe lustro, w którym odbijał się obraz zupełnie innej rzeczywistości.

-Coś nie tak? - spytała dziewczyna. - Nie pamięta pan tego?

- Pamiętam - odparł.

Skłamał. Nie miał czasu zastanawiać się nad odpowiedzią. Wciąż przyglądał się fotografii.

Może to był jakiś fotomontaż. Ręka, w której trzymał wycinek, drżała. Na zdjęciu rozpoznał siebie sprzed około dwudziestu lat. Miał wrażenie, że między nim, a tamtym Harrym Tennantem z fotografii istniała przepaść, która nie miała nic wspólnego z mijającym czasem. Nie mógł oprzeć się wrażeniu, że jest nie na swoim miejscu, tak jakby paradoksalne trzęsienie ziemi przeniosło go przypadkiem w inny wymiar. Fałszywe ślady, myślał. Pęknięcia w krajobrazie mego życia. Dlaczego nie mógł sobie przypomnieć tego zdjęcia? Co się stało?

-No i?

-No i co? To po prostu stare zdjęcie - stwierdził. - Nie widzę w nim nic szczególnie interesującego.

- To nie jest jakieś tam stare zdjęcie.

-Nie? - Harry patrzył na pola, które w świetle dnia wydawały się płaskie i bezbarwne. Dwie brązowe klacze pasące się przy drodze obdarzyły go obojętnym spojrzeniem. Wypuścił strzęp gazety z dłoni. Wycinek opadł na siedzenie. Przy skrzynce na listy skręcili w wąską, błotnistą drogę.

Dziewczyna przyhamowała, kiedy zauważyła dom.

-Musimy o tym porozmawiać. - Podniosła zdjęcie i wyciągnęła je w stronę Tennanta.

-Może innym razem.

Wysiadł z wozu. Niechętnie wchodził do białego domu. Farba na ścianach łuszczyła się jak poparzona przez słońce skóra. Wydawał mu się mniejszy niż wczoraj, bardziej zaniedbany. Okna wy-

glądały jak prostokąty mętnej wody. W szybach nic się nie odbijało. Na zacienionej werandzie panowała martwa cisza.

Nie było Isadory. Olbrzymi pies nie stał na progu i nie witał go radosnymi machnięciami ogona.

Harry słyszał krakanie siedzących na pobliskich drzewach kruków. Nad domem krążył myszołów. Las rozbrzmiewał dźwiękami natury. Tego dnia wydawał mu się jakiś inny, jakby odarty ze swej tajemniczości. Opadły liście, drzewa zmieniły się. Do wczoraj Tennant potrafił z zawiązanymi oczami odnaleźć drogę w tym lesie, teraz to już nie był jego świat. Czuł się tu obco. To nie był jego dom. Zresztą, może nigdy nim nie był, może przez dziewięć lat Harry mieszkał tu okłamując się, że w końcu odnalazł swoje miejsce na ziemi.

Chciał zawołać psa, ale pomyślał, że gdyby się obudziła, to już zbiegałaby radośnie ze schodów werandy, żeby przywitać swego pana. Tennant poczuł ogarniającą go falę beznadziejności. Niepewnie przeszedł parę kroków w kierunku domu, świadomy tego, że dziewczyna idzie za nim. Czego ona właściwie chciała? Jakie znaczenie miała dla niej ta pożółkła fotografia z gazety? Gnębiło go tyle innych rzeczy, nie chciał zawracać sobie głowy jakimś zdjęciem, którego nie pamiętał.

Dręczył go dziwny niepokój. Wytrzeł spocone dłonie o dżinsy i wszedł na schody werandy. Wiedział, że za drzwiami nie czeka go nic wesołego. Zdawał sobie sprawę, że na TO człowiek nigdy nie jest wystarczająco przygotowany. Zresztą, czy to było ważne? Zawsze przecież mógł sobie kupić innego psa, czyż nie? Nie wymagało to specjalnych wysiłków. Mógł mieć nowego

zwierzaka choćby jutro.

Pchnął drzwi.

Wnętrze mieszkania wyglądało strasznie. Huragan nie byłby w stanie dokonać większych szkód. Wywalone szuflady, porozrzucane rzeczy, pocięta tapicerka kanapy. Wszystko powywracane. Walające się po podłodze tanie obrazki, które kupił kiedyś za bezcen na jakiejś aukcji. Wszędzie kawałki potłuczonego szkła. Wyglądało to tak, jakby wszystko pokrywały zamrzniete krople deszczu. Nie wiadomo po co gliniarze rozwalili ściankę działową. Teraz wokół dziury sterczały drzazgi.

W przeciwległym kącie pokoju stała gitara. Kiedyś Tennant chciał się nauczyć na niej grać. Teraz była już bezużyteczna.

Połamano jej gryf. Wokół wałały się poszarpane książki: Gurdijeff, Huxley, mistycy, badacze halucynacji, podróżnicy ze świata niejasnych wrażeń i odczuć, amatorzy niewypowiedzianego. Czego szukał w tych uduchowionych akrostychach? W tych podróżach w podświadomość? Na pewno nie sposobu na życie. W samotnym świecie Tennanta wycieczki w świat zagadek stały się po prostu swoistym hobby.

Teraz jednak tamto życie nie miało już znaczenia.

Było coś jeszcze gorszego od połamanej gitary i zniszczonego papierowego świata mistyków. Pies leżał u podnóża schodów, tam, gdzie Harry widział go po raz ostatni. Isadora była nieruchoma i zimna. Dopiero teraz widział, że była naprawdę olbrzymia. Tennant ukląkł przy niej i położył dłoń na dużym łbie zwierzęcia. Zdawało mu się dziwne, że życie mogło opuścić taką istotę, jaką była Isadora. Nagle ogarnął go smutek -zimny, ciemny, bezlitosny. Pamiętał, kiedy

kupił Isadorę. Była wtedy jeszcze szczeniakiem, pełnym energii i zabawnie niezdarnym. Trudno ją było nauczyć czegokolwiek. Tennant pamiętał jej ogromne łapy i miękkie, nieskoordynowane ruchy. Uwielbiała włóczyć się z nim po lesie. Harry nabrał zwyczaju opowiadania jej o swoich roślinach, o tym, jaka gleba jest dla nich najlepsza, jakie będą plony tego roku. Podobnie jak wielu samotnych ludzi, Tennant wierzył, że Isadora go słucha i na swój psi sposób rozumie.

- Jezu Chryste, Harry! Co się tutaj stało?

Harry. Nagle zaczęła się zwracać do niego po imieniu. Nie zauważył nawet, że weszła za nim do domu. Dziewczyna spostrzegła psa. Głośno wciągnęła powietrze.

- O Boże. - Położyła mu dłoń na ramieniu.

Przykucnął obok psa. Był wdzięczny dziewczynie za ten gest i za współczucie, jakie mu okazała. Już od bardzo dawna nikt nie był dla niego tak miły.

- Kto to zrobił, Harry?

- Ci, których się nazywa "stróżami prawa i porządku". - Tennant był świadom tego, że łamie mu się głos.

Wstał. Pomyślał, że powinien pochować psa gdzieś wśród drzew. Rękawem koszuli wytarł oczy. Minał dziewczynę i podszedł do kredensu. Wyjął stamtąd jacka danielsa. Pociągnął spory łyk.

Pojemniki z mąką, cukrem i kawą wały się po podłodze. Obok powywracanych szafek leżały skorupy porcelanowych filiżanek.

Wybito szybę w kuchennym oknie. Wokoło wałało się wyciągnięte z lodówki jedzenie. Na ziemi przy rozbitym słoiku z miodem kłębiły się roje mrówek.

Dziewczyna stanęła za nim.

- Przykro mi, Harry - powiedziała. - Wiem, że to dla ciebie żadna pociecha, ale naprawdę jest mi przykro.

Tennant czuł, że alkohol powoli zaczyna go rozgrzewać. Pociągnął kolejny łyk z butelki. Dziewczyna stała obok, opierając się biodrem o stół. W czarnych dżinsach i swetrze zdawała się wtapiać w panujący w pomieszczeniu półmrok. Jej blada twarz bez wyrazu doskonale pasowała do atmosfery tego domu.

- Wszystko rozwalili - powiedział Tennant. - Trudno. W końcu to tylko rzeczy. Zawsze można je zastąpić następnymi, ale dlaczego pies? Czemu, do cholery, zabili tego biednego psa?

Dziewczyna znowu dotknęła jego ramienia.

- Przecież mogli rozwalić dom nie robiąc krzywdy Isadorze. - Harry nie mógł się uspokoić.

- Te wieprze nie należą do wrażliwych, Harry. Mają przecież licencję na brutalność. Nie zostawiają za sobą nic całego.

Tennant miał ochotę wyć. Czuł, że dławi go kłęb uczuć i frustracji. Miał ochotę wziąć broń, którą trzymał na strychu, i rozwalić coś, cokolwiek. Miał nadzieję, że policja nie znalazła jego starego taurusa. Nie znał się zbyt dobrze na broni. Strzelał zaledwie parę razy w życiu do puszek i pni drzew. Rewolwer dostał od Bobby'ego Delacroix. Nigdy nie wiadomo. Może ci się kiedyś przydać, twierdził Bobby bawiąc się swoim srebrnym łańcuszkiem. Delacroix, który co roku

kupował zbiory Harry'ego, zawsze miał ze sobą broń. Mówił, że dzięki temu czuje się bezpieczniej. Co do Harry'ego, taurus był mu niepotrzebny. Nie musiał chronić swego niewielkiego pola tak, jak to robili haszowi potentaci w Kalifornii i Oregonie. W jego lesie nie było nic, dla czego warto byłoby zabić. Miał małe zbiory, ale to co za nie dostawał, zupełnie mu wystarczało.

Zawsze uważał, że to wszystko nie jest warte żadnej śmierci.

Teraz siedział obok nieżywego psa w zdemolowanym domu. Odstawił butelkę na stół. Czuł, że kręci mu się w głowie. Było dopiero południe. Miał wrażenie, że czas zwolnił biegu. Zapalił papierosa. Musiał ochłonać. Musiał myśleć wystarczająco trzeźwo, aby móc podejmować decyzje. Co dalej? Co ma robić? Przecież nie może tu tkwić do końca świata. Przede wszystkim trzeba pochować psa.

To było najważniejsze i najtrudniejsze.

Podszedł do schodów. Dziewczyna ruszyła za nim. Podniosła zasłonę, którą policjanci zerwali z okna i ostrożnie przykryła nią Isadore. Harry patrzył przez chwilę na psa. Wyszedł na zewnątrz, wziął taczkę i z wysiłkiem wciągnął ją na stopnie werandy. Wszedł z powrotem do domu.

- Pomogę ci - zaproponowała dziewczyna.

Harry znowu poczuł zawroty głowy. Czuł się beznadziejnie, kiedy pił na pusty żołądek. Miał wrażenie, że dzień ucieka przed nim jak pociąg, na który się spóźnił.

- Dziękuję ci, ale w czym miałabyś mi pomóc?

Wziął psa za łapy i zaczął go ciągnąć do drzwi. Starał się nic myśleć. To było tak, jakby się pozbywał starego, zepsutego mebla, którego nie da się już naprawić. Musiał jakoś przez to

przebrnąć. Dziewczyna bez słowa podeszła i wsunęła ręce pod ciężkie ciało Isadory. Pomogła mu podnieść psa z podłogi. Tennant kopnięciem otworzył drzwi wejściowe. Z pomocą dziewczyny udało mu się ułożyć psa na taczce.

Zasłona, okrywająca Isadore, zaczepiła się o wystający gwóźdź i zsunęła na podłogę.

Tennant patrzył prosto na łeb psa. Pośliznął się i zachwiał lekko. Jego zmysły rozpryskiwały się na atomy. Czul wilgotny zapach sierści. Przypominał mu trochę woń wilgotnej ziemi. Przechylił się przez balustradę werandy i włożył sobie palce głęboko w gardło. Chciał wymiotować. Wypluł z siebie tylko trochę białawego płynu, ale pomogło mu to. Poczul ulgę. Kiedy się odwrócił zauważył, że dziewczyna znowu przykryła ciało psa.

- Wszystko w porządku? - Jej głos brzmiał cicho i łagodnie.

- Tak. Przepraszam za tamto. - Wskazał zakłopotany na balustradę.

- Zdarza się. Nie ma za co przepraszać. - Dziewczyna patrzyła w stronę drzew. - Jestem gotowa ci pomóc, ale może chcesz pochować psa sam, Harry?

- Chcę tylko mieć to już za sobą. To wszystko - powiedział. Manewrując taczka zjechał ze schodów i zatrzymał się. Koło taczki zagłębiło się w miękką ziemię. Harry wziął łopatę opartą

o ścianę domu i położył ją w poprzek taczki. W ostrym świetle dnia wszystko stało się zbyt wyraźne. Zardzewiały metal szpadla. Różowy materiał zasłony. Brązowa sierść tylnych łap psa.

Dziewczyna zeszła z werandy.

- Idę z tobą.

- Dobrze - odparł. Choć nie chciał się do tego przyznać nawet przed samym sobą, bardzo pragnął, żeby ktoś przy nim był. Żeby ona przy nim była.

Wykopał głęboki dół w pobliżu swego zdewastowanego przez gliny poletka. Tylko gdzieś z ziemi sterczały kikuty roślin. Martwy pies miał zostać pochowany w martwym miejscu. Dziewczyna pomogła mu opuścić Isadorę do jamy. Przez chwilę Tennant stał jak sparaliżowany. Nie mógł się zmusić do zasypiania dołu. Przykucnął tuż przy wykopanym grobie. Miał ochotę zostać tu i czekać aż pojawi się Rozak i zabierze go na rozprawę.

Dziewczyna wzięła łopatę i zaczęła zasypywać grób. Tennant przyglądał się jej.

- Nawet nie wiem, jak się nazywasz - powiedział.

- Alison Seagrove.

- Dzięki...

- Za co?

Tennant wzruszył ramionami. Alison Seagrove podniosła łopatą kolejną porcję ziemi i wsypała ją do dołu. Oddychała ciężko.

- Zniszczyli twoje zbiory - stwierdziła patrząc na szczątki roślin.

Tennant skinął głową. Podniósł się. Nie miał ochoty dłużej siedzieć w tym ponurym lesie. Ruszył w stronę domu. Miał wrażenie, że zostawia za sobą coś więcej niż tylko zniszczone pole, taczkę i pogrzebanego psa. Dziewczyna podążyła za nim.

- Tak to już jest, Harry. Policja ma swoje "zasady". Gwałciciele chodzą po ulicach, dzieciaki w szkołach wymachują bronią, ale jak tylko gdzieś się pojawi listek marychy, to natychmiast masz na karku gliny.

Tennant zmusił się do uśmiechu. Tęsknił za swoją dawną beztroską, za brakiem problemów, za izolacją i spokojem.

Właśnie wyszedł spomiędzy drzew, kiedy na drodze rozległ się warkot silnika. Duży, szary ford jechał w kierunku jego domu. Zatrzymał się niedaleko nich. Wysiadł z niego jakiś nieznajomy mężczyzna. Miał na sobie granatowy garnitur i rozpięty płaszcz. Tennant i dziewczyna podeszli do niego. Obcy stał w rozkroku, z rękami na biodrach i patrzył na nich.

Nieznajomy przedstawił się jako Frank Flitt, prokurator okręgowy. Był dumny ze swego tytułu. Uśmiech, mocny uścisk dłoni, na pierwszy rzut oka widać było, że Flitt nie zaliczał się do tych, którzy ukończyli prawo na wieczorowych kursach. Był pewny siebie, podporządkowywał sobie wszystkich. W jego postawie było coś charakterystycznego dla ludzi sceny. Tennantowi zdawało się, że za chwilę Flitt wydeklamuje jakiś wiersz albo zaśpiewa arię. Tylko jedna rzecz w wyglądzie prawnika nie pasowała do całej reszty - jego skóra. Była chorobliwie biała.

- Miałem być na twojej rozprawie wstępnej, Harry, ale coś mnie zatrzymało - zaczął Flitt. - Tak to już u mnie jest. Mam kupę roboty.

Tennant cofnął się o krok. Flitt miał nieświeży oddech. Woń kwaśnego mleka zmieszana z zapachem kościelnych krypt. Prawnik przez chwilę przyglądał się Alison Seagrove, ale nie zapytał, jak się nazywa.

- Słyszałem o tym twoim fałszywym prawniku. Facet zjawia się nagle w twojej celi i twierdzi, że jest adwokatem. Nieco dziwne, nie uważasz? - Popatrzył na Tennanta. - Fajnie tak być na wolności, co, Harry? Powinieneś pisać pochwały na cześć naszego prawa. Wspaniała Ameryka. Wypuszcza przestępców na wolność, niech chodzą sobie po ulicach. Cóż można powiedzieć? Różne kraje różnie sobie radzą. W Turcji powiesiliby cię za pięty, w Arabii Saudyjskiej obcięliby ci dłonie, a u nas cię wypuszczają. Nasz kraj jest wspaniały, tylko że ludzie, którzy tutaj żyją nie doceniają tego. Zawsze, kiedy widzę coś takiego, myślę sobie, co za niewdzięczne łotry tu mieszkają. - Potok słów spadł na Harry'ego razem z nieświeżym oddechem Flitta. Masz mi może coś do powiedzenia?

- Nie przypominam sobie, żebym czegoś nie docenił
 - Nie?
 - Znaleźliście trochę marihuany. Udowodnijcie, że należała do mnie.
 - Oj! Nie skończyłem prawa wczoraj i nie mam już wosku w uszach. Znam cię. Znam takich jak ty. Złamałeś prawo.
 - Nawet jeżeli tak było, to było to głupie prawo. Trawka powinna być legalna. To tak, jakbyśmy wciąż tkwili w średniowieczu. — Tennant nie chciał tego powiedzieć. Flitt sprowokował go.
 - W średniowieczu? W żadnym wypadku! Trzeba kochać Amerykę, Harry. Jak możesz źle się wyrażać o kraju, w którym nawet kryminaliści mogą krytykować prawo? Wciągnij powietrze. Co czujesz? Wolność? Tak. Czy sądzisz, że powietrze pachnie tak samo w Iranie albo w Turcji?
 - Cholernie trudno jest kochać kraj, w którym gliny wybebeszają ci dom i zabijają psa.
 - To był przypadek. Nie zawsze wszystko idzie zgodnie z procedurą.
 - Przypadek? - wtrąciła niespodziewanie Alison. - Może wejdzie pan do środka i zobaczy jak to wszystko wygląda. Wtedy będzie pan mógł dalej pieprzyć sobie o przypadkach.
 - Nie znam nawet twego imienia, panienko. Nie mam pojęcia
 - 0 co ci chodzi. Niepotrzebnie pakujesz się w kłopoty, kręcąc się tutaj.
 - Proszę pozwolić, że sobą zajmę się sama, panie Flitt.
- Flitt odwrócił się w stronę Tennanta.
- Chciałem cię ostrzec. Nie muszę wysłuchiwać uwag ćpuna
 - 1 jakiejś cizi. Tacy, jak wy, to śmieci.

- Śmieci - powtórzył Tennant i zaśmiał się.

Flitt pochylił się ku niemu i chwycił go za ramię.

- Śmieć się, Harry. Baw się. O to przecież chodzi. Niedługo przyjdzie czas i na ciebie.

Pójdiesz do pierdła. Nie masz chyba co do tego żadnych wątpliwości.

- To przecież zupełnie nie po amerykańsku, Flitt. Tak skazywać człowieka jeszcze przed procesem? — znowu wtrąciła się Alison.

Flitt puścił ramię Tennanta. Popatrzył na dziewczynę.

- Ja tylko stwierdzam fakty, panienko. Proces jest dla prasy i publiki. Pogódźcie się z tym, nędzni podatkowicze tego kraju. Tak działa wasz system! Cieszcie się, póki możecie. Nie ma na to rady, Harry. Czekają cię co najmniej dwa lata.

Pewność w głosie Flitta sprawiła, że Tennant zaczął wątpić w to co powiedział mu wcześniej Rozak.

-Mój adwokat miał na ten temat odmienne zdanie.

- Pewnie. McKay ma zawsze całe mnóstwo zdań. Za to mu się płaci. Harcourt to niezły prawnik, ale nie ma co się oszukiwać, nawet on nic nie poradzi w takiej sprawie. Wie, że za narkotyki grozi odsiadka. Nie ma na to rady.

-Chciałbym usłyszeć, co on sądzi na ten temat.

- Jest twoim adwokatem. Idź i go zapytaj. Nastawi licznik i zamieni się w słuch. Będzie gawędził z tobą ile tylko będziesz chciał. To i tak nic nie zmieni. Już niedługo będziesz gościem państwa. Zakwaterowanie jest darmowe, ale, jak by to powiedzieć, niezbyt wygodne. Czy wciąż jeszcze chce ci się śmiać?

- Zabieraj się z mojej ziemi, Flitt. Jak następnym razem będziesz coś do mnie miał, to skontaktuj się z moim adwokatem. - Harry odwrócił się z zamiarem odejścia.

- Zaczekaj, Tennant. Nie zatraskuj za sobą drzwi. Nie musisz się zaraz tak denerwować. Sądzę, że moglibyśmy jakoś się dogadać. - Flittowi głośno zaburczało w żołądku. Brzmiało to jak stare, skrzypiące drzwi.

-Dogadać się? Co masz na myśli?

Flitt zbliżył się do niego.

- Odwołuję tamto o śmieciach, Harry. Wiesz, kiedy dokucza mi wrzód, staję się drażliwy. Mówię rzeczy, których tak naprawdę nie myślę. Ty pewnie jesteś w porządku. Nie wyglądasz mi na ćpuna. Jesteś za sprytny.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - Tennant zauważył, że białka oczu Flitta pokrywały żółte plamy.

Flitt wsadził ręce w kieszenie płaszcza.

-Harry, miałeś tu jakieś piętnaście kilo towaru.

-Musisz udowodnić, że był mój.

Flitt zignorował uwagę Harry'ego.

- Piętnaście kilo to niemało, ale w końcu nie można tego porównać z pięćdziesięcioma. Według mnie, nie można traktować cię na równi z pełnoetatowymi bandziorami. Zasługujesz na jeszcze jedną szansę. Może dostaniesz wyrok w zawieszeniu, tylko będziesz musiał odpracować parę godzin w czynnie społecznym. Grabienie trawników, praca dla Armii Zbawienia, sam wiesz jak to wygląda.

Tennant już wiedział do czego zmierza Flitt.

Prawnik westchnął mrużąc coś, że dokuczliwy wrzód i ciężkie obowiązki prokuratora, to dla niego zbyt wiele.

- Posłuchaj, można uniknąć tego procesu i więzienia, gdybyś zastanowił się nad współpracą ze mną, Harry.

- Chodzi ci o nazwiska, czy tak? - spytał Tennant.

- Pojętna z ciebie bestia, Harry. Tak, chodzi mi o nazwiska. Chcę wiedzieć, kto jest twoim odbiorcą, kto płaci, kto rozprowadza towar. Chcę znać całą siatkę. Ty jesteś mi niepotrzebny. Jesteś tylko pionkiem.

- Niestety, nie jestem w stanie ci pomóc.

Flitt wzruszył ramionami.

- Powiem ci wobec tego, na co się narażasz. Jeżeli uznają cię winnym, to nie tylko trafisz do pierdła, ale jeszcze stracisz to wszystko tutaj. - Prokurator zakreślił ręką krąg. - Całe to zielone i przyjemne gniazdko skonfiskuje rząd. Uprawiałeś tu trawkę, a poza tym pewnie kupiłeś to za brudne pieniądze. Zostaniesz z niczym. Jak ci się podoba taka perspektywa? Trochę nieprzyjemna, co?

Tennant spojrział na dom. Nigdy nie czuł się szczególnie przywiązany do tego miejsca, ale myśl, że może je utracić denerwowała go. Czy tak właśnie wyglądało życie w wolnym kraju? Faceci w mundurach demolowali ci dom, a potem tak po prostu sobie odchodzili. Harry miał wrażenie, że jego umysł zasnuwają gęste chmury. Jak to nazwał Flitt? Procedura? Nic nie znaczące słowo, termin, za którym nic się nie kryło.

- Rzeczywiście - odezwał się w końcu Harry. - Miejsce jest miłe, ale dom po nocnej wizycie twojej załogi nadaje się tylko do remontu. Byłby niezły dla jakiegoś młodego małżeństwa. Może sami naprawiliby wszystkie szkody. - Tennant starał się, by jego głos brzmiał obojętnie.

- Możesz sobie żartować - zauważył Flitt. - Ale jeżeli nie zgodzisz się na współpracę, to idziesz w odstawkę. Wypowiedz tylko te magiczne słowa, a znów zaświeci dla ciebie słońce.

- To wszystko gówno - stwierdziła Alison. - Jeżeli na tym według pana polega ten system, o którym pan wspominał, to jest on gówniany.

Flitt z sykiem wypuścił powietrze.

- Ale to najlepsze gówno na świecie.

Flitt wsiadł z powrotem do samochodu. Na pożegnanie pomachał im ręką. Tennant popatrzył na dziewczynę. Była zła.

- Nie cierpię facetów takich jak Flitt. Robią z siebie półbogów. Wydaje im się, że mają na własność kawałek Ameryki i że mogą z nim robić, co im się podoba. Oczekują, że cała reszta będzie się przed nimi płaszczyć. Na twoim miejscu zadzwoniłabym do swego adwokata, Harry.

Tennant zdał sobie nagle sprawę, że wcale nie myśli o Flitcie. Podziwiał urodę dziewczyny.

- Chyba powinienem - mruknął i poszedł do swojej furgonetki.

- Masz tutaj telefon?

- Nigdy go nie potrzebowałem. W końcu to tylko parę mil do miasta.

- Może ja poprowadzę? Mój wóz jest szybszy niż to twoje pudło. Im wcześniej zadzwonisz, tym lepiej.

Tennant przystał na to. Pozwolił jej zdecydować. Zresztą wcale nie miał ochoty prowadzić. Czuł, że jego ruchy są nieskoordynowane. Wolał usiąść po stronie pasażera i pozwolić się wieźć.

- O co chodziło z tym fałszywym prawnikiem? - zapytała dziewczyna.

Tennant opowiedział jej o Rozaku, o tym, że mu uwierzył. W tej chwili zagadka przestała go już tak nurtować. Wiele się zdążyło od tamtej pory zmienić.

- Jeżeli tamten facet nie był prawnikiem, to dlaczego go do ciebie wpuścili? Poza tym, jak to się stało, że jego wizyta nie została zapisana w rejestrach?
- Może jakoś się prześliznął nie zauważony. Pewnie dyżurny gliniarz zdrzemnął się. Nie mam pojęcia, jak to było. Facet był bardzo przekonujący. Twierdził nawet, że widział nakaz rewizji.
- To mógł być podstęp. Pewnie Rozak był jednym z ludzi Flitta. Wysłali go, żeby cię trochę wybadał, sprawdził, jak będziesz reagował, czy masz może wyrzuty sumienia i wszystko grzecznie wyśpiewasz. To by było w stylu Flitta. Cios poniżej pasa.
- Tak, ale Rozak był pewien, że nie wsadzą mnie do więzienia.
- Próbowali uśpić twoją czujność. Chcieli, żebyś poczuł się bezpieczny. Łatwiej byłoby cię nabrać. Wiesz, to takie dawanie jedną ręką i odbieranie drugą. W pewnym momencie straciłbyś orientację. To ich stary numer. Wielu się na to nabiera.
- Może i tak. - Tennant wszedł do cadillaca i wytłumaczył dziewczynie jak ma jechać. Prowadziła w milczeniu. Zatrzymali się przy sklepie, w którym zawsze pachniało czedarem, jabłecznikiem i cynamonem. Z budki telefonicznej Tennant zadzwonił do McKaya. Prawnik od razu podniósł słuchawkę.
- Przed chwilą odwiedził mnie Flitt - poinformował Harry. - Chce, żebym mu podał jakieś nazwiska. Twierdzi, że jeżeli tego nie zrobię, to wsadzi mnie do pierdła. Milczenie McKaya było denerwujące. Tennant miał wrażenie, że gdzieś w oddali słyszy echo zamykających się drzwi celi. Widział siebie samego, uwięzionego w czterech odrapanych ścianach.

- Co ty na to, Harcourt?
- Będę cię bronił, Harry. Już ci to powiedziałem.
- Flitt twierdzi, że i tak nic nie wskórasz. Czy on jest w stanie mnie tak załatwić?
- Harry, quid pro quo gwarantuje twoją wolność. Wlepią ci tylko pewnie sporą grzywnę. Może dostaniesz dwa lata w zawieszeniu. Nie potrafię dokładnie przewidzieć, jaki będzie koniec tej sprawy, zarzuty są dość poważne. Stakowski i Flitt znają się jak łyse konie. Mogę jedynie obiecać, że będę cię bronił najlepiej jak potrafię. Wykorzystam wszystko, co mamy.
- Sądziś, że jesteś wystarczająco dobry? Wygrałeś kiedyś sprawę przeciwko Flittowi?
- Posłuchaj, Harry, każda sprawa jest inna, a twoja jest bardzo szczególna...
- Powiedz tylko, jakiego wyniku się spodziewasz.

McKay zaśmiał się cicho.

- Tak się nie da.
- Wygrałeś z nim kiedyś?
- Tak.
- Przegrałeś pewnie też.

- Jak to mówią, wahadło kiwa się w obie strony.
- No to jak wygląda wynik między wami?
- Po co ci to? Musiałbym pogrzebać w aktach i sprawdzić. Chyba mamy mniej więcej tyle samo przegranych i wygranych spraw.
 - Ale on cię trochę wyprzedza?
 - To nie są zawody. Nie prowadzimy rankingu.
 - Czy przynajmniej szanse są pół na pół?
 - Można tak powiedzieć.
 - Nie podoba mi się to wszystko.
 - Nikt w tym mieście nie da ci większej pewności, Harry.
 - Nie znoszę więzienia.
 - Wiezienie, wiezienie. Spójrz na to z jaśniejszej strony.
 - A jest taka?

Tennant odłożył słuchawkę. Z automatu wypadła jego ćwierć- dolarówka. Potoczyła mu się po bucie. Dobry znak, pomyślał. Potrzebował trochę szczęścia. Jeżeli nikt nie mógł mu go zapewnić, musiał je znaleźć sam.

Wrócił do cadillaca. Alison Seagrove bębniła palcami w kierownicę. Ona naprawdę się tym przejmuje, pomyślał Tennant. Moje problemy coś dla niej znaczą. Zawsze cenił w swoim życiu to, że potrafił sam sobie radzić. Teraz miał wrażenie, że coś się zmieniło. Nie wiedział tylko do jakiego stopnia.

- No i...? - spytała dziewczyna.
- Powiedzmy, że ta rozmowa nie podniosła mnie na duchu.

Wziął piwo z lodówki. Dłonie i paznokcie u rąk miał brudne od kopania w wilgotnej ziemi. Bolały go mięśnie ramion. Usiadł przy stole i zaczął masować prawe ramię. Pociągnął z puszkii łyk piwa. Patrzył na Alison Seagrove. Miała nieregularne rysy, ale przez to wydawała się jeszcze bardziej interesująca. Była piękna, ale zupełnie inna niż tłumy lalkowatych piękności łązających po ulicach.

Miała małe usta, trochę nierówne zęby i nieco asymetryczny nos, ale o tych szczegółach zapominało się natychmiast, wystarczyło spojrzeć w jej oczy. Zachwycająco ciemne, przyciągające oczy, w których można się było zagubić. Harry zastanawiał się, ile osób patrząc w nie, zapomniało o świecie.

Dziewczyna chodziła po kuchni komentując głośno bezmyślność ludzi, którzy rozwalili Harry'emu mieszkanie. Dźwięk jej głosu był czymś niezwykłym w tym domu, w którym przez całe lata Tennant był sam, jeżeli oczywiście nie liczyć policjantów z ostatniej nocy. Na razie jednak chciał zapomnieć o policji. Cała ta sprawa z aresztem ciążyła mu jak ołów. Tennant czuł się osaczony, ograniczony i bezwolny. Co miał robić? Siedzieć i czekać aż Flitt zatrzaśnie za nim drzwi celi?

- Przecież nie mogę tego zrobić - powiedział nagle. - Nie mogę podać mu żadnych nazwisk. Nawet gdybym mógł, nie zrobiłbym tego. Po prostu tak się nie postępuje. - Harry zaczął się zastanawiać, czy rzeczywiście tak było, czy gdyby znał jakieś nazwiska, podałby je chcąc uniknąć więzienia. Wolał myśleć, że nie. Pomiedzy ludźmi takimi jak on, istniały niepisane prawa, których zawsze się przestrzegało. Przede wszystkim, nigdy nie wydawało się swoich.

Alison podniosła rozbitą filiżankę i postawiła ją na brzegu zlewu.

- To wstrętna propozycja. Zresztą niczego innego nie można się było spodziewać po takim oślizłym gnoju, jak Flitt. Z tego, co mówisz wynika, że twój adwokat nie jest lepszy. Tak zwykle bywa w małych miastach, Harry. Jeden prawnik siedzi w kieszeni u innego. Razem jedzą lunch, grają w golfa, czy brydża. Starzy kumple. Prawo to dla nich kolejna wspólna gierka. Źle może na tym wyjść tylko klient.

Tennant rozejrzał się po kuchni. Jeszcze wczoraj panował tu wzorowy porządek. Również powieszony ściereczki, pojemniki z napisami Kawa, Herbata i Cukier, poustawiane na półkach. Kuchnia pedantycznego kawalera. Zawsze zastanawiało go to, że tak niepostrzeżenie nabrał nawyków charakterystycznych dla większości starszych osób. Każda czynność miała określony rytm i czas. Było mu z tym dobrze, ale zdawał sobie sprawę, że przyszła pora zmienić przyzwyczajenia.

W kącie zauważył miskę psa. Były w niej jakieś resztki mięsa z puszki, po których łaziła obrzydliwie żywa mucha.

- Musisz się zastanowić nad swoim położeniem, Harry. Może McKayowi uda się uzyskać dla ciebie wyrok w zawieszeniu, ale to jest raczej mało prawdopodobne. W tej ruletce niczego nie można być pewnym. Bardzo chciałabym ci jakoś pomóc, tylko nie mam pojęcia jak. Czy masz kogoś, do kogo mógłbyś się zwrócić o radę?

Pokręcił przecząco głową. Jej pytanie przypomniało mu słowa Rozaka: Podaj mi nazwisko kogoś, kto mógłby za tobą świadczyć.

- Nie mam nikogo takiego - powiedział do dziewczyny.

- A dawni przyjaciele? Musiałeś przecież jakichś mieć. Znajomi ze szkoły, ze studiów...

Zamknął oczy. Nie odpowiadał. Przyjaciele, znajomi. Jedna pusta karta za drugą. Pamiętał kilka twarzy ze szkoły średniej, ale one wszystkie należały do przeszłości. Teraz te osoby były mu zupełnie obce. Nigdy nie studiował. Znał tylko Delacroix, ale on nie był przyjacielem.

- Nikt taki nie przychodzi mi na myśl.

- To chyba najsmutniejsza rzecz jaką kiedykolwiek słyszałam. - Alison usiadła i wyjęła z kieszeni džinsów poźółkły wycinek

46

gazety. Położyła go przed Harrym na stole, - Kim są ci ludzie? Jaką rolę odegrali w twoim życiu, Harry? Czy byli ci zupełnie obcy? Czy spotkaliście się przypadkiem?

Tajemnicze zdjęcie. Tennant przyglądał mu się z uwagą. Czuł jakiś wewnętrzny sprzeciw. Kim była ta dziewczyna? Dlaczego zadawała mu te wszystkie trudne pytania?

- Czemu cię to tak interesuje?

- Chcę o tym napisać.

- Napisać?

- Tak. - Dziewczyna podała nazwę jakiegoś pisma, którego nie znał. Była dziennikarką. No tak, kto inny chciałby grzebać w jego życiu?

Otworzyła lodówkę i wyjęła z niej puszkę piwa.

- Mogę?

- Czuj się jak u siebie.

Wypiła kilka łyków, a potem otarła usta wierzchem dłoni.

- Kiedy wcześniej patrzyłeś na tę fotografię, odniosłam wrażenie, że w ogóle jej nie pamiętasz - stwierdziła. - Czy San Francisco i rok 1968 mówi ci coś?

Nie odpowiedział. Patrzył przez okno. Zamyślił się. Jakaś obca dziewczyna pokazuje mu zdjęcie, na którym widzi samego siebie, a on nie pamięta ani tych ludzi, którzy na fotografii stoją obok niego, ani tego, że w ogóle ktoś zrobił mu takie zdjęcie. Zapomniał? Czuł, że zaczyna go boleć głowa. Zaschło mu w gardle. Wyjął z lodówki kolejne piwo, otworzył je i wypił szybko.

- Harry - powiedziała dziewczyna.

Spojrzał jej prosto w oczy. Ta luka w jego pamięci była upokarzająca.

- Naprawdę tego nie pamiętasz?

Dziewczyna dotknęła jego dłoni ze współczuciem. Przypomniał sobie, jak bardzo pomogła mu w pochowaniu psa. Śmierć zawsze tworzyła swoistego rodzaju więź.

- Jak mogłeś o tym zapomnieć?

- Przecież nie powiedziałem, że zapomniałem. - Podniósł strzęp pogniecionego papieru. -

Muszę się temu przyjrzeć raz jeszcze.

Fotografia przedstawiała pięcioro młodych ludzi. W samym środku stała piękna i delikatna dziewczyna. Jej długie, czarne włosy

łagodnie opadały na luźną prostą bluzę. Miała kapelusz z dużym, miękkim rondem i zabawne, ręcznie szyte mokasyny. Tuż obok niej, po jej prawej stronie stał młody mężczyzna z ciemnymi kręconymi włosami i wąsami przyciętymi w charakterystyczny dla Meksykanów sposób. Miał dziki błysk w oczach i twarz bandyty. Dalej stanęła gruba dziewczyna otulona szalem w kolorowe wzory. Nosila okrągłe okulary w grubych oprawkach. Wyglądała trochę tak, jakby wychowała się na wsi. Gdyby nie jej ubranie i dziwny, trochę nieobecny uśmiech, nikt by nie powiedział, że wie co to trawka, czy kwas. Po lewej stronie ustawił się duży, brodaty mężczyzna. Ubrany był w ogrodniczki i flanelową koszulę w kratę. Na zarośniętej twarzy miał uśmiech. Sprawiał wrażenie spokojnego i wrażliwego. Tennant, w dzinsach z powpinanymi w nie małymi, metalowymi symbolami znaków zodiaku, stał na samym skraju grupy, tak jakby fotograf umieścił go tam tylko dla zrównoważenia kompozycji.

Pięcioro hippisów. To określenie wydało się Harry'emu dziwne. Było jak nazwa wymarłego gatunku. Wszystkie twarze wyrażały podobne uczucia. Ludzie, którzy poznali smak wolności. W tym wszystkim było coś delikatnego i ulotnego. Były też ledwie dostrzegalne rysy, pęknięcia tworzące pajęczy wzór na słabej skorupce.

Podróżnicy w snach. Wyglądali jak ludzie, którym wręczono paszporty do baśniowej krainy, gdzie wolność była tym wszystkim, czym chcieli żeby była.

Tennant odwrócił głowę. Pociemniało niebo. Zaczął padać deszcz. Piwo miało dziwny smak, jakby nieświeży. Dlaczego patrząc na siebie samego sprzed dwudziestu lat, nie potrafił sobie przypomnieć ani miejsca, ani okoliczności, w jakich zrobiono to zdjęcie? Kim byli ci obcy ludzie

stojący obok niego? Nie znał ich, nie pamiętał, nie umiał nazwać. Nie wiedział skąd się nagle wzięło to uczucie pustki.

- Przyznaj, Harry, to ponad twoje siły. Dlaczego?

Potrząsnął głową, gorączkowo przeszukiwał archiwa swej pamięci. Miał nadzieję, że to tylko kwestia czasu, że za moment wszystko stanie się dla niego jasne i zrozumiałe. Patrzył na pięć twarzy ze zdjęcia. Ich obraz rozmazywał mu się przed oczami.

pamiętał San Francisco. Miał jakieś strzępy wspomnień wydarzeń i rzeczy. Pamiętał narkotyki, pamiętał zapach dziewczęcego ciała w ciepłe popołudnie, pamiętał ulicę w Haight Ashbury. muzykę rozbrzmiewającą tam dzień i noc. W tych wspomnieniach pojawiały się również twarze, ale żadna z nich nie należała do ludzi z tego cholernego zdjęcia. Zresztą, dlaczego powinien był pamiętać akurat to zdjęcie. W San Francisco przez cały czas był w chmurach, na haju, obojętny na to, co się działo wokół. Czas wtedy nie istniał. Żyło się, żeby ćpać. Ćpało się, żeby żyć. Wieczny karnawał. Ra/ było lepiej, raz gorzej, jak na huśtawce. Marihuana, kokaina, kwas. Po co człowiekowi mózg, jeżeli nic po to, by go wysadzić? Takie było wtedy życie. Jak można było zapamiętać wszystkie jego szczegóły?

- Dobra, przyznaję - odezwał się w końcu. Gdzieś mi to umknęło. Mam niejasne wrażenie, że skądś ich znam, ale nie wiem, do cholery, skąd.

- Stać cię na więcej, Harry - stwierdziła dziewczyna. Spróbuj jeszcze raz. Postaraj się trochę bardziej.

Jak mógł się bardziej postarać? Przesunął zdjęcie w stronę Alison. Kiedy to robił, jego wzrok padł na śliczną dziewczynę w samym centrum fotografii. Dziwna myśl przemknęła mu przez

głowę. Zastanawiał się, czy kochał ją w tamtych czasach, kiedy wszelkie granice zatarte były przez narkotykowe zwidy. Chyba zapamiętałby to.

-Kto zrobił to zdjęcie?- zapytał.

-Nawet tego nie pamiętasz? Fotograf nazywał się Sammy Obe.

-Nic mi to nazwisko nie mówi. - Harry skończył pić piwo. Sammy Obe. - Po co w ogóle cały ten szum wokół jednego zdjęcia?

- Zaraz ci wyjaśnię. Może wtedy zrozumiesz dlaczego tak mnie zdziwiło to, że nic nie pamiętasz. Zdjęcie zostało zrobione w czerwcu 1968 roku. W Chinatown, w San Francisco, Stało się bardzo znane, gdyż fotograf uchwycił na nim to, co było wtedy najważniejsze, esencję tamtego życia i czasu. Ten charakterystyczny wygląd. Hippisowska kultura. Tylko niektóre zdjęcia potrafią tak doskonale oddać uczucia i atmosferę. Capa podczas wojny domowej w Hiszpanii zrobił zdjęcie umierającego żołnierza. John Filo sfotografował kobietę, Mary Vecchio, klęczącą nad ciałem studenta zastrzelono-

nego przez strażnika. Takie zdjęcia mają duszę, stają się ikonami danych czasów. - Dziewczyna urwała na chwilę. Patrzyła na Tennanta z wyrazem głębokiego współczucia i żalu w oczach. - Zdjęcie Obe'a jest właśnie takie. Przedrukowywano je setki razy. Na całym świecie. Znajdziesz je w każdej książce opisującej lata sześćdziesiąte. Wydrukowano nawet taki plakat, ale potem jakoś wszystko przycichło. Plakaty nie powisały długo, część od razu trafiła na makulaturę, ale przez jakiś czas wszyscy mówili o tej fotografii. A ty mówisz, że jej nie pamiętasz.

Wszyscy o tym mówili. Tennant nie mógł tego pojąć. Podeszedł do okna i patrzył na deszcz. O co chodziło tej dziewczynie? Czy nie rozumiała, że miał w tej chwili problemy poważniejsze niż narkotykowa amnezja? Nie, żeby go to zupełnie nie obchodziło. Chciał po prostu uciec od własnej niepamięci. Zaprażył nagle wzbić się w górę, ponad deszcz. Uwolnić się.

Nie uciekaj przed życiem, boyo. Radź sobie z nim.

Boyo? Jakiś głos w jego myślach. Skąd się wziął? Czy narkotyki rzeczywiście mogły spieprzyć mózg tak totalnie?

- To wszystko jest jak biała karta - powiedział. - Sama przecież wiesz, za dużo kwasu, zbyt wiele podniebnych wycieczek. Czasami wlatywało się tak wysoko, że już się nie dało wrócić ze stratosfery. Części siebie zostawiało się na orbicie. Niektóre rzeczy po prostu zostały wykasowane z mojej pamięci. Mam tam teraz czarne dziury. - Przez krótką chwilę Tennantowi zdawało się, że Isadora ociera się o jego nogi. Dziwne złudzenie.

AJison Seagrove wzięła do ręki wycinek z gazety.

- Te czarne dziury w twojej pamięci muszą być ogromne, skoro nie pamiętasz nikogo z tego

zdjęcia.

- Skąd możesz wiedzieć jak to było. Jesteś za młoda - wypalił Tennant. - Ci, którzy produkowali kwas wcale nie przejmowali się tym, że będą go brały jakieś dzieciaki. Im zależało tylko na zysku, więc wypuszczali na rynek świństwa od których ludzie korkowali, albo coś im wysiadało. Ja miałem to nieszczęście, że trafiłem na taki kwas. I tak wyszedłem z tego obronną ręką. Niektórzy są upośledzeni.

- Ale przecież to jest niepełne życie.

- Nigdy o tym w ten sposób nie myślałem.

- A co właściwie myślałeś, Harry? Może ktoś cię zesłał na to zadupie, żebyś siał i zbierał swoje roślinki?

Tennant zignorował słowa dziewczyny. Nie chciał przyznać, że jego życie w tym lesie było nudne i cholernie uporządkowane. To prawda, zaniki pamięci denerwowały go, ale przecież miał na nie wytłumaczenie. Jeżeli jej to nie zadowalało, to już nic był jego problem.

- Czekam na dalszą część opowieści - powiedział.

Westchnęła. Drażniły ją jego dziwne uniki.

- To proste. Zaczęłam zbierać materiały do jednej z tych bzdurnych rubryk "Gdzie oni są teraz?" To taki zapychacz miejsca. Poszukiwanie nowego oblicza twarzy z przeszłości. Takie bla bla, ale kiedy zaczęłam w tym kopać, wciągnęło mnie. - Znowu położyła przed nim wycinek.

- Dwójka dzieciaków z tego zdjęcia tajemniczo zniknęła z powierzchni ziemi. Pozostałych dwoje nie żyje.

- Nie żyje? - Tennant nie wiedział, dlaczego poczuł nagły skurcz w żołądku. Czemu przejął się

tym, skoro w ogóle nie pamiętał tych ludzi? - Kto?

Dziewczyna wskazała palcem na chłopaka z wąsami.

- Ten, Carlos Carlos. Zginął w wypadku motocyklowym, w grudniu 1968.

Tennant przyjrzał się pustemu uśmiechowi chłopaka. Carlos. Czy to imię było mu znajome? Trudno powiedzieć.

- Kto jeszcze? - zapytał. Z trudem przełknął ślinę. Kuchnia wydała mu się nagle ciasna. W powietrzu brakowało tlenu.

Wskazujący palec Alison przesunął się po zdjęciu i zatrzymał się na grubej dziewczynie w okularach i kolorowym szalu.

- Kat. Skoczyła z mostu Golden Gate w marcu 1969.

Tennant poczuł dziwną ulgę, że Alison nie wskazała długowłosej dziewczyny pośrodku zdjęcia. Czuł naraz strach i ulgę - dziwne zestawienie.

- Mówiłaś, że pozostała dwójka zniknęła.

- Tak, dosłownie rozplynęli się.

- Ta dziewczyna w centrum... Nie znalazłaś żadnego śladu, wskazówki, gdzie może być?

Absolutnie nic?

Alison Seagrove usiadła przy kuchennym stole. Sposób w jaki patrzyła na zdjęcie świadczył o tym, że dziewczyna żyła tą historią.

Poszukiwania nie dawały spodziewanych rezultatów, frustrowały ją. Spojrzała na Tennanta z żalem. Zdawała sobie sprawę, że jej wizyta w tym lesie obudziła duchy, które należały do historii Tennanta. Były jego przeszłością.

- Zupełnie nic - odpowiedziała Alison. - To tak, jakby Maggie Silver nigdy nie istniała. Nie potrafił zrozumieć, skąd wzięła się ulga, którą poczuł, kiedy Alison wskazała grubą dziewczynę, a nie Maggie Silver. Miał wrażenie, że jakaś nić łączyła go z tą osobą. Wiedział, u w jego mózgu coś zostało zakodowane, ale w tej chwili nie potrafił nic zeń wydobyć. Czuł pustkę.

- Jest jedno proste wyjaśnienie tego, że ludzie znikają - stwierdził. - Wyprowadzają się i nie zostawiają swego nowego adresu. Szukasz osób ze zdjęcia, które zostało zrobione kawał czasu temu. Ludzie z Haight już dawno stali się przeszłością. Młodzi zmienili nazwiska, przestali brać i wydostali się z psychodelicznego świata zwidów. Wrócili stamtąd już jako zupełnie inni ludzie.

Tennant nie przesadzał. Po kilku kwasowych eskapadach, po podróżach przez krainę światła i cieni, po kosmicznych wirach nastrojów, kto chciałby się wciąż nazywać Clyde Bullington, George Kryzaminski, czy coś w tym rodzaju? Ludzie zmieniali imiona na Blask Słońca, Aureolka i na inne dziwne nazwy, które teraz wydawały się śmieszne. Tamto pokolenie i tamte czasy zalatywały już trochę pleśnią.

- Tylko ciebie udało mi się odszukać - powiedziała Alison Seagrove.

- W jaki sposób?

- Przez twego ojca. Bezpośrednio.

Stary, dobry Rayland. Ile to już lat nie widział swego ojca?

- Co to znaczy bezpośrednio? - spytał Tennant.
- Poznałam młodego prawnika, który pracuje w firmie twego ojca. Dowiedziałam się od niego, że nie utrzymujecie ze sobą żadnych bliższych kontaktów.
Bliższych kontaktów. Delikatnie powiedziane.

Nic rozmawiamy ze sobą, jeżeli o to ci chodzi. Nie mam ochoty spotykać się z nim. Nawet o nim nie myślę.

- Czy mogę wiedzieć, dlaczego?

Tennant był poruszony. Wiedział, że nie musi odpowiadać na pytania tej dziewczyny. Mógł po prostu nie reagować, traktować ją jak jakiegoś akwizytora albo ankietera zbierającego dane do bezsensownych badań. Ale on chciał rozmawiać, chciał uwolnić się od tego czegoś, co go dusiło. Chodził po kuchni z rękami mocno wciśniętymi w kieszenie. W uszach dźwięczał mu brzęk łańcucha, jakieś echo z odległej przeszłości.

- Co mam powiedzieć? Pokłóciliśmy się. Możesz to nazwać różnicami filozoficznymi, jeżeli lubisz eufemizmy. Rayland bronił faceta, a ja uważałem, że ten gnój zasługuje na stryczek. To był potwór.

- Czy ten potwór miał jakieś imię?

Imię. Tennant zawahał się. Nie mógł zmusić się do wymówienia tego imienia. Dźwięki same w sobie były bez znaczenia. Dopiero ich połączenie budziło w Harrym wstręt. Usiadł przy stole.

- Noel Harker. Pułkownik Noel Harker.

- Aha, ten rzeźnik.

- Właśnie, rzeźnik. - Tennant milczał przez chwilę. Wsłuchiwał się w ciszę domu, tak jakby to był gigantyczny zegar, który za chwilę zacznie tykać. - Ktoś, kto jest odpowiedzialny za masakrę wietnamskich kobiet i dzieci nie jest osobą, z którą chętnie zjadłoby się niedzielny lunch. Jak można było bronić go przed sądem? A Rayland właśnie to zrobił, i to cholernie dobrze, jeżeli w

ogóle można się zachwycać takim przedstawieniem. Biedny pułkownik Harker. Serce mi krwawi. Rayland wybronił go twierdząc, że odpowiedzialność Harkera jest ograniczona ze względu na “zmęczenie wojenne”. Sędziowie widzieli zdjęcia palonych dzieci, fotografie zabitych kobiet leżących w rowach, a Harkera po prostu puścili wolno.

- To było, zdaje się w 1967. Od tamtej pory nie rozmawiasz z Raylandem?

- Spotkaliśmy się raz, czy dwa. Nie pamiętam. Dla mnie fakt, że mój ojciec bronił Harkera był upokorzeniem. Powiedziałem mu wtedy, że ma gówno zamiast mózgu. On twierdził, że każdy ma prawo do jak najlepszego obrońcy. Chryste, prawie że doszło między nami do wojny. Pierwszy raz w życiu wstydziłem się za własnego ojca. Zaczął pojawiać się w telewizji. Gdziekolwiek dyskutowano o brutalności żołnierzy amerykańskich w Wietnamie, wiła, na ekranie pojawiał się mój ojciec usprawiedliwiając Amerykanów. Stał się ekspertem od tłumaczenia okropieństw. Jezu, jak mu to gładko szło. Był w tym naprawdę dobry. Jeszcze zanim kończył swoje wywody, ludzie mieli ochotę uścisnąć mu dłoń i podziękować za to, że uświadomił im, iż czasami brutalność jest nie tylko uzasadniona, ale wręcz pożądana.

Harry wstał. Nie mógł usiedzieć na miejscu. Nawet po tak długim czasie wywlekanie tamtych spraw denerwowało go. Już dawno powinien był je pogrzebać.

- Nie chciałem go po tym więcej widzieć. Nie chciałem mieć z nim nic wspólnego. Dla mnie on zwyczajnie umarł. Właśnie wtedy wyjechałem do San Francisco i zacząłem żyć według zasad, jakimi Rayland gardził. On się wkurzał, a ja byłem tym zachwycony. Czasami... - Zatrzymał się przy oknie.

- Czasami co?

- Chodzi o to, że kiedy byłem jeszcze dzieckiem, ojciec był dla mnie wspaniały. Moja matka zmarła, kiedy miałem osiem lat, a Rayland... Poświęcał mi cały swój wolny czas. Zabierał mnie do różnych miejsc. Razem chodziliśmy na mecze i do kina. Zdawało się, że nie chciał mnie zostawić samego nawet na chwilę. Był uważny, opiekuńczy. Był hojny. Trudno wyobrazić sobie lepszego ojca. Mógł przecież wysłać mnie do jakiejś drogiej szkoły z internatem, ale nie zrobił tego. Zatrzymał mnie w domu. Był na każde zawołanie, niezależnie od tego, nad czym akurat pracował. Właśnie takim chcę go pamiętać. Ten inny Rayland jest osobą, której nie chcę znać.

Patrzył przez okno. Nad lasem zapadał zmierzch. Zdawało mu się, że na tle drzew zobaczył sylwetkę matki. Po raz pierwszy od bardzo dawna. Na imię miała Lily. Nigdy nie lubiła środowiska, w którym, z racji swego zawodu, obracał się jej mąż. Znajomości Raylanda kwitowała twierdzeniem, że sprawy, w których był obrońcą mogłyby dostarczyć argumentów zwolennikom legalizacji eutanazji. Złodzieje i przestępcy. Przysięgam. Wszyscy się od nich odwracają, a ty chcesz ich bronić. Harry, dla nich liczy się tylko władza, tylko przemoc. Tak mówiła Lily. Jego matka zawsze była

•t*-

-

uważana za ekscentryczkę, głównie ze względu na zabawne fryzury, jaskrawy makijaż i niecodzienne nawyki.

Tennant spojrzał na dziewczynę.

- Ostatecznie zerwałem kontakty z ojcem jakiś rok po procesie Harkera. Spotkaliśmy się w San Francisco. Byłem wtedy na niezłym hajcu, co mi zresztą wcale nie pomogło. Byliśmy jak istoty z dwóch różnych planet. Wspomniał, że porzucił karierę adwokata i przerzucił się na coś, co wydawało mi się tak samo wstętne, jak bronienie zbirów. Zaczął “walczyć” w kongresie o poparcie dla producentów broni. Wystarczyło, że szepnął słówko we właściwe ucho, że umówił się na dyskretne spotkanie z senatorem, gdzieś w jakimś zacisznym barze. Sama wiesz, jak to jest. Rayland umie przekonywać ludzi. Miał kilku “znajomych” jeszcze z czasów, kiedy bronił Harkera. Pewnie oni namówili go, żeby przerzucił się na sprawy związane z produkcją broni. Chcesz przepchnąć jakiś miliardowy kontrakt na nowy czołg przez kongres? Rayland jest specem. Ma bardzo dobre układy ze wszystkimi ważniejszymi uszami w tym kraju. - Tennant przystanął. - Zrobiłem mu niezłą scenę w barze Marka Hopkinsa. Miał wtedy na sobie elegancki, ciemny garnitur. Ja byłem w skórze i wytartych dżinsach. Miałem włosy do ramion. Wylałem na niego drinka i cisnąłem mu w twarz garść orzeszków. Uderzył mnie. Teraz może się to wydawać zabawne, ale wtedy czułem się okropnie. W takich sytuacjach cała wielkość Raylanda ulatniała się.

- On czuł się dobrze, kiedy gdzieś toczyła się jakaś wojna, a ty byłeś hippisowskim pacyfistą. O to chodziło? - wtrąciła dziewczyna.

- Tak ja to rozumiałem - odparł Tennant. - Dla mnie wojna zawsze kojarzyła się z piekłem.

Na moment zapadła cisza. Tennant zastanawiał się, czy opowiadając dziewczynie o tym wszystkim zdołał zrzucić z siebie choć część ciężaru. Chyba nie.

- Tak więc spotkałaś jakiegoś miłego i uczynnego prawnika z firmy mojego ojca i on, tak po prostu, dał ci mój adres?

- Niezupełnie tak. Musiałam długo go przekonywać, że ten adres jest mi bardzo potrzebny. W końcu mi go dał. - Alison uśmiechnęła się chytrze.

Tennant zastanawiał się, w jaki sposób dziewczynie udało się przekonać prawnika z firmy Raylanda. Dostęp do archiwum był niemal niemożliwy. Plotki głosiły, że znajdowały się tam dokumenty obciążające wiele znanych osobistości.

- Zabawne - powiedział. - Nie miałem pojęcia, że Rayland wie, gdzie mieszkam. To było naiwne z mojej strony. Przecież wiedziałem, że ma sieć informatorów i prywatnych detektywów. Poza tym Raylanda zawsze cieszyło potajemne zbieranie informacji o wszystkich i porządkowanie ich w przepastnych szafach. Chyba to mu dawało poczucie władzy i przewagi nad innymi.

Tennant starał się przestać myśleć o ojcu. Te wspomnienia wywoływały u niego dziwne wrażenie, że coś zostało zdradzone. Wyciągnął rękę i położył dłoń na fotografii. W nikłym świetle szarzejącego dnia nie dostrzegał już wyraźnie tego, co przedstawiała. Czuł, że te twarze są mu obojętne, tak jakby zmierzch pozbawił je tajemniczości. Wciąż jeszcze w powietrzu wisiało dziwne napięcie. Harry miał wrażenie, że zbliża się jakieś niebezpieczeństwo, że coś się stanie.

Alison Seagrove podniosła zdjęcie.

-Więc nie pamiętasz z tamtych czasów nic. Twierdzisz, że byłeś za bardzo naćpany, że tak wpłynęła na ciebie atmosfera San Francisco z tamtych lat. Czy to właśnie chciałeś powiedzieć, Harry? Uważasz się za ofiarę tamtych czasów? Ranny weteran ulicznego ćpania. Swego ojca winisz za to, że trafiłeś w tamto środowisko i przyjąłeś alternatywny styl życia? - Harry miał wrażenie, że w jej głosie słyszy sarkazm.

-Winić jego? Nie. I tak w końcu trafiłbym do Haight. Zresztą, skąd mogę teraz wiedzieć co by było gdyby. Przecież nie mogę cofnąć się dokładnie do tego miejsca, w którym skrzyżowały się ścieżki mego życia. Nie wiem, dlaczego skręciłem w tę, a nie w inną stronę. To już przeszłość. Nie da się jej odtworzyć. - Tennant zirytował się. Jak ona to robiła, że z taką łatwością potrafiła wśliznąć mu się pod skórę?

- Tym bardziej, że ty nie jesteś specem od odtwarzania, czyż nie tak, Harry? Na przykład Maggie Silver. Nic o niej nie pamiętasz?

Pokręcił przecząco głową. Próbował dojść do tego, czym właściwie jest wspomnienie. Czy jest to dokładny obraz czegoś, czy też może trudne do opisanie uczucie albo tylko wrażenie?

- Posłuchaj, niestety nie mogę ci pomóc w napisaniu tej historii. To i tak dobre tylko do muzeum. Swój artykuł mogłabyś wsadzić

pomiędzy stare płyty Janis Joplin, Country Joe, Fisha, czy Jimiego Hendrixa. Na wiciu strychach znajdziesz kufry z hippisow- skimi ciuchami. Powiesz swojemu wydawcy, że to wszystko, do czego zdołałaś dotrzeć. Napisz o czymś innym.

- Dlaczego?

- Powiedziałem ci, dlaczego. To stare i nudne dzieje. - Nie podobał mu się jej upór, ale mimo wszystko cieszył się, że ma towarzystwo.

- Ale Harry, idzie ci coraz lepiej. Może zdołasz sobie przypomnieć coś o Sammym Obe. Pracował dla agencji fotograficznej Cygnet. Właśnie stamtąd dostałam nazwiska wszystkich osób ze zdjęcia. W archiwach mieli stare adresy trojga z was, ale nie było żadnych namiarów na ciebie i Maggie. Pomyślałam, że może Obe wiedział o was cokolwiek. To była jakaś szansa. W końcu to zdjęcie przyniosło mu rozgłos. Miałam nadzieję, że może Obe ma z wami jakiś kontakt. Warto było spróbować. Zadzwoiłam do jego żony. Dowiedziałam się, że Obe siedzi w jakiejś klinice psychiatrycznej w Iowa. Jak ma dobre dni, to nawet udaje mu się upleść kawałek wiklinowego koszyka. Przeważnie drze gazety i wykrzykuje jakieś słowa bez sensu. Tak jest już od 1968 roku. Nikt nie wie, co się właściwie stało. Jednego dnia wszystko było w porządku, a już następnego... - Pstryknęła palcami. Ten gest miał wyrazić, jak krucha jest granica między normalnością a obłądem.

Tennant otworzył drzwi kuchni i zapalił światło na zewnątrz. Lubił szum padającego deszczu.

- Dwójka nie żyje, fotograf znikował, a następnych dwoje zniknęło bez śladu ... Właśnie to jest dla mnie materiał na dobrą historię, Harry. - Stała tuż za nim. Czuł zapach jej perfum. Był

słodki, jak rozkrojona, dojrzała brzoskwinia.

- Może to zdjęcie jest przeklęte - zasugerował obojętnie. Deszcz zabębnił mocniej w dach. Tennant miał ochotę wyjść w ten szum. Nagle ulewa ustała. Było już prawie zupełnie ciemno.

- Tak, pewnie - powiedziała Alison. - Czy ty nie zastanawiasz się czasem, nie pytasz siebie samego skąd się wzięły te czarne dziury, czy jak je tam nazywasz? Czy to jest całe twoje życie, Harry? Ten las, to ciemne pole? Czy to już wszystko? To chyba niewiele, nie sądzisz?

- Było zupełnie w porządku - odparł Tennant. - Żyłem sobie zupełnie szczęśliwie.

Od jak dawna tu mieszkasz?

Od dziewięciu lat. Może trochę dłużej.

A przedtem? Uprawiałeś swoje roślinki gdzie indziej?

Zanim przyjechałem tutaj?

- Tak. Po tym, jak opuściłeś Ilaight. Co się z tobą działo?

Ja...

Miał wrażenie, że nagle jego umysł zanurzył się w pustkę. Podeszedł do balustrady werandy i wciągnął głęboko wilgotne powietrze. Czuł, że jego płuca nie pracują tak, jak powinny. Widział jedynie ciemność. Nic więcej. Żadnych wspomnień.

- No, Harry? Czy to też zapomniałeś dlatego, że za dużo ćpałeś?

Nie odezwał się. Rozpaczliwie szukał jakiegokolwiek śladu w swojej pamięci. Starał się wywołać choćby nikły błysk przypomnienia, nawet taki prawie niezauważalny. Wszystko będzie dobrze, bo o. Będzie ci się szczęśliwie żyło. Skąd się wziął ten głos w jego czaszce. Tennant był już bliski obłądu. Amnezja, jakieś głosy, cienie. Zamknął oczy i zmarszczył brwi. Próbował się

skoncentrować. Eter, pustka, jaskinia bez echa. Wróć. Harry. Wróć do czasów, kiedy jeszcze nie mieszkałeś w tym lesie. Cofnij się w przeszłość. Idź głębiej, jeszcze głębiej. Widzisz coś?

- Ja nie... - Otworzył oczy i popatrzył na las. Przez głowę przemykały mu fragmenty myśli. Dziewięć lat tutaj. Dziewięć lat to wszystko, co mam. Gdzie się podziała reszta mego życia? Czuł, że się ześlizguje w dół po jakimś zboczu. Wokół nie widział nic, czego mógłby się chwycić, tylko jakieś małe kamyki.

- Chcesz powiedzieć, że nie wiesz? - spytała Alison.

- Zaczekaj. Daj mi jeszcze minutę. - Zacisnął dłonie na balustradzie i wychylił się poza daszek osłaniający werandę. Deszcz padał mu teraz na twarz. - Daj mi jeszcze minutę -- powtórzył.

Dlaczego nie pamiętał nic z tamtego okresu swego życia? Czuł, że ogarnia go panika. Spokojnie, Harry. Powoli.

- Dobra. Byłem w San Francisco - powiedział.

- Do kiedy?

- Chyba do 1968.

- Kiedy przyjechałeś tutaj?

- W kwietniu w 1981 roku. Dwudziestego drugiego kwietnia.

Skąd taka precyzja?

- To nam daje jakieś dwanaście lat przerwy, Harry.

Dwanaście lat. Coś zabolalo go w piersiach. Zrobiło mu się słabo. Był jak strzep papieru na deszczu, jak latawiec, który zerwał się ze sznurka i utknął między gałęziami drzewa.

- Co pamiętasz z tamtego okresu?

- Słuchaj - zaczął szybko wyrzucać z siebie. - Jechałem na kwasie, mówiłem ci już. Nie pamiętam, ile tego brałem. Straciłem rachubę. Ostatnia partia była jakaś dziwna. To po niej coś się stało z moją głową. Z moją cholerną głową.

- Uspokój się - powiedziała dziewczyna. - Ciii...

Uspokoić się. Musiał się uspokoić. Czuł, jak narasta w nim strach. Nagle przypomniał mu się jakiś wściekle mocny kwas. Brał go przez jakiś czas. Miał wrażenie, że to świństwo wypali mu oczy. Widział jakieś wstrętne gady. Pełzały po jego poduszce. Pod deskami podłogi zagnieździły się futrzane istoty, które co noc drapały w drewno. Patrzył z okna na ruchliwą Schrader Street i zdawało mu się, że widzi płynącą lawę. Był w jakiejś szklarni. Nie miał pojęcia, jak się tam znalazł. Czuł okropną wilgoć. Tonał w prehistorycznych bagnach. Gigantyczny filodendron zwieszał nad nim swe liście. Jakaś niewiadoma siła wciągnęła go w kręte tunele, które zdawały się prowadzić do samego jądra ziemi. Tam już nie było nic prócz cienia, tak okropnego, że nie można było o nim nawet myśleć.

Nie pamiętał dokładnie całej tej straszliwej podróży. Nie wiedział, kiedy to było. Nie przypominał sobie pokoju przy Schrader Street. Czy tam właśnie mieszkał? Może spędził tam

tylko jedną noc? W tamtych czasach zwykle nocowało się to tu, to tam.

Odsunął się od dziewczyny. Dwanaście lat, których właściwie nie było. Ta myśl była jak meteoryt rozbijający się o fundamenty jego życia.

- Przecież musiałeś gdzieś wtedy być. Nie zdematerializowałeś się chyba. To niemożliwe, żebyś w 1969 przestał istnieć, a potem w 1981 powrócił do życia. Musiałeś gdzieś być, na miłość boską.

- Nie wiem. Nie mam pojęcia.

- Nie pamiętasz zdjęcia, nie pamiętasz tych ludzi. Nie pamiętasz sporej części swego życia. Zastanów się, Harry. Może byłeś w szpitalu? Kto się tobą opiekował? Zastanów się.

Szpital? Nie, nie pamiętał.

-- Nic wiem, do cholery. - Odwrócił się w stronę dziewczyny. Jedyne życie, jakie pamiętał było tu. w tym lesie.

- Harry... - Dziewczyna wzięła go za rękę i pociągnęła lekko w stronę wnętrza domu. Zmusiła go, by usiadł przy stole i naląła mu jacka danielsa. Wypił. Nie mógł się jednak uwolnić od wewnętrznych, zimnych dreszczy.

- Dlaczego nigdy nie zastanawiałeś się nad swoją przeszłością, Harry? Dlaczego nigdy nie myślałeś o tamtych latach?

Pokręcił głową.

- Nie wiem. - Wiedział tylko, że w kwietniu 1981 zaczęło się to życie, które pamiętał. Kiedy próbował się cofnąć w przeszłość, widział Haight. To wszystko. Amnezja, potworne słowo.

Alison westchnęła.

- Może nie chcesz pamiętać? Może jest to coś, co już pochowałeś?
- Na przykład co?
- Nie mam pojęcia. Gdyby to dotyczyło mnie, zrobiłabym wszystko, żeby poznać prawdę.

Chciałabym wiedzieć)gdzie byłam i z kim. Chciałabym odkryć, dlaczego nie pamiętam.

- Już ci mówiłem. Przez narkotyki.
- Dobra, przez narkotyki. Ale one chyba nie tłumią ciekawości, co, Harry?

Tennant odwrócił pustą szklankę do góry dnem i zaczął stukać w nią palcami. Przecież on był ciekawy. Powstrzymywał go tylko strach, strach przed tym, co mógł odkryć. Te dwanaście lat było dla niego pustką i nigdy nie zastanawiał się, dlaczego. Po co miał rozdmuchiwać te chmury teraz? A jednak. Zawsze miałem wrażenie, że coś nienazwanego czai się za horyzontem. Nigdy o tym nie myślałem bo... bo byłem zbyt zajęty.

- Powinieneś to rozważyć, Harry. Twoja sytuacja nie wygląda najlepiej. Mogą wsadzić cię do więzienia, czy tak?

- Tak.

- Musisz stawić temu czoło. Dla facetów takich jak Flitt, czy Rozak jesteś już skończony.

Wiedzą, gdzie cię szukać.

Flitt i Rozak. Czy byli współnikami? Czy Alison nie myliła się mówiąc, że Rozak był tylko elementem całej gry? Tennant znalazł się w rzece pełnej wirów, które w każdej chwili mogły go wciągnąć na dno. Flitt, Rozak, sędzia Stakowski, a może nawet Harcourt

McKay. Zdawało mu się, że z każdą kolejną rozgrywką znajdował się coraz bliżej więzienia. Może oni wszyscy spotykali się w jakiejś ciemnej sali na tyłach miejscowego baru i ustalali, jak będą manipulować życiem Tennanta. Zdawał sobie sprawę z tego, że myśli jak paranoik, ale czasem właśnie paranoja, z braku innych rzeczy, stawała się jedynym kompasem w życiu. Znowu poczuł ogarniającą go panikę. W mózgu kłębiły mu się jakieś obrazy. Rozak szeptał do Flitta, Flitt grał w goJfa ze Stakowskim, McKay jadł lunch z Roza-kiem, a wszystko zmierzało ku jednemu: Harry Tennant musiał trafić do więzienia. Wiedział, że to wszystko to tylko urojenia, ale nie był już w stanie myśleć logicznie. Znajomy ciężar strachu znowu go paraliżował.

- Powiniennem się stąd wydostać — powiedział. — Powiniennem uciec.
- Właśnie. Chyba że wolisz siedzieć i czekać, aż po ciebie przyjdą. Perspektywa ucieczki jest chyba o całe piekło lepsza niż odsiadka. Nie da się ukryć.
- Nie. - Tennant czuł coś więcej niż tylko obawę przed zamkniętą przestrzenią. Nachodziły go jakieś okropne wizje. Wyobrażał sobie strażnika, który go nie cierpi, towarzysza z celi, który z nudów uprawia sadystyczne gierki. Nie, nie mógł tutaj zostać.

Dziewczyna usiadła obok niego przy stole.

- Powiedzmy, że uciekniesz.
- Powiedzmy.
- Powiedzmy, że ucieknę z tobą.
- Zależy ci na artykule.
- Nie da się zaprzeczyć. Może między twoją utratą pamięci, a tym, co się stało z ludźmi ze

zdjęcia, istnieje jakiś związek?

- Czy to możliwe?

- Nie wiem, Harry, ale nie spocznę, dopóki się tego nie dowiem. Tobie chyba też nie da to spokoju.

Harry przez moment zastanawiał się nad innym rozwiązaniem. Mógł zadzwonić do ojca. Ten na pewno załatwiłby mu jakiegoś cholernie zdolnego adwokata, zamiast tego McKaya. Musiał być bardzo zdesperowany, skoro taka ewentualność w ogóle przyszła mu do głowy. Miał zadzwonić do Raylanda? Nie, nigdy.

- Co masz do stracenia?

Niepewnie zakreślił ręką koło. Dom? Przecież i tak go już stracił.

- Zastanów się, Harry. Co cię tutaj trzyma?

Dziewczyna miała rację. Nic. I nigdy nic go tu nie trzymało. Lustra, chmury, złudzenia. Nic. Jeżeli umknęło mu dwanaście lat życia, dlaczego miał stracić więcej siedząc za kratkami? Wstał z krzesła. Podjął już decyzję, ale strach nie opuścił go. Harry wciąż czuł jego zimne kleszcze.

Wszedł na strych. Gliniarze porozwalali jakieś stare walizki, które zostawili poprzedni właściciele domu. Rozrzucone po poddaszu ubrania modne były chyba w latach czterdziestych. Słodki zapach zbutwiałych rzeczy unosił się w powietrzu.

Rewolwer wciąż znajdował się w schowku pod jedną z desek. Harry nigdy nie lubił broni. Zastanawiał się, po co właściwie zabiera tego taurusa. Dla ochrony? Przed czym?

Wszystko działo się za szybko. Dlaczego tak szybko zgodził się uciec z tą dziewczyną? Z pewnością nie było to rozsądne, ale w końcu przecież nic nie miało już sensu.

W schowku razem z rewolwerem stały dwie puszki po kawie. Było w nich około sześć tysięcy dolarów w, setkach i pięćdziesiątkach. Wyjął gotówkę. Teraz mógł ruszyć[^] jak jakiś szaleniec, który skonstruował maszynę latającą i właśnie miał zamiar polecieć na papierowych skrzydłach ze stromego klifu w przerażającą otchłań morza. [^]

Przez całą drogę Tennant obawiał się, że zatrzyma ich policja. Za każdym razem, kiedy widział wóz patrolowy, spodziewał się, że za chwilę usłyszy syreny. Nic takiego się jednak nie zdarzyło. Alison prowadziła lekko, kierownicę trzymała jedną ręką. Czasem uśmiechała się do Harry'ego. Mijali kolejne miasta.

Alison powiedziała, że zatrzymają się w New York City. Chciała sprawdzić jedną informację. Podobno mieszkał tam Bear, którego prawdziwe nazwisko brzmiało John Sajac. Dziewczyna zdawała sobie sprawę, że odnalezienie go jest mało prawdopodobne.

- Nie mam nic do stracenia - twierdziła - Przez ostatnie pięć, czy sześć miesięcy sprawdziłam już chyba z sześć tysięcy adresów. Jedna pomyłka więcej, jedna mniej. Mam wrażenie, że nadaję się już na psa tropiciela. Kiedy gubię trop, robię wszystko, żeby go odnaleźć. Jeżeli ta informacja okaże się również nieprawdziwa, nie przestanę szukać. Wcześniej, czy później znajdę Beara Sajaca. Albo Maggie Silver. Albo oboje.

- Jesteś ambitna - stwierdził Tennant.

- I uparta - dodała Alison. - Jak każdy dziennikarz, który chce cokolwiek osiągnąć.

Determinacja i poświęcenie są konieczne w tym zawodzie. Konkurencja jest ogromna. Każdy tylko czeka, żeby cię na czymś wyrolować. Nie ma żadnych reguł.

Tennantowi przyszło do głowy, że dziewczyna goni za jakimś dalekim echem, stara się poczuć zapach dawno zgaszonych świec. To, co zaczęło się dla niej jak niewinna przygoda, kilka chwil grzebania w przeszłości, przekształciło się w intrygującą i przerażającą historię.

Harry pragnął jak najszybciej opuścić stan New York. Chciał już być w Pensylwanii albo w

New Jersey. Poza zasięgiem nowojorskich patroli. Patrząc na ciągnący się wzdłuż autostrady pas zieleni, Tennant cofał się w myślach w przeszłość, do czasów, kiedy jeszcze nie mieszkał w drewnianym domku w lesie. Próbował coś sobie przypomnieć, ale było to jak łapanie węgorza gołymi rękami. Kiedy to ciągle napięcie zaczynało go męczyć, myślał o zdjęciu Obe'a. Alison mówiła, że zostało zrobione w Chinatown. Czy on pamiętał coś z Chinatown?

Raz, czy dwa razy pojechał tam, żeby kupić opium od jakiegoś gościa, ale te wspomnienia były bardzo niewyraźne. To było tak, jakby cały jego świat zamarł. Harry kolejno przyglądał się twarzom ludzi ze zdjęcia, ale o ile twarz Maggie Silver wydawała mu się znajoma, to cała reszta była mu obca. Zresztą, może nawet ten nikły cień rozpoznania istniał tylko w jego wyobraźni. Dziewczyna z fotografii była piękna. Bardzo chciał wierzyć, że kiedyś ją znalazł. Zastanawiał się, gdzie teraz mieszkała, w którym z milionów miast mogli ją odnaleźć. Przecież mogła być wszędzie. Jeżeli żyła. Jeżeli ten wątek historii Alison Seagrove miał swój dalszy ciąg. Ile Maggie mogła mieć teraz lat? Pewnie około czterdziestu, tak jak on. Być może nie rozpoznałby jej na ulicy, mijając ją, nie domyśliłby się, że to dziewczyna ze zdjęcia Obe'a.

- Mogę cię o coś zapytać, Harry? Wciąż jeszcze bierzesz?

Harry zaprzeczył.

- Czasami tylko piję.

- Nigdy nie paliłeś tego, co sam uprawiałeś?

- Postanowiłem udowodnić, że potrafię bez tego żyć. Przeprowadziłem na sobie test. Zdałem.

- Ale wcześniej bywało różnie?

- Wcześniej. Jeżeli było coś do połknięcia, palenia, czy wążania, brałem to. Z zawiązanymi

oczami potrafiłem odrożnić Rangoon Red od Mauie nawet ich nie próbując. Czystość koki umiałem określić po samym jej zapachu. Oczywiście takie zdolności nie na wiele się zdają w życiu. Talenty zmarnowanej młodości. Z pewnością nie dostałabyś dzięki nim lepszej pracy. Kiedyś narkotyki to była po prostu niezła zabawa.

Owsley's Sunshine, czy Orange Wedge. Cudowny kwas. Innocence. Pamiętał, że ta zabawa stopniowo zaczęła się zmieniać

w koszmar. Kolory blakły. Świat stawał się szary. Na ulicach zaczął pojawiać się lewy towar produkowany przez dupków, którym zależało tylko na tym, by zarobić parę dolców więcej. W bezpłatnych przychodniach w Haight zrobiło się tłoczno od ofiar tych narkotyków. Koszmarne noce, dzieciaki szlochające bez żadnej przyczyny, wycie do księżyca, bełkotliwe krzyki wciśniętych w świat horroru. To wszystko, co pamiętał.

Spojrzał na jakiś zardzewiały silos, obok którego przejeżdżali. Opuszczona farma. Na horyzoncie pojawiło się Albany. Zastanawiał się, czy do tej gęstwiny biurowców dotarła już wiadomość

o facecie, który został wypuszczony za kaucją i zwiął. Wyobrażał sobie swoje nazwisko pojawiające się na ekranie komputera i z zawrotną szybkością rozsyłane do wszystkich możliwych miejsc. Zdawał sobie sprawę, że jego nieobecność mogą odkryć dopiero po kilku dniach, kiedy nie stawi się na umówione spotkanie u McKa-ya, albo gdy Flitt wpadnie na pomysł, żeby zajrzeć do niego i zadać jeszcze kilka pytań, ale przecież fakt, że Harry'ego nie było w domu, nie musiał oznaczać, że uciekł. Mógł przecież akurat albo wyjechać do sklepu albo pójść na długi spacer. Ta myśl uspokoiła go. Miał trochę czasu, choć nie wiedział dokładnie ile.

- Gdzie szukałaś Maggie Silver? - spytał Tennant.

- Najpierw pojechałam do Haight. To wydawało mi się najbardziej logiczne. Nie miałam przecież żadnego adresu. Nie znalazłam żadnego w słynnych archiwach Cygneta. Nie wiem dlaczego. Może jej akta zostały zniszczone. Przepadły. Kto wie? Zdołałam tylko ustalić jej imię i nazwisko, to wszystko. Próbowałam dowiedzieć się czegoś w Haight. Zostało tam paru rozbitków

z lat sześćdziesiątych. Nikt jej nie pamiętał. Próbowałam odnaleźć ją przez firmę ubezpieczeniową. Mam tam kilku znajomych. Niestety, nic to nie dało. Ani śladu po Maggie Silver. Przejrzałam spis rejestracji. Przypuszczałam, że może mieć samochód. Kolejna niewiadoma. Trop prowadzący donikąd. Może nie żyje, a może tylko zmieniła nazwisko.

Nie żyje. Tennant zamknął oczy. Wsłuchiwał się w rytmiczne odgłosy silnika. Gdzieś z jego wyobraźni wypłynął obraz okna w pokoju na Schrader Street. Widział z niego jadące ulicą samochody. Przyglądał im się godzinami. Miał niejasne przeczucie, że w tym pokoju było coś więcej niż tylko łóżko i podłoga. Skąd się brało? Przecież wszystkie szczegóły zostały wymazane. Jego pamięć była jak wielki szary, martwy basen, na którego powierzchni od czasu do czasu pojawiała się jakaś zmarszczka. Pod wodą kryły się wraki wydarzeń i wspomnień z przeszłości. Wraki z dwunastu lat jego życia. Wyobraź sobie, że stanowisz całość, że twoje życie jest kompletne, powtarzał sobie w myślach. Teraz wybrałeś się po prostu na przejażdżkę z młodą, ładną dziewczyną.

- Powiedz mi coś więcej o tym prawniku z firmy mojego ojca- poprosił Tennant. - Musiałaś się z nim przespać, żeby dostać moje akta?

- To zastrzeżona informacja. - Dziewczyna udała, że koncentruje się na prowadzeniu.

- Przecież nie dał ci mego adresu tak za nic. Prawnicy raczej nie są znani z takich oznak wielkoduszności i bezinteresowności.

- Parę razy zjadłam z nim obiad.

- A potem?

-Odchrzań się, Harry!

- Ty grzebałaś w moim życiu. Teraz ja chcę trochę pogrzebać w twoim.
 - Nie pamiętam, żebyśmy zawierali taką umowę.
 - Ty zadajesz pytania, a ja próbuję odpowiedzieć, czy takie są twoje zasady gry?
 - Nie mam ochoty o tym rozmawiać.
 - Zróbmy tak: jedna zasada twoja, jedna moja i tak dalej... Pełna demokracja.
 - Nigdy nie twierdziłam, że popieram demokrację. Co do mojej pracy, potrafię być prawdziwym dyktatorem. Jak ci się nie podoba, to zwracamy. Odwiozę cię z powrotem.
 - To chyba nie jest najlepszy pomysł. - Harry'ego rozbawiło to, iż trafił w słaby punkt Alison.
- Skęcili w jakąś boczną uliczkę osiedlową, wzdłuż której ciągnęły się stacje benzynowe i bary szybkiej obsługi. Alison zaparkowała przy jednym z takich barów twierdząc, że musi coś zjeść. Wnętrze jadłodajni "ozdabiały" tablice rejestracyjne z całych chyba Stanów Zjednoczonych. Jedynym wyjątkiem była meksykańska tablica z numerami z Sonory. Z szafy grającej wydobywały się dźwięki utworu Merle Haggard. Akurat kończyła się partia skrzypiec.

I'm always on a mountain when I fall...

Alison zajęła stolik przy oknie. Harry usiadł naprzeciwko. Dziewczyna wzięła menu, którym była poplamiona ketchupem kartka papieru.

- Nie musiałam się z nim przespać, Harry. Był zbyt zajęty zastanawianiem się nad możliwością pójścia ze mną do łóżka, żeby zauważyć, że go zwyczajnie... powiedzmy wykorzystałam.

- Czy mnie także wykorzystujesz? - zapytał.

- Ty, to co innego. Sądzę, że nasza znajomość jest korzystna dla obu stron.

- Ulżyło mi. - Harry dobrze czuł się rozmawiając o zwyczajnych sprawach. Blablabla, nic ważnego. Prawie jak normalny człowiek.

Spojrzał do menu. Nie był głodny. Młodziutka kelnerka z dużym krzyżem na piersiach i z przypiętym identyfikatorem, który zawierał tylko imię JACKIE, podeszła do nich. Alison zamówiła cheeseburgera i bloody mary. Harry poprosił tylko o piwo. Kiedy kelnerka odeszła, Alison pochyliła się ku niemu.

- No, Harry? Czy w kwaterach głównych twojego mózgu podjęto jakieś ważne decyzje? Dobrze, że umiała z tego żartować. Potrzebował luzu.

- Niestety, wszyscy tam strajkują - uśmiechnął się. - Narzekają na niehigieniczne warunki pracy i kiepskie płace. Mają parę żądań.

- Niewdzięczna zgraja - stwierdziła dziewczyna. - Nie powinni narzekać. Przepracowali niewiele godzin.

- Niestety, nic na to nie poradzę. - Zastanawiał się, jak długo można żartować. Kelnerka

przyniosła to, co zamówili. Tennant podniósł kufel, ale nie od razu zaczął pić. Przyglądał się pękającym na powierzchni bąbelkom. - Wiesz, przyszło mi do głowy, że w ogóle cię nie znam. Skąd pochodzisz? Gdzie się uczyłaś? Dlaczego zostałam dziennikarką?

- Nie ma o czym opowiadać.

- Chciałbym cię trochę lepiej poznać.

Chwilę milczała, tak jakby zastanawiała się, ile mu powiedzieć.

- Wychowałam się w Tonawanda - zaczęła. - Słyszałeś kiedyś o tym miejscu?

- To przedmieścia Buffalo - powiedział. - Urodziłaś się tam?

Nie odpowiedziała na jego pytanie. Mieszkała wolno drinka.

- To jest miejsce, z którego każdy chce się wyrwać. Moi rodzice są uczciwymi ludźmi. Tata pracuje w banku. Mama kiedyś chciała grać w teatrze. Stare dzieje. Miała wielkie ambicje i zero talentu. Mieszkaliśmy w domu, który przypominał trochę ranczo. Stał w szeregu innych, identycznych domów, których mieszkańcy zawsze wywieszali flagi, kiedy było narodowe święto i urządzali latem przyjęcia w ogrodach. Zawsze miałam wrażenie, że tam nie pasuję. Nie należałam do nich, czułam się obco.

- Kiedy stamtąd wyjechałaś?

- Trzy, czy cztery lata temu. W szkole średniej chodziłam na kursy dziennikarstwa. Potem rok studiowałam, ale to mi zupełnie nie odpowiadało. To nie był prawdziwy świat. Ja pragnęłam żyć aktywnie. Chciałam, żeby wokół mnie coś się działo, Harry. Chciałam mieć poplamione atramentem palce i tysiące telefonów dziennie, i terminy, których musiałam dotrzymać, choćby

się paliło i waliło. W Nowym Jorku poszcześciło mi się. Dwa miesiące pisaniny, aż w końcu trafiła mi się niezła historia. Spory ładunek kokainy tajemniczo zginął z magazynów NYPD. Ten artykuł pomógł mi wyrwać się z kręgu podrzędnych pisarzy. - Odstawiła drinka. - Mówiłam ci już, że miałam trochę szczęścia. No i wydawcę, który pozwalał dziennikarzom pracować według własnych metod i kryteriów. Niewielu takich zostało na świecie.

- Odwiedzasz rodziców?

Wzruszyła ramionami. W tym geście było coś zastanawiającego. Może tak samo jak Tennant zebrała ze swoimi bliskimi. Może pokłócili się o to, jaką przyszłość sobie wybrała. Kto wie, jakie bitwy toczyły się za ścianami domów w Tonawada? Harry patrzył, jak dziewczyna wolno sący swoją bloody mary.

- Już od dawna nie byłam w domu - powiedziała.

- To wszystko? Cała twoja opowieść?

- To wszystko, co mogę ci powiedzieć, Harry.

- Nie układa ci się z rodzicami?

- Harry, już wystarczy.

Tennant chciał dowiedzieć się o niej czegoś więcej.

- Masz jakiegoś faceta?

- Zadajesz zbyt wiele pytań.

- A więc przynajmniej tę cechę mamy wspólną.

Zauważył cień uśmiechu na jej twarzy.

- Powiedzmy, że miałam parę przygód.
- A teraz?
- Chryste, Harry. Daj sobie spokój z tymi pytaniami.
- Biorę to za “nie”.
- Jak sobie chcesz. Daj mi tylko w spokoju zjeść. Odczep się ode mnie, dobrze?
- Dobrze, ale tylko na chwilę.

Wstał i rozejrzył się. Przy wejściu zauważył drzwi z napisem “Toaleta Męska”. Poszedł tam, załatwił się i umył ręce. W lustrze zauważył swoje blade odbicie. Powinien się ogolić. Przyjrzał się swojej twarzy. Była teraz znacznie okrąglejsza i bardziej pomarszczona niż na zdjęciu Obe’a. Wokół oczu i na czole zmarszczki tworzyły głębokie bruzdy. Ciemne włosy zaczęły już siwieć i przerzedzać się. Brązowe oczy wydawały się starsze niż cała twarz. Gdyby zobaczył kogoś takiego na ulicy, pomyślałby, że to skończony ponurak.

Papierowymi ręcznikami osuszył ręce. Jakiś grubas w ciemnych okularach i wściekle czerwonej czapce z daszkiem wszedł do toalety. Obdarzył Tennanta zimnym spojrzeniem i zamknął się w kabinie. Harry usłyszał długie pierdnięcie. Zastanawiał się czym sobie zasłużył na takie lodowate spojrzenie.

Przyszło mu do głowy, że zaczął myśleć tak jak zbieg. Podejrzewał wszystkich i wszystko. Nawet w najbardziej niewinnych twarzach rozpoznawał potencjalnych prześladowców. Facet z toalety, obcy mężczyzna w korytarzu w motelu, kierowca jadącego za nimi samochodu. Jak można było tak żyć?

Czy jest już za późno, żeby wrócić do tamtego rozwalonego domu, do więzienia, myślał.

Było o wiele za późno. Tamten rozdział jego życia już dawno się zakończył. Tennant wrócił do stolika. Alison z głową pochyloną w stronę okna, patrzyła na świat za szybą. Coś w jej pozie, w linii jej podbródka sprawiło, że przystanął. Miał wrażenie, jakby nagle serce skul mu gorący, metalowy pancerz. Nie pojmował tego. Powietrze stało się ciężkie. Harry miał trudności z oddychaniem. Nagle znalazł się w próżni. W ogóle nie docierał do niego hałas panujący w barze. Alison odwróciła się do niego i uśmiechnęła się. Dziwne wrażenie zniknęło. Cokolwiek to było, wróciło na swoje miejsce. Ukryte drzwi na powrót się zatrzasnęły.

Manhattan. Deszcz, beton i szare, ołowiane niebo. Miasto aniołów. Tennant zastanawiał się, czy można było wytrzymać w tym miejscu dłużej, niż trwa ludzkie życie. Tłok, korki, ulice zapchane samochodami, zdenerwowani kierowcy, upiorny dźwięk klaksonów, niecierpliwy i zdesperowany chór miasta. Ciągła wojna z tym, czego nie da się zmienić.

Tennant przetaił dłonią zaparowaną szybę cadillaca. Czuł się w tym mieście jak wieśniak. Ile to już lat minęło od czasu, kiedy był tu po raz ostatni? Dziesięć? Jedenaście? Leniwa i brudna rzeka Hudson mignęła im między budynkami. Sunęła po niej jakaś barka. Alison szczęśliwie udało się znaleźć kawałek miejsca, aby zaparkować cadillaca. Wprawnie wcisnęła wóz między dwa samochody dostawcze.

Tennant wziął swoją torbę i wysiadł z wozu. Skulił się przed deszczem. Alison skierowała się w stronę wejścia do małego hoteliku. Harry poszedł za nią. W hallu czuć było trochę wilgocia, zapach mokrych parasoli. Co teraz? Czy właśnie tutaj mieli szukać Beara Sajaca?

Harry miał wrażenie, że stracił w życiu wszelkie oparcie. Zmiana była zbyt gwałtowna. Musiał

dostosować się do szybkiego życia, jakie prowadziła dziewczyna. Ona była u steru, on się podporządkował. Ona wydawała rozkazy, on się na nie zgadzał. Co go powstrzymywało przed powiedzeniem jej: “Dobra, mała, teraz niech się każdy zajmie sobą. To by było na tyle.” Mógł przecież po prostu odwrócić się i wyjść na ulicę. Czy obawiał się, że bez niej będzie się czuł zupełnie zagubiony? Bał się stawić czoło samotności?

Zatrzymał się przed recepcją, obok Alison. Musiał stłumić w sobie uczucie zależności od tej dziewczyny. Chyba jeszcze stać go było na to, żeby iść tam, gdzie mu się chciało. Nie potrzebował jej i nie chciał wplątywać się w jej historię. Nie miał zamiaru być jednym z jej bohaterów uwiecznionych między wierszami artykułu.

Położyła na blacie kartę kredytową. Podpisała jakiś formularz i dostała dwa klucze. Jeden z nich dała Tennantowi.

- Tylko na jedną noc - powiedziała. - Pokoje są obok siebie. Chyba ci to nie przeszkadza.

Tennant odezwał się dopiero w windzie.

- Nie spodziewałem się, że zostaniemy w mieście. Sądziłem, że sprawdzisz swój trop i wyjedziemy z tego stanu.

- Rozchmurz się, Harry. Przecież w recepcji nie podałam twojego nazwiska. Chyba nie sądzisz, że mogłabym powiedzieć “Ten facet jest zbiegiem, zadzwońcie po gliny”. Nie martw się, jutro stąd znikamy.

Dokąd? Harry zastanawiał się, ale nie zapytał. Od samego początku zadawał za mało pytań. Dokąd jadą? Jakie mają plany? Tennant był zadowolony, że wymknął się Flittowi, że uniknął więzienia. Przekonywał sam siebie, że reszty dowie się później. Alison wyjaśni mu dokąd zmierzają, jaki mają cel i jakie są szanse, że go osiągną.

Wysiedli na siódmym piętrze. Alison powiedziała, że musi wziąć prysznic i że spotkają się na dole, w barze. Tennant zgodził się.

Otworzył drzwi do swego pokoju. Pomieszczenie było długie i wąskie. Okno wychodziło na ulicę, po której walały się strzępy wilgotnych gazet, jakieś opakowania i kawałki linoleum. Zwyczajny collage miejskich śmieci rozganianych przez wiatr. Harry przysiadł na łóżku. Płócienną torbę postawił między stopami, na podłodze. Pokój był bardzo skromnie urządzone. Jakiś widoczek z Alp na ścianie, telewizor, łazienka. Czuło się tutaj denerwującą anonimowość, tak charakterystyczną dla większości hoteli. W recepcji, razem z dokumentami zostawiało się swoją tożsamość, swoją indywidualność, ale Tennant nie miał czegoś takiego. Jaka była jego tożsamość?

Zajrzał do małej łazienki. Stara wanna nie zachęcała do kąpieli, ślady rdzy na prysznicu. Świetne miejsce na popełnienie samobójstwa. Jeżeli ktoś chciał się zaćpać na śmierć, nie mógłby znaleźć lepszych warunków. Jeśli nie miało się w planach samobójstwa, można było wziąć kąpiel

w klaustrofobicznej, rdzawej piance.

Podszedł do drzwi, które łączyły jego pokój z pokojem Alison. Były zamknięte. Zdawało mu się, że za ścianą słyszy głos dziewczyny. Może rozmawiała z kimś przez telefon, z wydawcą, albo z przyjacielem. Może mówiła o tym, że udało się jej odnaleźć jedną osobę ze zdjęcia? Przycisnął ucho do drzwi i nasłuchiwał, ale w hotelach takich jak ten grube drzwi i ściany skutecznie tłumiły dźwięki. Nie udało mu się odróżnić żadnych słów. Nie był nawet pewien, czy słyszał głos Alison. Może te dźwięki dochodziły z jakiegoś innego pokoju. Miał wrażenie, że w tym głosie jest coś tajemniczego, jak w głosie wróżki objawiającej sekrety z zaświatów.

Kiedy głos umilkł, Tennant odsunął się od drzwi. Czuł się głupio. Cieszył się, że nikt nie przyłapał go na podsłuchiwanie. Wszedł do łazienki i wyjął torebkę z przybor;mi do golenia. Zmienił żyletkę w maszynie na nową.

Kiedy odkręcił wodę usłyszał dzwonek telefonu. Podszedł do stolika obok łóżka i podniósł słuchawkę. Dzwoniła Alison. Pytała, czy mogliby się spotkać w barze za jakieś dziesięć minut. Kiedy odłożył słuchawkę, zdał sobie sprawę, że już od wielu lat nikt do niego nie dzwonił. Dawniej, kiedy jeszcze brał narkotyki dzwonek telefonu budził w nim strach. Szczególnie bał się głuchych telefonów, kiedy po drugiej stronie była tylko cisza przerywana krótkimi westchnieniami. Tennantowi zdawało się wtedy, że wchodzi w jakąś inną, upiorną rzeczywistość.

Ogolił się, zmienił koszulę i wyszedł z pokoju. Zapukał do Alison. Nikt nie odpowiedział. Harry pomyślał, że dziewczyna pewnie już zeszła do baru. Wsiadł do windy. Poczł lekkie szarpnięcie, kiedy ruszyła w dół. Wyobrażał sobie jak grube liny wciągają i opuszczają dźwig w czarnym szybie. Zaświeciło się „P\ Parter

Wszedł do urządzonego w brązach pomieszczenia, w którym panował wieczny półmrok. Na barze stały lampy z zielonymi kloszami. Płonące na stolikach świece osłaniało pomarańczowe szkło. Tennant był jedynym klientem. Alison jeszcze nie było. Harry zajął stolik, z którego mógł widzieć wejście i korytarz. Na dworze padał deszcz. Zapalono już uliczne lampy. W korytarzu ludzie snuli się to w jedną, to w drugą stronę. Chłopcy hotelowi dźwigali walizy. Jakiś uśmiechnięty mężczyzna na wózku przejechał przed recepcją. Setki istnień tłoczyły się obok siebie.

Tennant zamówił whisky z wodą sodową. Nagle usłyszał melodię. Znał ją. Simon i Garfunkel “Bridge Over Troubled Waters”.

Harry sączył wolno drinka oczekując, że lada chwila w drzwiach pojawi się Alison. Stracił poczucie czasu. Nie wiedział ile czasu siedzi już w tym barze. Dziesięć, dwadzieścia minut, może więcej? Zapytał barmana, czy może skorzystać z telefonu. Zadzwoił do pokoju dziewczyny. Nikt nie odpowiedział. Wrócił do stolika i dokończył swego drinka.

Co się mogło stać? Czy coś ją zaskoczyło? Może utknęła w windzie? Może zatrzasnęła się w łazience? Może, może, może...

Miał tak siedzieć i bawić się w zgadywanki? Spróbował jeszcze raz zadzwonić do Alison. Tym razem linia była zajęta. Dziewczyna dzwoniła do kogoś, albo ktoś do niej. Odłożył słuchawkę, zaczekał minutę i jeszcze raz wykrecił jej numer. Sygnał był wolny. Nikt nie odbierał. Czy wcześniej wykrecił nie ten numer? A może dziewczyna wyszła zaraz po tamtym telefonie? Odłożył słuchawkę. Zamówił następnego drinka do stolika. Siedział wpatrując się w migotliwy płomień świecy.

To miejsce budziło w nim niepokój. Dziewczyna na pewno pojawi się za chwilę i będzie wyjaśniała, że coś ją zatrzymało, a on przyjmie jej tłumaczenia z uśmiechem. Koniec, kropka. Czy w ogóle było tu cokolwiek do wyjaśniania? Mógł podejrzewać, że miała jakieś ukryte cele, może chodziło jej o coś więcej niż tylko ciekawy artykuł. Jeżeli tak, to ten zajęty sygnał telefonu powinien go zaniepokoić. Nie! Musiał jej ufać. Była jego przewodnikiem przez to bagno, nie mógł jej nie ufać.

Niechący przewrócił scotcha. Płyn rozlał się po stoliku i zaczął wsiąkać w papierową serwetkę. Przybiegła kelnerka, strofując go za brak dobrych manier.

Posłał jej nieobecny uśmiech. Idź z prądem. Żyj chwilą. Głęboko wciągnął powietrze. Był już spokojniejszy.

Kelnerka przyniosła mu nowego drinka. Tennant wziął serwetkę i porwał ją na paski. Jeden umieścił w kloszu ze świecą. Papier natychmiast się zapalił. Harry wrzucił płonący strzep do popielniczki. Po chwili zgasł. Igranie z ogniem? Być może.

Ogień. Petardy. Czy był w Chinatown podczas jakiegoś święta? Każde pytanie, które sobie

zadawał prowadziło go w głąb grobowca jego przeszłości. Niestety, za każdym razem zastawał zamknięte drzwi. Tak, jakby już nie żył. Kim był, skoro nie miał wspomnień? Czy w ogóle był kimkolwiek? Jak mógł sprawdzić, czy coś zdarzyło się naprawdę, skoro tego nie pamiętał? Znowu poczuł zdenerwowanie. Całe jego opanowanie i spokój przysły, spłonęły razem ze strzępem papierowej serwetki. Harry skończył scotcha i podpalił kolejny kawałek papieru. Patrzył jak się zwija i kurczy.

- Poparzysz się, Harry.

Spojrzał na zbliżającą się do stolika dziewczynę. Miała na sobie krótką, czarną sukienkę i rozpięty czarny płaszcz przeciwdeszczowy.

Usiadła obok niego.

- Przepraszam, że trwało to tak długo.

Czekał, aż zacznie się tłumaczyć, wyjaśniać, że musiała gdzieś zadzwonić, ale nic takiego nie nastąpiło.

- To co, idziemy? - spytała tylko.

Zawahał się. W końcu miała prawo do prywatnego życia, o którym on nie musiał nic wiedzieć. Jacyś przyjaciele, praca, koledzy. Czy to, że zadzwoniła do kogoś było przestępstwem? Tylko w jego myślach.

Zaufaj jej, Harry. Musisz. Nie masz nikogo innego. Bez niej byłbyś najbardziej samotnym człowiekiem na świecie.

Wstał od stolika. Strzęp papierowej serwetki przykleił się do roztopionego wosku. Wolno spalił się czarnym płomieniem.

- Ten facet nazywa się Alphonse Trebanzi - powiedziała Aiiison. Jechali ulicami dolnego West Side. Mijali oświetlone sklepy i bary. Wciąż padało. - W sześćdziesiątym ósmym, Bear Sajac podał adres Trebanziego w Haight. To była pewnie jakaś melina. Oczywiście potem Trebanzi przeprowadzał się kilkanaście razy. Trudno było go odnaleźć. Facet nie płacił żadnych składek ani rachunków, nie był też ubezpieczony. Nie miał samochodu. Nie miałam pojęcia, gdzie go szukać i wtedy przyszło mi do głowy, że Trebanzi pewnie tak jak pozostali siedział w narkotykach. Sprawdziłam setki klinik i zakładów, które prowadziły kuracje odwykowe. W końcu trafiłam na jakiś trop. Był na odwyku w New Jersey jakieś cztery lata temu. Tam właśnie, po wielu tygodniach poszukiwań, udało mi się zdobyć ten adres. Przyznaję, że jest to strzał w ciemno. Być może Trebanzi już nie żyje, ale to jedyny trop, po którym mogę trafić do Beara.

Tennant zastanawiał się jak zawiła może być sieć powiązań między ludźmi. Dwadzieścia lat temu John "Bear" Sajac mieszkał w Haight z niejakim Trebanzim. Jakimś dziwnym zrządzeniem losu, przeznaczenia, czy czegokolwiek innego, co steruje naszym życiem, Bear, Tennant, Maggie Silver i jeszcze dwoje innych dzieciaków znaleźli się razem na jednej fotografii. Przypadek? Skrzyżowanie dróg ich życia? Być może właśnie Bear mógł pomóc w rozwiązaniu zagadki, która nie dawała spokoju Alison. Dzięki niemu mieli szansę wyjaśnić tajemnicę tego zdjęcia. Idąc jego tropem mogli odnaleźć Maggie Silver.

Mogli, pod warunkiem, że w ogóle istniał jakiś trop. Przecież Bear i Maggie mogli już nie żyć.

Tennant nagle uświadomił sobie, że ta ścieżka wiodła w głąb jego własnego życia, w głąb tego tunelu, w którym tylko gdzieniegdzie rozbrzmiewały jakieś szepty, czy fragmenty piosenek. Nie

znał tej drogi. Bał się, że może go ona zaprowadzić do miejsc, w których nie miał ochoty się znaleźć. Patrząc na ciemne ulice Manhattanu, Tennant miał wrażenie, że w powietrzu wisi strach. Jego przeszłość była państwem, do którego nie miał wizy. Zresztą przypuszczał, że było to nieprzyjemne miejsce, którego nikt nic chciał odwiedzać, więc wizy i tak nie były potrzebne. Bagno umysłu, siedlisko trędowatych wizji.

Harry przyglądał się ulicom. Jakiś pijak sunął chodnikiem, nie zważając na padający deszcz. Zgarbiona staruszka pchała przed sobą wózek z całym swoim nędznym dobytkiem. Dwóch gliniarzy stało w jasno oświetlonym wejściu jakiegoś sklepu.

Ciężki taurus wepchnięty w kieszeń płaszcza uwierał go trochę. Właściwie nie wiedział, dlaczego zabrał broń. Może miał nadzieję, że będzie się czuł bezpieczniej. Wsunął rękę do kieszeni i dotknął rewolweru. Zapadał zmierzch.

Ciąg bloków, gdzieś gdzieś jakaś cudem ocalała latarnia. Pełna anonimowość. Trudno byłoby sobie wyobrazić przyjęcie dla sąsiadów w takiej okolicy jak ta. Tutaj ludzie byli samotni w tłumie. Żyli obok siebie i byli sobie zupełnie obcy. Tennant wyobrażał sobie mieszkańców tych koszmarnych domów. Upokorzenie i tak już ubogich dusz, odczłowieczanie ludzi.

Alison zaparkowała samochód przed jakimś domem. Te okolice działały na Harry'ego przygnębiająco. Nie miał ochoty wysiadać z samochodu, ale przewyciężył to uczucie. Kilka stopni dzieliło ich od drzwi wejściowych, obok których widniał w ścianie rząd guzików i tabliczki z nazwiskami. Wiele było już nieczytelnych, wyblakłych. Część została wymieniona. Mieszkańcy pojawiali się i znikali nie zostawiając po sobie żadnego śladu. Wspaniałe miejsce dla zbiegów, facetów zalegających z alimentami, nieudacznym naciągaczom i pijakom.

Alison zapaliła zapałkę i przysunęła ją do przycisków. Czytała kartki z nazwiskami.

- Gdzie do cholery jest ten Trebanzi?

Tennant patrzył na ulicę. Okna domów świeciły niebieskim blaskiem telewizorów. Czasami przed ekranem przechodziła jakaś

postać rzucając na ścianę olbrzymi cień. Niekiedy Harry'ego dobiegały jakieś podniesione głosy, małe domowe wojny. Takie miejsca niszczyły wszelkie pozytywne uczucia.

- Bingo! - powiedziała Alison. Płomień zapalki zaczął parzyć ją w palce, więc ją rzuciła i zapaliła kolejną. W końcu, przy jednym z guzików, znalazła nazwisko Trebanzi. Tennant nawet się nie odwrócił, kiedy usłyszał głos dziewczyny. Patrzył bezmyślnie w ciemność ulicy. Rękę wciąż trzymał w kieszeni, w której miał broń. Bał się. W monotonnych strugach deszczu ciągle widział jakieś twarze. Zdawało mu się, że w szumie ulewy liście drzew szepczą jakieś słowa. Krople deszczu dołączały do tego wiadomość wystukiwaną alfabetem Morse'a na walających się wokół plastikowych opakowaniach. Sztuczki ludzkiego umysłu. Zwyczajne dźwięki nabierają nagle znaczenia, stają się przesłaniem albo groźbą.

Spojrzał na Alison. Emanował z niej spokój i determinacja. Dla Harry'ego była ona szansą zakotwiczenia się w rzeczywistości.

Dziewczyna nacisnęła dzwonek przy nazwisku Trebanzi. Spojrzała na Tennanta z taką nadzieją, że nagle zapragnął, aby Trebanzi był właściwym tropem, aby za sprawą jakiejś magicznej siły, wszystko się wyjaśniło. Adres Beara? Nie ma sprawy. Maggie Silver? Czekać, gdzieś tu miałem numer jej telefonu. Pamięć Harry'ego Tennanta? Żaden problem, przechowuję ją w walizce na szafie. Czy mogę wam pomóc w czymś jeszcze?

Mrzonki, pomyślał Tennant. Alison przycisnęła dzwonek raz jeszcze. W budynku było dziwnie cicho. Wydawał się opuszczony.

- No, odezwij się - poprosiła Alison, wciąż trzymając palec na przycisku. - No, Alphonse,

odezwij się.

Z głośnika domofonu rozległ się skrzekliwy głos.

- No?

- Pan Trebanzi?

- No. - Głos był bardzo odległy, jakby dochodził z zaświatów.

- Czy mógłby mi pan poświęcić kilka minut? Chciałabym z panem porozmawiać. Nazywam się Alison Seagrove. Nie zabiorę panu wiele czasu.

- O czym chce pani rozmawiać?

- Jestem dziennikarką. Piszę artykuł o San Francisco lat sześćdziesiątych.

Skąd pani przyszło do głowy, że ja wiem cokolwiek o San Francisco? Dlaczego, do cholery, przyłązi pani akurat do mnie?

- Niech pan posłucha, na dworze jest zimno i mokro. Czy mógłby mnie pan wpuścić?

Trebanzi nie odpowiedział. Ulicą przejechał samochód. Tennant obejrzał się. Siedziały w nim dwie osoby. Nie zwróciły uwagi na niego i Alison.

- To dla mnie bardzo ważne powiedziała Alison. W przeciwnym razie nie zawracałabym panu głowy.

- Jest pani sama?

- Tak. - Spojrzała na Tennanta, który gestem dał jej znać, że pójdzie za nią. Doskonale go zrozumiała. Harryemu się to spodobało.

- Ja nic nie wiem - stwierdził Trebanzi. - Po prostu żyję sobie spokojnie, rozumie pani? Nie chcę, żeby moje nazwisko znalazło się w jakimś szmatławcu.

- Obiecuję, żadnych nazwisk.
- Da mi to pani na piśmie?
- Jeżeli pan sobie tego życzy.
- W porządku. Trzecie piętro. Ma pani pięć minut.

Rozległ się brzęczyk i drzwi otworzyły się. W głębi korytarza widać było schody. Wysoko nad ich głowami wisiała samotna żarówka. Tennant szybko wśliznął się do budynku tuż za dziewczyną. Podeszli do schodów wznoszących się w ciemność. Harry'ego znowu ogarnęło to dziwne uczucie pustki, tak jakby w tym domu nie było innych mieszkańców prócz Trebanziego. Drzwi prowadziły do pustych mieszkań. Przeróżające miejsce. Nawiedzony dom. Odpowiedni, aby szukać w nim przeszłości Harry'ego.

Cicho szedł za Alison. Towarzyszył im zapach zbutwiałych tapet. Klatka schodowa miała kształt kwadratowej studni. Z dołu widać było świetlik w dachu. Aż do niego sięgało rusztowanie. Takie, jakie zwykle stawiają robotnicy podczas remontów. Pajęczna konstrukcja metalowych rur i desek. Może zamierzali odnowić to miejsce.

Tennant postawił stopę na najniższym stopniu.

W tym samym momencie w jego mózgu błysnęło wspomnienie. Flesz pamięci, piorun, zmiana biegów w umyśle. Nogi ugięły się pod nim. Ten dom. Ten zapach. Spokój i cisza, którymi się dławiał.

Czy był tutaj kiedyś? A może ten dom wywołał tylko z jego pamięci obraz innego, bardzo podobnego. Ze straszliwą precyzją przypomniał sobie miejsce, do którego był przykuty, w którym go ukrzyżowano. Miał wrażenie, że Maggie Silver też tam była. Tkwiła w jego głowie, jak kropla żaru. Skąd się to wszystko brało?

Spojrzał w górę, w kierunku okienka w dachu.

To nie był ten sam dom. To nie był ten sam wilgotny zapach.

Rusztowanie. W tym rusztowaniu jest coś znajomego.

- Na miłość boską, Harry! Źle się czujesz, czy co? O co chodzi?

Patrzył na płataninę rur i desek, ledwie widoczną w słabym świetle żarówki. Płakał? Konstrukcja przypominała szaloną rzeźbę, która powstała w jakimś sennym koszmarze.

- Źle się czujesz, Harry? - Alison położyła mu dłoń na policzku. Była przejęta. Tennant próbował wziąć się w garść. Mocno chwycił za poręcz. Potrzebował jakiegoś oparcia. Czegoś solidnego.

- Jesteś bardzo blady. - Dziewczyna dotknęła jego czoła, sprawdzając, czy ma gorączkę. Harry potrząsnął głową. Usłyszał własny głos, wyjaśniający, że to tylko zawroty głowy, ale to, co czuł, było znacznie poważniejsze niż zawroty głowy.

- Może wyjdziemy na chwilę na zewnątrz. Odetchniesz świeżym powietrzem.

- Już wszystko w porządku.

- Na pewno?

- Na pewno.
- Nie brzmi to przekonująco.
- Naprawdę, nic mi nie jest.
- Przestraszyłeś mnie, Harry.

Sam siebie przestraszyłem. Co mi się mogło stać? Jakiś nawrót dawnych urojeń? Zatrzymany w pamięci obraz z dawnych podróży przez dżunglę świadomości? Zagadka, która przybrała formę rusztowania. Czy to w ogóle miało jakiś sens? Z której części jego życia pochodził ten obraz? Z innej rzeczywistości, z innego wymiaru. Spięcie w mózgu.

Maggie Silver. Co wspólnego miała ta dziewczyna z konstrukcją z metalowych rur i desek? Harry zastanawiał się, czy przez całe swoje życie błędził po tych samych orbitach zapomnienia. Stamtąd nie ma wyjścia, Harry. Nie wydostaniesz się.

Ostrożnie wspinał się po schodach. Cały czas bał się, że tamten obraz może wrócić. Ból rozsadzał mu czaszkę. Szedł za Alison, która wciąż się na niego oglądała, sprawdzając, czy wszystko jest w porządku. Harry nie mógł pozbyć się wrażenia, że brodzi w ciepłym syropie.

Tennant zatrzymał się między piętrami. Ból zniknął. Harry poczuł ulgę. Oddychał ciężko. Jeszcze raz spojrzął w górę, na rusztowanie. Teraz zauważył, że było zardzewiałe. Pewnie poprzedni gospodarz domu już dawno temu zrezygnował z projektu wyremontowania budynku. Może zbankrutował albo dom zmienił właściciela. Harry spuścił głowę. Nie miał ochoty patrzeć dłużej na ten zardzewiały relikwiarz przeszłości.

Znowu stopnie. Jeszcze jeden podest. Powietrze było lepkie. Otaczała ich cisza. Żadnego włączonego telewizora, żadnego płaczącego dziecka, nic. Czuć było tylko zbutwiałe tapety i

gnijące drewno. Tennant nie wyczuwał w tej mieszance zapachu gotowanych obiadów. Co robili ci wszyscy ludzie, których nazwiska wypisane były na tabliczkach przy dzwonek? Jedli, spali, kochali się, kłócili? Czy w ogóle istnieli? Ta cisza była przytłaczająca. Harry stał bez ruchu.

Alison również zatrzymała się.

Trzecie piętro. Czworo drzwi. Które należały do Trebanziego?

- W tym wszystkim jest coś dziwnego - wyszeptała Alison.

- Wyobraź sobie, że to tylko jakiś cholerny teleturniej w telewizji - powiedział Tennant. -

Jeżeli odgadniesz, które to drzwi, wygrasz trzypokojowe mieszkanie i wspaniałego grilla.

Na każdych drzwiach był numer, ale żadne nie miały tabliczki z nazwiskiem. Jeżeli ktokolwiek tam mieszkał, zależało mu na anonimowości. Dlaczego Trebanzi nie wyszedł na spotkanie Alison? Dlaczego nie powiedział jej, pod którym numerem mieszka?

- No dalej, wybierz jakieś drzwi.

Nagle, gdzieś z góry dobiegł ich głos.

- No, posłuchaj swego koleśia, wybierz drzwi. - Głos dochodził z piętra, na którym stało rusztowanie.

Tennant spojrział w górę, zaskoczony.

- Pan Trebanzi? - spytała Alison.

Nie widzieli go dokładnie.

- Co ty sobie myślisz, panienko, że ja jestem jakimś cholernym idiotą, który wpuszcza każdego, kto ot tak sobie zadzwoni? Co

byście chcieli usłyszeć? “Jak miło, że wpadliście? Może walniemy sobie coś na rozwesołkę, powspominamy stare czasy?” Nic z tego, kochana. Poza tym, skłamałaś. Twierdziłaś, że jesteś sama, a jak widzę, masz towarzystwo.

Tennant wsadził dłoń do kieszeni i objął palcami rewolwer.

- Na twoim miejscu zostawiłbym to - ostrzegł Trebanzi i wyszedł z cienia rzucanego przez rusztowanie. Miał broń. Lufa wycelowana była prosto w Tennanta, który natychmiast wyjął rękę z kieszeni. Nie wiedział co ma robić. Nigdy nie był w podobnej sytuacji.

- Masz jakieś imię? - zapytał Trebanzi.

- Tennant.

- Tennant, Tennant - Trebanzi przeciągał słowa, wymawiając oddzielnie każdą głoskę, tak jakby odzwyczaił się od mówienia. Widzieli go teraz w słabym świetle żarówki. Był łysy. Miał dużą i jakoś dziwnie osadzoną głowę. Kiedyś był chyba gruby. Teraz skóra wisiała na nim, jak na wieszaku. Przesunął się jeszcze metr do przodu. Ujrzeni teraz dokładnie jego twarz. Jej lewa strona była fioletowa i pomarszczona. Wyglądało to tak, jakby ktoś próbował przymocować ją do czaszki, ale użył zbyt słabego kleju. Jedna powieka była cały czas zamknięta. Charakterystycznie wygięta górna warga nadawała tej twarzy nienaturalnie smutny wyraz. Było to zarazem przerażające i godne współczucia.

-Tennant - powtórzył Trebanzi. Miał zachrypnięty głos. - Czekam na wyjaśnienia. Co ciebie tutaj sprowadza, he? Co cię łączy z tą dziennikareczką?

Tennant spojrzał na Alison. Dziewczyna jak zahipnotyzowana wpatrywała się w broń, którą

trzymał Trebanzi.

-Jestem jej asystentem - odparł Harry. Zabrzmiało to mało przekonująco. Tennant zastanawiał się, czy nie podać się za fotografa, ale Trebanzi na pewno zapytałby go, gdzie ma aparat.

-Jesteś asystentem, Tennant? Kolesiem dziennikareczki, znaczy się? Nosisz jej notatniki i ostrzysz ołówki?

-Coś w tym rodzaju.

Trebanzi zaśmiał się. Zabrzmiało to jak chrapliwy gwizd, dźwięk starego akordeonu.

-Nie jestem w nastroju do żartów, Tennant - stwierdził i zwrócił się do Alison. - Proszę mi pokazać jakiś papier, paniusiu.

Alison rzuciła mu swój portfel. Trebanzi chwycił go zręcznie. Przejrzał zawartość, sprawdził legitymację służbową i odrzucił portfel dziewczynie.

Złapała go.

- Wystarczy? - spytała ostro.

- Powiedzmy, że ci wierzę. Jesteś pisarzyną. Co cię tu sprowadza? Dlaczego sądzisz, że wiem coś o San Francisco?

- Ponieważ znałeś faceta, na którego mówili Bear. Bear Sajac.

- Tak?

- Zgodnie z tym, czego się dowiedziałam, tak.

- Niestety musisz sobie znaleźć inne źródło informacji, kochana. Nigdy nie słyszałem o żadnym Sag..., Saj..., no o tamtym facecie.

- Sajac. Mieszkaliście razem w Haight.

- Nigdy tam nie byłem. Nigdy nie spotkałem żadnego Beara. Łapie pani niewłaściwy koniec kija.

Ściany pochłaniały jego słowa. Żadnego echa. Ten wielki dom z zadziwiającą zachłannością pożerał dźwięki. Martwa cisza intrygowała Tennanta. Jakiś impuls kazał mu otworzyć najbliższe mieszkanie. Nacisnął klamkę i pchnął drzwi. Przez okno, do wnętrza pokoju wpadało światło lampy ulicznej. W pomieszczeniu nie było żadnych mebli. Nic.

- Ty cholerny gnoju? W co ty grasz? - ryknął Trebanzi.

Padł strzał. Tennant ogłuszony hukami, miał wrażenie, że wałą w niego masy powietrza. W uszach rozbrzmiewał mu zwielokrotniony odgłos wystrzału. Pocisk przeszedł przez drewnianą ścianę. Blisko. Za blisko. Jeżeli śmierć była centralą telefoniczną, to Tennant właśnie wykręcił numer do jej serca.

- Nie pozwalaj sobie, Tennant. Nikt cię tu nie zapraszał. Zamknij te drzwi. Już.

Tennant nie poruszył się. Nie wiedział dlaczego zignorował polecenie Trebanziego. Może to było jakieś wewnętrzne, podświadome pragnienie śmierci? Harry poczuł nagłą niechęć do Trebanziego. Nienawidził, kiedy mu rozkazywano. Gardził Trebanzim w ten sam sposób, w jaki gardził Ralphem Flittem i jego groźbami. Był na niego wściekły za to, że stracił swój dom, ziemię i psa. Stracił spokój. Jego życie zostało zniszczone i zdeptane, a teraz jakiś inny łajdak ośmielał się mu rozkazywać. Tennant gorączkowo zastanawiał się, jak wybrnąć z tej niecodziennej sytuacji. Chciał oddać cios.

- Co cię tak przestraszyło, Alphonse? Przecież mieszkasz tu sam, czyż nie tak? Te wszystkie nazwiska na zewnątrz. Dzwonki, To tylko pic na wodę. Co się takiego wydarzyło, że musisz się kryć?

-Nic mnie nie przestraszyło! Po prostu lubię być sam w swoim domu. Jestem samotnikiem. Ludzie to robactwo. Takich rzeczy - Trebanzi wskazał na swoją twarz - nie widuje się często na ulicach. Nauczyłem się pilnować własnych spraw. Ten śmietnik należy do mnie i jeżeli nie mam ochoty nic wynajmować, to nikt mnie do tego nie zmusi. Dochodzi to do ciebie?

Alison spojrzała na Trebanziego.

- Proszę posłuchać, jeżeli schowa pan broń, to sobie spokojnie stąd wyjdziemy i nie będziemy już pana więcej niepokoili.

- Wolnego, kochaniutka. Przedstawienie jeszcze się nie skończyło.

- A moim zdaniem, to właśnie jest koniec. Nie znał pan Beara, więc nie mamy sobie nic do powiedzenia. Dobranoc.

- Powiedziałem wolnego. - Trebanzi przechylił się przez poręcz. - Według mnie, jeszcze nie wszystko sobie wyjaśniliśmy.

- Na przykład? - spytała Alison.

- Chciałbym wiedzieć, skąd wygrzebaliście moje nazwisko i dlaczego uważacie, że coś mnie łączy z tym, jak mu tam, Bearem?

- To proste. Wystarczyło trochę poszperać, sprawdzić parę informacji...

- Poszperać? Może mi opowiesz, jak to się robi?

- Zawsze jest jakiś ślad, panie Trebanzi. Niezależnie od tego, jak często zmienia się miejsce, zawsze zostaje jakiś trop. Na ten trafiłam w klinice odwykowej w Atlantic Beach. - Alison uśmiechnęła się, tak jakby czuła, że ma nad Trebanzim przewagę, pomimo że tamten trzymał w rękach broń. - Najwidoczniej jednak ten trop był błędny. Choć wydaje się to mało prawdopodobne, musi istnieć jakiś inny Alphonse Trebanzi. Może założenie, że należy go szukać w klinikach było niewłaściwe. Skreśliłam nie w tę uliczkę. Trudno. Będę musiała zacząć jeszcze raz.

- Nie tak prędko - powiedział Trebanzi.

- Co nie tak prędko?

- Ty i twój przyjaciel nie możecie stąd odejść.

- Mnie się to wydaje zupełnie proste - stwierdziła Alison. - Najpierw jedna noga, potem druga i tak dalej. Trenowałam to całe lata.

-Ha, ha, ha, bardzo zabawne. Niestety, jakiś czas temu straciłem poczucie humoru, więc się lepiej nie ruszajcie. Tennant, wyjmij broń i połóż ją na podłodze. Tak, żebym ją widział.

Tennant wyciągnął taurusa z kieszeni i odłożył go z ociąganiem.

-Bardzo dobrze. Już do was schodzę. Pamiętajcie, że przez cały czas mam was na muszce.

Trebanzi zszedł do nich. Cały czas rzeczywiście trzymał lufę broni ponad poręczą schodów. Miał na sobie starą zielono-czerwoną koszulę i dzinsy. Spodnie były chyba o dwa rozmiary za duże. Mężczyzna mógł mieć około czterdziestki. Był wyższy niż Tennantowi się zdawało na początku. Jego chora skóra zwisała jak puste torby. Zdrowe oko było matowe. Drugie, martwe, było jak pusty dom, jak czarna dziura, jak więzienie światła. Ruchy Trebanzi miał ociężałe.

Gdyby każdego człowieka otaczała jakaś aura, wokół Trebanziego unosiłaby się szara i martwa mgła.

Mężczyzna trzymał broń wycelowaną prosto w Tennanta.

- Mam tylko jedno pytanie. Kto was tutaj przysłał?

- Nikt nas nie przysłał - sprostowała Alison. - Już mówiłam, piszę artykuł, a ty nie jesteś tym, którego szukam. Przykro mi. Adios. - Dziewczyna odwróciła się, ale Trebanzi przytknął jej lufę do pleców.

- Hej! - Alison spojrzała na niego ze złością. - Uważaj z tym, Trebanzi.

- Zapytam jeszcze raz: Kto was przysłał?

- Dlaczego sądzisz, że ktoś nas przysłał? - zapytał Tennant.

Trebanzi nie odpowiedział. Patrzył w głąb klatki schodowej.

Cień rusztowania padał mu na twarz. Strach, pomyślał Tennant. Ten człowiek żyje w ciągłym strachu. Ten dom, fikcyjni mieszkańcy, broń, agresywne zachowanie. W tym było coś więcej, niż niechęć do ludzi. To nie była obawa przed New York City. To był zupełnie inny wymiar strachu. Harry pamiętał podobne uczucie z czasów, kiedy jeszcze brał narkotyki. Wiedział, że taki strach ciągle narasta, żywi się nocnymi godzinami i szeptami. Nigdy nie da się zapomnieć wiecznego czekania na świt, tak jakby światło dnia mogło przerwać wibrowanie w mózgu i przegnać wszelkie koszmary. Czy właśnie to działo się z Trebanzim? Czy panicznie bał się wszystkich półwidzialnych cieni? Czy przyglądał się podłogom, szukając śladów stóp nie

widzialnych postaci? Kulił się pod ścianą, ściskając w rękach broń i czekał, aż ponad blokami wzejdzie słońce?

- Chciałbym wiedzieć, czego tak się boisz, Trebanzi.

- Kurde! Człowieku! Przecież już ci powiedziałem. Poza tym sam zadałem ci pytanie i nie zamierzam dłużej czekać na odpowiedź. Nie uda ci się mnie podejść, Tennant, ty szczurze. To cacko - wskazał na broń - za chwilę rozwali ci twarz.

- Przysłało mnie tu moje pismo - wtrąciła Alison. - Czy to wyjaśnienie cię zadowala?

Trebanzi uśmiechnął się. Górna warga pozostała nieruchoma. Trudno byłoby stwierdzić, czy w jego spojrzeniu czai się ironia, czy też jakiś trudny do uchwycenia strach. Jego twarz była jak książka napisana w jakimś obcym niezrozumiałym języku.

- Pismo. To mi nic nie mówi. Chcę jakiejś konkretnej odpowiedzi, nazwisk.

- Mój bezpośredni przełożony nazywa się Henson, a wydawca całego pisma to Burford Blackburn. Ale to nie oni mnie przysłali. To wygląda trochę inaczej. Sama się wysłałam.

Tennant spojrział na nią z niedowierzaniem.

- Mam w to uwierzyć? - wykrzyknął Trebanzi. - A co z tym kolesiem? Tak się tylko przyplątał? Niech mi pani nie wciska kitu, że ten facet to asystent. Przyszliście, żeby mnie stąd zabrać. Chcecie mnie załatwić? To wszystko, to szambo.

Trebanzi podniósł głos. Patrząc na niego, Tennant pomyślał, że ten facet byłby niezłym kandydatem do Rady dla Obłąkanych. To miejsce świetnie nadawało się na siedzibę dla takiego zgromadzenia.

- Czego zamierzacie użyć? Igły? A może tak po prostu zastrzelicie mnie? - Trebanzi kopnął rewolwer Tennanta. - Dlaczego nie? Zabijcie mnie w moim własnym domu! - Po policzku Treban- ziego płynęła łza. To była ostatnia rzecz, jakiej Tennant spodziewał się po tym człowieku. W pewien niezrozumiały sposób, denerwowało go to. Łza z jednego oka.

- Nikt pana nie chce zabić - stwierdziła Alison. - Powiedziałam prawdę. Ja po prostu zbieram materiały do artykułu. To wszystko. Jeżeli ktoś pana szuka, może będziemy mogli jakoś panu pomóc.

Trebanzi zdawał się jej nie słyszeć.

- Chryste! Byłem tutaj bezpieczny. Naprawdę byłem tutaj bezpieczny, a teraz znowu będę musiał się przemieszczać, szukać, planować.

Muszę spakować parę rzeczy i zmywam się stąd. Będę miał z wami mały problem. Nie chciałbym was zabijać. Nie chciałbym nikogo skrzywdzić, ale sami rozumiecie. Albo wy, albo ja. Jestem już tym wszystkim cholernie zmęczony. - Trebanzi otarł łzę mankietem koszuli. - Teraz oni już wiedzą, gdzie się ukryłem. Oni wiedzą. Muszę się stąd zmywać.

- Kim są oni? - zapytał Tennant.

- Nie udawaj, że nie wiesz. Od jak dawna dla nich pracujesz? Myślisz, że nie wiem, dlaczego jeszcze żyjesz? Nie jestem taki głupi.

Tennant zrobił krok w kierunku Trebanzkiego. Starał się, aby jego głos brzmiał spokojnie.

- Nie bardzo rozumiem, Alphonse. Czy mógłbyś wyrażać się nieco jaśniej?

- Jaśniej. - Trebanzi powtórzył słowo, jakby było dla niego niezrozumiałe. Ruchem ręki nakazał Alison i Tennantowi przejść pod drugą ścianę. - Co tu jest do wyjaśniania, Tennant?

Dobrze wiesz, o co mi chodzi. Nie baw się ze mną w żadne gierki. Te drzwi za twoimi plecami. Otwórz je.

Tennant nie ruszył się. Stał dokładnie naprzeciwko rusztowania, którego cień wydawał mu się teraz ciemniejszy i cięższy. Miał wrażenie, że konstrukcja za chwilę na niego runie. Prawie aul zapach przygniatającego go, zardzewiałego metalu.

- Otwórz te drzwi - powtórzył Trebanzi.

Tennant nie mógł oderwać wzroku od rusztowania. Z głębin jego pamięci wypłynął na powierzchnię obraz pokoju na Schrader Street. Zdjęcia Che i Bobby Kennedy'ego, psychodeliczne plakaty Fillmore, małe fajki do palenia haszu. Wszystko to pojawiło się nagle, jakby znikąd.

- Niech ktoś, do cholery, otworzy te drzwi - zirytował się Trebanzi.

Zareagowała Alison. Mieszkanie za drzwiami musiało być norą Trebanziego. Pokój zapchany był starymi meblami, podłoga zasłana gazetami i czasopismami. Zastony zaciągnięte, stary kominek aż kapał od ozdobnych liści winogron i pulchnych cherubinków. Na dwóch podniszczonych kapach leżały stosy poduszek, między którymi spał wychudzony kot. Gdzieś na deskach podłogi widniały ślady wosku ze świec. Popielniczki pełne były niedopałków

papierosów i czarnych pozostałości po skrętach. Mały, szklany pojemnik na stole był do połowy wypełniony kokainą.

- Muszę szybko coś wymyślić - powtarzał Trebanzi raz po raz. Podszedł do okna, odsunął lekko zasłonę i wyjrzał na ulicę. Potem odwrócił się w stronę Tennanta. Harry nie myślał już o pokoju na Schrader Street. Zniknęły wizje hippisów wznoszących przy murze rusztowanie i malujących na ścianie różowe słońca, grzybki Day-Glo i liście marihuany. Nie umiał odnaleźć sensu w tych majakach. Były zbyt mgliste i niejasne. W tej chwili nie myślał o nich.

Jego uwagę przyciągnęło coś innego.

Wstrząśnięty, patrzył na duże, czarno-białe zdjęcie na ścianie nad kominkiem. Zdjęcie przedstawiało piątkę hippisów z Chinatown. Z fotografii patrzyła na niego Maggie Silver. Jej wzrok zdawał się mówić: Znam rozwiązanie tej zagadki, Harry, ale ci go nie zdradzę. Tennant gwałtownie ruszył w stronę kominka. Przestraszony kot zeskoczył z sofy. Do ściany pinezkami przypięte było powiększone zdjęcie. Twarze z przeszłości na zawsze zamknięte za szybą wiecznej młodości. Carlos Carlos, Bear, Kat, on sam, no i Maggie Silver w samym centrum. Alison dotknęła dłonią błyszczącej powierzchni zdjęcia, jakby obawiała się, że jest ono tylko przywidzeniem.

-Są rzeczy, których się nie wyrzuca ~ stwierdził Trebanzi patrząc na fotografię. - Nawet, jeżeli ma się świadomość, że pewnego dnia obróca się one przeciwko tobie, no nie, Harry?

Harry. Tennant nie pamiętał, czy mówił Trebanzemu, jak ma na imię. Przestrzeń wokół niego

przekształcała się. Przedmioty zmieniały miejsca. Zdjęcie. Imię. Ten dziwny dom. Złudzenia. Musiał znaleźć klucz do rozwiązania tej zagadki, o ile taki klucz w ogóle istniał. Harry chciał zadać Trebanzemu pytanie, zażądać wyjaśnień, ale to Alison odezwała się pierwsza.

- Jak sądzę, TO znalazło się tutaj PRZYPADKIEM, Alf? Cóż za niezwykle zbieg okoliczności.

Trebanzi jeszcze raz odchylił zasłonę i wyjrzał na ulicę. Nie zwrócił uwagi na pytanie Alison.

- Kto jeszcze jest z wami? - zapytał. - Pewnie twoi przyjaciele są tam na ulicy, co Harry? Na wszelki wypadek, gdybym próbował uciec?

- O co ci chodzi, człowieku? Nikogo tam nie ma. - Tennant pokręcił głową.

Trebanzi przeszedł przez pokój i zatrzymał się przy fotografii. Spojrzał ponuro na Tennanta.

- Sądziłem, że będzie was więcej niż dwoje. Myślałem, że przyślą po mnie co najmniej czterech, czy sześciu ludzi. Zmienili metody działania? Oszczędność, co? W końcu wszędzie trąbią

orecesji. - Zaśmiał się. - Jak przyciśnie, to oszczędza się na wszystkim, nie?

Sądziłem, że będzie was więcej niż dwoje. Tennantowi przypuszczenia Trebanziego wydawały się dziwnie niejasne. Układanki, w których brakowało wielu elementów. Przed sobą miał pięć twarzy, które Obe uwiecznił na fotografii. Gdyby Harry spotkał na ulicy siebie samego z tamtych lat, to przeszedłby obok, jak koło kogoś obcego. Harry Tennant teraz i Harry Tennant wtedy, tych dwóch dzielił nie tylko wiek. Znowu pojawiło się to przerażające pytanie o własną tożsamość.

- To co Alf, możemy teraz porozmawiać o zdjęciu? - spytała Alison niecierpliwie. Denerwowało ją kluczenie po zaułkach wykrętów i kłamstw. Lubiła proste drogi. Od razu do samego sedna sprawy. Dziewczyna z determinacją patrzyła w zniekształconą twarz Trebanziego. Jej ciemne oczy błyszczały wspaniale. Widać było, że nie zamierza ustąpić, nie pozwoli na kolejny unik.

- Dostałem je w prezencie. A co? - Alphonse szukał czegoś gorączkowo przekładając jakieś papiery i pisma. W końcu wyciągnął skądś butelkę wódki. Broń wsadził pod pachę. Pił szybko, niedbale. Płyn ściekał mu z brody.

- W prezencie? Od kogo? - spytał Tennant. - Jeżeli nigdy nie znałeś Beara, to dlaczego trzymasz na ścianie to zdjęcie?

- Beara? - W głosie Trebanziego słychać było pogardę. - Bear nie żyje.

- Nie żyje? Jak to? Kiedy? - Tennant był zaskoczony.

Trebanzi postawił butelkę na stos książek. Przewróciła się rozlewając zawartość po papierowych okładkach. Alphonse nie zwrócił na to uwagi. Myślami był daleko stąd.

- Przecież wszystko wiecie.

- Nic nie wiemy, Alf - stwierdziła Alison. - Mógłbyś nas oświecić?

Trebanzi podszedł do niej. W jego zdrowym oku widać było wściekłość.

- Znam te gierki, laleczko, ale nie dam ci się w nie wciągnąć. Bardzo mi przykro. - Odwrócił się do ściany i spojrzał na zdjęcie.

Jego twarz wyrażała smutek i jakąś dziwną beznadziejność. Różowa skóra czaszki wyraźnie odcinała się od strasznej, poranej twarzy, tak jakby chirurg-rzeźnik połączył przypadkiem części należące do dwóch różnych osób. Tennant spojrzał na fotografię. Czym było dla Trebanziego to zdjęcie? Skąd je miał? Są rzeczy, których się nie wyrzuca, Harry. Co to miało znaczyć? Tennant zastanawiał się, czy zdołałby odebrać broń przeciwnikowi, ale Alphonse wciąż trzymał ją przed sobą, skierowaną ku nim.

Alison nerwowo przestępowała z nogi na nogę.

- Dobra, już ustaliliśmy, że nie lubisz gier. Wybacz, ale nie myślę tak szybko jak ty, ani nie jestem pewna o co w tym wszystkim chodzi? Nie wszyscy są w końcu tak inteligentni i pojętni.

- To jakiś kolejny numerek.

- Nie drwij sobie ze mnie. - Alison była wściekła.

- Dobra, dobra. Rozumiem. Jesteś jednym z tych nowoczesnych pisklaków. - Trebanzi machnął

ręką, jakby odganiał natrętne muchy. Jego oko błyszczało szyderczo. Przez chwilę Harry obawiał się, że Trebanzi zwróci broń w stronę dziewczyny i pociągnie za spust. Był gotów rzucić się między tych dwoje, aby ochronić Alison, ale Trebanzi opanował się i uspokoił. Stał przy kominku, dokładnie pod zdjęciem. - Dlaczego mnie tutaj znaleźliście? Miałem tu swoje życie, może niezbyt fantastyczne, ale przyzwyczailem się do niego.

Znam to uczucie, pomyślał Tennant. Oczyma wyobraźni ujrzał swój drewniany domek otoczony lasem.

- Muszę was zabić. Jest tylko jeden problem, nie jestem zabójcą. - Trebanzi zamknął oczy. Przez chwilę zdawało się, że straci równowagę. Wielka łysa głowa wyglądała jak balon, na którym ktoś narysował ołówkiem powykrzywiane rysy.

- Dotąd zabiłem tylko jednego. Beara.

Wydawało się, że wszystko wokół nagle umarło. Trudno było oddychać. Powietrze stało się martwe i nieruchome.

- Dlaczego go zabiłeś? - zapytał Tennant.

- Nie drwij sobie ze mnie. Dobrze wiesz co się stało. Gdybyś nie wiedział, nie byłoby cię tutaj.

- Chyba coś ci się pomyliło, Alf.

- Sram na takie pomyłki! Sram na to wszystko! Sram na was! - Trebanzi, wściekły, wystrzelił w sufit. Ciszę pokoju rozdarł piekiel-

ny huk. tak jakby tuż pod deskami podłogi przejechał pociąg, Z góry posypały się na nich kawałki tynku. Trebanzi wycelował broń w 1 Larry'ego. ~ Ty zasrany gnoju. Udajesz, że nic nie wiesz. Harry. Harry.

Tennant miał niejasne wrażenie, że już to skądś zna. Coś znajomego w twarzy, w sposobie poruszania się. Mgliste wspomnienie bez imienia. Za późno, żeby się odwrócić i jeszcze raz przyjrzeć się znajomym rysom. Żarłoczny tłum pochłania wszystko. Sen znika. Tak właśnie czuł się w tym momencie Harry. Nie miał pojęcia, co było tego przyczyną. Był pewien, że nigdy przedtem nie widział Trebanziego. Takiej twarzy nie zapomniaby. Skąd się wzięło to dziwne wrażenie?

Znowu spojrzął na fotografię, na nieruchome twarze. Młodzi ludzie ze zdjęcia patrzyli teraz na niego z wyrzutem, jakby to on właśnie był winny upadkowi hippisowskich ideałów. Dawny błazen stał się prestidigitatorem wyciągającym znikąd jedwabne chustki, jedną po drugiej: czerwone, niebieskie, różowe, żółte, wciąż nowe. Niemal niedostrzegalnym ruchem wprawnej dłoni odsłaniał nieznane dotąd elementy układanki. Harry nie mógł oderwać oczu od zdjęcia. Czy to, co objawiał mu ten dziwny magik, było w ogóle możliwe? Może to tylko kolejna szalona myśl w jego głowie, krótkie spięcie w neuronach. Łoskot. Piorun przeszywający czaszkę i wbijający się w mózg.

Trebanzi wyjmował z kieszeni naboje i ładował broń. Realny świat dobijał się do bram myśli Tennanta. To był właściwy moment, żeby zaatakować Trebanziego, ale Harry nie ruszył się. Obezwładnił go czarownik wypełniający jego mózg. Szansa przepadła.

- I co teraz, Alf? - spytała Alison. - Zastrzelisz mnie?
- Właśnie.
- A potem uciekniesz. I będziesz ciągle tak uciekał.
- Uciekał i krył się, mała. Właśnie to potrafię robić najlepiej. - Trebanzi odwrócił się w stronę Tennanta. - Chciałbym tylko wiedzieć Harry, kiedy zdołali cię przeciągnąć na swoją stronę. A może byłeś z nimi od samego początku?

Tennant zastanawiał się, czy już kiedyś, w przeszłości, zetknął się z ciemnym światem Trebanziego. Znowu poczuł, że coś dziwnego dzieje się w jego mózgu. Zasłona podniosła się. Nic. To było niemożliwe.

- Zadałem ci pytanie, Tennant.

liany wciąż wpatrywał się w zdjęcie, które rosło. Wypełniało już cały pokój. Tylko jedna twarz pozostała wyraźna. Twarz Hearsa. Pozostałe wyblakły, zamazały się. Tennant widział tylko tę brodatą głowę, proste rysy, szczęśliwy i trochę nieobecny uśmiech. Twarz dobrego człowieka, na którym zawsze można polegać.

Gorąca lala przepłynęła przez mózg Tennanta. Zdjęcie skrzynia z sekretami magika - odsłoniło jedną ze swych tajemnic. Bear Sajac wciąż żył.

Ta świadomość spadła na Harry'ego jak cios. Wpatrywał się osłupiały w Alphonse Trebanziego. Teraz dostrzegał niewielkie podobieństwo, którego wcześniej nie zauważył, gdyż twarz Trebanziego była zniekształcona i pokryta bliznami. Jednak pomimo zniekształconych rysów i łysiny teraz Tennant go poznawał,

Chciałbyś wiedzieć, Bear?

Bear nie żyje. Mówiłem już.

Zmieniłeś się. Nie masz już brody. Wyłysiałeś i zgubiłeś parę kilo, ale Bear wciąż jeszcze jest gdzieś w tobie.

- Chyba ci odbiło, Tennant.

Nie sądzę, Bear.

Trebanzi stał chwilę nieruchomo. Jego twarz wyrażała paniczny strach.

-Zmieniłeś się - ciągnął Harry. - Nazywasz się teraz Trebanzi, ukrywasz się. Dlaczego? Po co to wszystko. Bear?

Niestety, pudło, koleś. Powinienem cię teraz rozwalić. Trebanzi niespodziewanie ruszył ku Tennantowi i uderzył go w żebra. Cios był mocny. Harry zwałił się na podłogę. Czuł rozchodzący się po całym ciele, ostry ból. Z trudem łapiąc oddech, przetoczył się na plecy. Patrzył w sufit. Pustka. Czuł, że Alison klęczy gdzieś obok niego. Słyszał odgłos czyichś kroków i trzaśnięcie drzwi. Nie wiedział, ile czasu tak leżał. Trzydzieści sekund, dwie minuty. Nic był pewien, stracił poczucie czasu. Miał silne zawroty głowy, tak jakby za dużo wypił. Alison pomogła mu usiąść. Oparł się o sofę. Poczłł piekielny ból. Jęknął.

- Czy coś ci złamał? - spytała dziewczyna.

Chyba wszystko.

- Nic ruszaj się.

Nie usłuchał. Mocno chwycił się sofy i podciągnął się. Przez chwilę nie mógł złapać tchu. Miał wrażenie, że nie jest w stanie kontrolować własnego ciała. Przed oczyma latały mu ciemne plamy.

- Zwiął? - Zaskoczył go dźwięk własnego głosu. Niski i przytłumiony, jakby dobywał się z zaświatów.

- To nic.

Tennant dokuśtykał do drzwi i wyszedł na korytarz. Dobiegł go odgłos zamykanych drzwi wejściowych. Chwycił się poręczy. Zdawał sobie sprawę, że nie da rady pobiec za tym, który podawał się za Trebanziego. Nie mógł się ruszyć. Zamknął oczy. To wszystko było jak zły sen. Trebanzi. Bear. Czyżby się pomylił? Czy aż do tego stopnia pragnął odnaleźć własną przeszłość, że dał się zwieść sennym majakom? Czy to tylko przywidzenia? Pokręcił głową. Niemożliwe.

- Sprowadzę lekarza - zaproponowała Alison.

- Żadnych lekarzy.

- W takim razie pomogę ci sama. Musimy jakoś się dostać do hotelu.

Nie odpowiedział. Otworzył oczy. Cień rusztowania tworzył na podłodze wzór pajęczej sieci.

- Czekaj, muszę tylko chwilę odpocząć.

- To, co powiedziałaś o Trebanzim...

- Nie jestem pewien. Mogę się mylić. - Przerwał. Poczł świdrujący ból. Miał wrażenie, że jego serce jest bębniem, na którym jakiś złośliwy dzieciak wystukiwał szalony rytm. - Po prostu patrzyłem na to zdjęcie i... nagle dostrzegłem podobieństwo. Niezbyt wyraźne, ale coś w tym było. Poza tym sposób, w jaki się do mnie zwracał też wydawał mi się znajomy. Do licha! - Harry

mocniej chwycił się poręczy. - Powiedzmy, że Trebanzi zginął, a Sajac tylko przybrał jego nazwisko i poddał się jakiejś straszliwej operacji plastycznej. A może to był wypadek. Wszystko jedno. Nie rozumiem tylko po co to wszystko. - Zakreślił ręką krąg. - Po co się ukrywał? Dlaczego sądził, że przyszliśmy go zabić, że ktoś nas przysłał? O co tutaj chodzi?

- Kimkolwiek są ci "oni", musieli nieźle nastraszyć tego biedaka. Jeżeli to naprawdę jest Sajac, to jestem pełna podziwu, że zdołał sobie znaleźć taką kryjówkę. - Alison podniosła pistolet Treban-

zicgo. Obróciła go w dłoniach i zmarszczyła brwi. Ta fotografia nie daje mi spokoju. Carlos nie żyje. Kat nic żyje. Bear, jeżeli to był on, żyje w ciągłym strachu, że ktoś go wykończy. Maggie Silver... Kto wie co się z nią stało? Co do diabła łączy tych ludzi ze zdjęcia? Czy wiedzieli coś, czego nie powinni byli wiedzieć?

Tennant niepewnie uniósł rękę. Ból zelżał nieznacznie.

-Nie przypominam sobie nikogo, kto chciałby mnie zamordować. Zresztą, dlaczego ktoś miałby mnie zabijać. Przecież nic nie zrobiłem.

-Skąd możesz to wiedzieć, Harry?

Właśnie. Dziewczyna miała rację. Tennant był wściekły na samego siebie. Dwanaście zmarnowanych lat.

-Dobra - powiedział niespodziewanie. - Przypuśćmy, że ludzie ze zdjęcia rzeczywiście coś wiedzieli. O co tobie właściwie chodzi? Podejrzewasz, że to jakiś cholerny spisek?

- Nie mam pojęcia. Nie wiem nawet, czy w ogóle chodzi mi o cokolwiek. Po prostu chcę sprawdzić parę rzeczy.

-Spójrz na to. - Tennant wskazał na fotografię. - Co widzisz? Piątkę dzieciaków. Prawdopodobnie wszyscy ćpali. W Haight były setki tysięcy takich jak oni. Dlaczego ktoś chciałby zamordować właśnie ich? Według mnie, to nie ma żadnego sensu.

Przypomniął sobie Maggie Silver. Nieomalże czuł jej obecność, tak jakby stała gdzieś obok. Nagle uświadomił sobie, że być może dziewczyna już nie żyje. Ta myśl przeraziła go. A jeżeli Maggie jeszcze żyła, czy zachowywała się tak, jak Bear Sajac? Czy kryła się gdzieś, przebrana za kogoś innego, zmieniona? Wolał myśleć, że tak właśnie było. Nie potrafił wyobrazić sobie tej dziewczyny przykrytej warstwą ziemi.

-Dlaczego nas po prostu nie zastrzelił? - spytał Tennant. Wystarczyło dwa razy pociągnąć za spust, a potem tylko ukryć ciała w piwnicy. Koniec, kropka.

-Dla nas, tak. Ale nie dla Alphonse. Co z tego, że mógłby nas zabić? To nie zakończyłoby jego koszmaru. Odwlekłoby tylko to, co i tak jest nieuniknione. On się boi wyjść na ulicę. Boi się tamtych. Ludzi, którzy, jak twierdził, przysłali nas. Nie wierzę w to, że mógłby nas zamordować.

Morderstwo. Harry'emu to słowo wydawało się obce. Nowe hasło w jego słowniku. Ruszył w kierunku schodów. Wziął taurusa

od Alison i schował go do kieszeni. Czuł, jak ból narasta z każdym krokiem.

- Nie wiedziałam, że masz broń, Harry.

- Nie jest to coś, co zawsze noszę przy sobie - stwierdził Tennant. - Wynośmy się stąd. To miejsce mnie przeraża.

- Dasz radę zejść po schodach?

- O mnie się nie martw.

Schodził wolno, mocno trzymając się poręczy. Ból był już nieco łagodniejszy, ale wciąż jeszcze paliło go między żebrami. Na dole przystanął i spojrzał w górę, na rusztowanie. Teraz ten widok nie wywoływał żadnych skojarzeń ani wspomnień. Była to tylko część zagadki, jaką stało się jego życie.

W hotelu wstąpili na chwilę do baru. Było tam tłoczno. Pianista grał stare przeboje. "I Can't Get Started", "Begin the Beguine". Przy stolikach siedziały zatopione w rozmowach pary. Wszystko było zadziwiająco normalne. Harry nie mógł tego pojąć. Czuł się dziwnie nieswojo, jak turysta, który nagle znalazł się w nieznanym miejscu, bez przewodnika. Alison siedziała nieruchomo. Prawie nie tknęła swego koktajlu. Raz po raz spoglądała na Tennanta z dziwnym wyrazem twarzy. Zapytała go, jak się czuje. Odpowiedział, że whisky potrafi czynić cuda. Uzdrawiająca alchemia scotcha. Zwykły banał. Gadka o niczym. Tak było łatwiej, nie trzeba było zagłębiać się w mgliste myśli i skojarzenia, których ani on sam, ani Alison nie byli w stanie przejrzeć. Śnili ten sam beznadziejny sen, za bardzo skomplikowany, bez końca i bez rozwiązania. Jedyne co mogli zrobić, to nie zwracać na niego uwagi, w nadziei, że sam zniknie.

Pod wpływem jakiegoś impulsu Harry wziął dziewczynę za rękę. Może pragnął tylko upewnić się, że to wszystko dzieje się naprawdę. Alison uścisnęła lekko jego palce. Poczuł, że jest między nimi jakaś trudna do określenia więź. Intymność. Wyobraził sobie, że się z nią kocha. Czy wtedy odzyskałby poczucie rzeczywistości. Delikatność. Zmysły. Seks. Ta myśl, ten obraz w jego wyobraźni, nie dawał mu spokoju. Mógłby być szczęśliwy. Mógłby bez wahania oddać jej część siebie. Mógłby powiedzieć, że on i Alison stali się naprawdę partnerami. Mógłby zakończyć te bezowocne próby odnalezienia własnej przeszłości.

-Nie mam siły myśleć, Harry. Mój mózg ma na dzisiaj dosyć.- Alison uśmiechnęła się smutno. Tennant nie mógł oprzeć się wrażeniu, że w takich oczach nietrudno jest utonąć. - Nie znalazłam żadnej odpowiedzi. Zresztą, po raz pierwszy w życiu nie znam nawet właściwych pytań.

Tennant również nie wiedział jakie pytania należało zadać. Nie chciał już myśleć o morderstwach, o paranoi i o nich. kimkolwiek oni byli. Wszystkie jego myśli i zmysły skupiły się w palcach. Całą swą uwagę skoncentrował na dotyku. Dziewczyna miała małe, delikatne dłonie. Nie musiał się szczególnie wysilać, żeby wyobrazić sobie jej smukłe palce gładzące jego ciało. Mocniej ścisnął jej rękę. Potrzebował takich chwil jak ta. Potrzebował tej dziewczyny.

Ostatni raz kochał się wiosną zeszłego roku. Poszedł na jedno z przyjęć Bobby'ego Delacroix, na których pojawiał) się różne typki z narkotykowego półświatka. Spotkał tam dziewczynę. Daph- ne. Poszła z nim na strych domu Bobby'ego. Stało tam pod oknem stare łóżko ze zniszczoną tapicerką. Harry był pijany. Kochali się długo, w coraz to innych pozycjach. Doskonałe połączenie dwojga obcych sobie ludzi. Harmonia zgranych ciał poruszających się rytmicznie. Tennant czuł zapach własnego potu. W pewnej chwili coś go rozśmieszyło, jakaś

zwariowana, pijacka myśl. Dźwięk jego śmiechu zmroził Daphne. Odepchnęła go. Z czego się śmiał? Co go tak bawiło? Czowała się urażona. Była za bardzo naćpana, żeby móc spojrzeć na to wszystko obiektywnie. Wzięła to do siebie. Czy uważał ją za nieatrakcyjną? Chodziło o to, że nie miała piersi, czyż nie tak? Zawsze się tego wstydziła. Miała wrażenie, że ludzie tylko na to patrzą. Ciągłe o tym mówili, dawali jej różne rady. Pytali się dlaczego nie wszczepi sobie silikonowych implantów.

Harry nie pamiętał dlaczego się wtedy śmiał.

-Idę na górę - powiedziała Alison. - A ty?

- Ja też. - Miał zostać w barze sam?

Dziewczyna wstała i ruszyła w kierunku wyjścia. Tennant szedł tuż za nią. W korytarzu przystanąła gwałtownie, odwróciła się i objęła go ramionami. Podobnie jak on, nie chciała zostać sama. Stali tak bez ruchu, połączeni, oddzieleni murem swych ramion od ludzi w korytarzu, od dźwięków pianina, od dzwonka windy. Była to chwila kruchej intymności. Tennant czuł, jak narasta w nim podniecenie.

- Nie chcę zostać sama - powiedziała Alison. - Nie dzisiaj.

Samotność. On także miał dosyć pustki wokół siebie.

Objęci, wsiedli do windy. Tennant spojrział w lustro. Alison przytulała głowę do jego piersi. To już nie była tamta twarda i gotowa na wszystko dziennikarka. Pocałował jej włosy. Podniosła głowę i uśmiechnęła się do niego smutno. Była w tej chwili jak delikatna i krucha roślina, którą należy chronić.

Wysiedli na swoim piętrze i wolno przeszli wzdłuż korytarza, dw'oję ludzi, których losy ważyły się na szali przyszłości. Harremu kołatała w głowie tylko jedna myśl: Pragnę jej. To było coś więcej niż obawa przed samotnością.

Otworzył drzwi i wszedł do ciemnego pokoju. Dziewczyna szła tuż za nim.

Od razu poczuł dziwny zapach unoszący się w powietrzu. Zapalił światło. Usłyszał krzyk Aiiison.

Żałował, że włączył lampę.

Na podłodze leżał mężczyzna, który podawał się za Aiphonse Trebanziego. W jasnym świetle lampy skóra jego twarzy wydawała się jeszcze bardziej purpurowa. Na szyi miał szramę. Wokoło było pełno krwi.

Przerażona dziewczyna raz po raz powtarzała "Chryste!" Tennant obejmował ją mocno. Pragnął, aby istniało jakieś magiczne zaklęcie, które usunęłoby ten okropny obraz sprzed ich oczu.

Szukaj spokojnego oka cyklonu, boyo. Nie daj się wariować. Zapanuj nad wszystkim. Wszystko jedno do kogo należał ten głos przemawiający w głowie Harry'ego, był to z pewnością głos

rozsądku. Zapanuj nad tym. Dasz sobie radę, boyo. Ale jak? Jak miał sobie poradzić z tym wszystkim? To nie był po prostu martwy zwierzak, którego należało pochować gdzieś w lesie. To był człowiek, którego Tennant prawdopodobnie kiedyś znał. Skąd mógł to wiedzieć? Być może ten leżący na ziemi mężczyzna był w przeszłości jego przyjacielem, może łączyło ich coś więcej niż tylko wspólna fotografia.

Harry nie wiedział, jak przejść przez ten mur oddzielający go od jego własnej tożsamości. Miał wrażenie, że już był blisko drzwi do przeszłości, ale wraz ze śmiercią Beara Sajaca, zatrzasnęły się one na głucho. Jeszcze raz spojrzął na podłogę. Odniósł wrażenie, że leżące tam ciało skapane jest w ciemnopurpurowym świetle.

Ktoś zwabił tutaj Beara Sajaca i zabił go. Ktoś.

Kto i kiedy? Kogo tak bardzo bał się Sajac? Oni. Ludzie bez twarzy.

Alison wyglądała jak ktoś, kogo przed chwilą mocno uderzono w twarz.

- Biedny łajdak - szepnęła.

- Tak, biedny łajdak - potwierdził Tennant. Zbierało mu się na wymioty, poszedł więc do łazienki, nalał do zlewu zimnej wody

i zanurz}} w niej twarz. Szumiało mu w głowie. Otworzył pod wodą oczy. Dobrze było tak przez chwilę pozostać w chłodnym i mokrym świecie. Wyobrażał sobie, że trup Sajaca śnił mu się tylko, że wszystko było jedynie złym snem. Rewizja. Dziewczyna. Stracone lata. Miał nadzieję, że za chwilę obudzi się zlany potem i odetchnie z ulgą, że to był tylko sen. Koszmar! Jakiś wybryk zmęczonego umysłu, nic więcej. Czy już zupełnie zwariował?

Wyprostował się i sięgnął po ręcznik. Osuszył nim twarz i wrócił do sypialni. Alison wzięła od niego ręcznik. Zarzuciła go na głowę Sajaca. Biała flaga. Trochę za dużo tego jak na jeden dzień. Mieli już wszystkiego dosyć.

Tennant spojrział na Alison. a potem odwrócił się do okna. Był ociężały. Nie panował nad swoim ciałem. Świat za oknem był czarną studnią, w której ścianach gdzieś błyszczały światła okien. Ta studnia nie miała dna. Biegła w dół miasta, tunelami i kanałizacją, aż do jakichś tajemniczych, niezgłębionych miejsc. Tennant nagle zapragnął otworzyć okno, wskoczyć w tę czarną przestrzeń i spadać wśród bladych światel mieszkań, spadać bez końca. Weź się w garść, Harry. Nie poddawaj się tak łatwo.

Otworzył okno. wpuszczając do pokoju wilgotne powietrze, w którym mieszały się zapachy gnijących śmieci i spalin. Wolał je od zapachu śmierci.

Myślał, że w każdej chwili może przecież odejść od dziewczyny, spakować się i po prostu zniknąć. Zostawić ją i jej beznadziejne poszukiwania. Mimo wszystko. Harry czuł, że między nimi istnieje jakaś więź. to właśnie Alison uchyliła drzwi do jego samotności. Nie mógł tak zwyczajnie uciec. Poza tym nie miał dokąd pójść. To ona go zabrała z jego świata, on był tylko

pasażerem.

Ręcznik zarzucony na twarz Sajaca w kilku miejscach przesiąkł ciemną krwią. Wyglądał teraz jak maska jakiegoś cholernego przebierańca. Zdawało się, że za chwilę mężczyzna podniesie się, wybuchnie piekielnym śmiechem i stwierdzi, że fajnie się bawił, ak musi już się zbierać.

Niestety, wiedzieli, że nic takiego nie nastąpi. To na pewno nie był żaden dowcip.

- Zabili go - powiedział Tennant - i zostawili go tutaj. To wiadomość od nich. Napisane krwią ostrzeżenie, żebyśmy pilnowali swoich spraw. Spływasz stąd, Harry'. Zostaw w spokoju swoją przeszłość.

- To nie jest tylko ostrzeżenie. Harry i o jęv, ak kis.«ka Ktokolwiek zabił Sajaca. wie. że nie możesz . na p . r;

Tennant nie wybiegał myślą aż uk daie*o w pr/y,zł'.śc. Ni? myślał o policji, nie zastanawiał się nad konsekwencjami!;, nad rvrr,. co się stanie potem. Kiedy jest się w v/.oku. n:e zastanawia się aac swoją przyszłością.

-Ty będziesz głównym podejrzanym To twój pokój;. Pokój w którym jest trup. Jakiś glina weźmie cie na posterunek, twoje imię w komputer. Trafiony, zatopiony. Jesteś prze^s-pcą. Harry. Gorzej, jesteś zbiegiem. No i ocr/vfiae głównym p«r!r- rzanym o to morderstwo. Wiesz, jak myśnią gliny. Wioizą, że popełniłeś jedno przestępstwo, więc zakładają, że jesteś zdolny do popełnienia następnego.

- Dobrze, więc nie dzwońmy na policję.

- Nie możemy tego zrobić.

Tennant przysiadł na brzegu łóżka. Klatka. Oni go * złapali.

-W jaki sposób zdołali mnie znaleźć? - spytał. - Skąd wiedzieli, że zatrzymałem się w tym hotelu?

-Istnieje tylko jedna odpowiedź. Od samego początku ktDS Ddi śledził.

-Śledził? Kto?

Alison usiadła obok niego. Tennant przez jedną akdorzfczn« chwilę zastanawiał się, czy przypadkiem dziewczyna me zostawiali śladów dla Tych Bez Twarzy. Nieumyślnie albo specjalnie. Nie. Nie mógł tak myśleć. Znowu w grę wchodziło wzajemne zaufanie. Zajęty sygnał jej telefonu. Przytłumione głosy dochodzące zza ściany.

-Wiem o czym myślisz, Harry. Zastanawiasz się, ery to nie ja. Najpierw- rewizja, potem nagle pojawia się ja. Pewnie myślisz, że między tymi rzeczami jest jakiś związek. Może nawet sądzisz, że ja. z jakichś nie znanych ci powodów, manipuluję tobą.

Zaprotestował.

- To nie tak...

-A właśnie, że tak. To zupełnie zrozumiałe. W końcu przecież to ja wdarłam się w twoje życie i wywróciłam je do góry nogami - Dotknęła jego ręki. - Chcesz sprawdzić moje dokumenty? Kartę członkowską Writer's Guild? Prawo jazdy? Mam ci ie pokazać⁰

Harry pokręcił przecząco głową. Było mu głupio. Zgadła o co ją podejrzewał. Czuł się, jakby przyłapała go na zdradzie.

- Jestem dokładnie taka, jaką mnie widzisz.

Jaką mnie widzisz. Zastanawiał się, co on właściwie widział. Wstał z łóżka. Miał wrażenie, że ten pokój go przytłacza. Musiał się z niego wydostać, odetchnąć. Nie był pewien, czy gdzieś za drzwiami nie czai się morderca Sajaca. Morderca czy mordercy, jeden czy wielu. Tennant zdał sobie sprawę, że myśli dokładnie tak, jak to robił Bear Sajac. Ilu przyszło z wami? Ktoś czeka na ulicy? Czy resztę swego życia miał spędzić tak jak tamten, oszaleć od ciągłego ukrywania się? Zejść pod ziemię, przebierać się, żyć w ciągłym strachu?

- Być może to jest moja wina - stwierdziła Alison. - Gdybym nie wpakowała się w twoje życie, nie byłoby cię tutaj, a Bear Sajac prawdopodobnie wciąż jeszcze by żył. Cholera, może to ja jestem odpowiedzialna za jego śmierć, Harry...

- Nie powinnaś tak myśleć...

- Dlaczego nie? Dlaczego nie powinnam tak myśleć? To przecież ja wygrzebałam adres tego faceta, to ja chciałam go odszukać, to ja wpadłam na pomysł opisanie losów ludzi z tej cholernej fotografii. - Alison miała łzy w oczach. Nerwowo zaciskała dłonie.

- Daj spokój - powiedział Tennant. - Przyciągnął ją do siebie i próbował jakoś uspokoić. - Nie jesteś winna żadnej z tych rzeczy,

Przytuliła się do niego. Harry delikatnie gładził ją po plecach. Po chwili dziewczyna odsunęła się i wytarła oczy rękawem. Próbowwała wziąć się w garść.

- Już wszystko w porządku. Naprawdę. Masz rację. Nie mogę o wszystko obwiniać siebie.

- Wiem, że mam rację.

- Dobra. - Alison przeczesła palcami krótkie włosy. W tym geście Tennant dojrzał jej dawną determinację. - Dobra, musimy się zastanowić. Po pierwsze nie możemy tutaj zostać.

Pomysł wyniesienia się z tego miejsca bardzo odpowiadał Harry'emu. Chciał coś zrobić, iść, biec, cokolwiek. To nie był jego pokój. Należał on w tej chwili do zamordowanego Sajaca. Zmarli zawsze mieli pierwszeństwo przed żywymi.

- Jak daleko zdołamy uciec zanim dopadną nas ci, którzy załatwili Sajaca?

- Oni nas już dopadli. Powinieneś raczej zapytać dlaczego jeszcze nas nie wykończyli?

Dlaczego pozwalają nam ciągnąć to wszystko dalej? Spojrzała na leżące na podłodze ciało. Jeżeli nie chcą, żebyśmy wchodzili im w drogę, to dlaczego nie pozbędą się nas już teraz?

Tennant nie potrafił na to odpowiedzieć. Zaczął pakować swój niewielki dobytek do płóciennej torby. Za oknem było już zupełnie ciemno. Noc roiała się od duchów, które doskonale wiedziały, gdzie mają go szukać. Wyjął z kieszeni płaszcz taurusa i wrzucił go do torby. Broń ciężko spadła na ubrania. Harry spojrzał na nią i pomyślał o Raylandzie Tennancie.

- Mój ojciec wiedział gdzie mieszkam. On jest dobry w tropieniu wszystkich i wszystkiego.

- Pewnie tak, ale chyba nie podejrzewasz, że mógłby... - dziewczyna wykonała jakiś niezrozumiały gest, tak jakby sama nie wiedziała, co chciała powiedzieć. - Chyba nie śledziłyby nas. Dlaczego miałby wysłać za nami jakichś ludzi? Poza tym, zakładając, że wysłał kogoś za

nami, skąd można wiedzieć, czy to właśnie oni popełnili morderstwo. A jeżeli tak, to dlaczego?

Ciągle się kręcimy, pomyślał Tennant. Karuzela problemów. Ciągłe zwody i wykręty. Ciągłe w kółko. Kiedy raz się zajmie miejsce, nie można już wysiąść, gdyż ta karuzela nigdy się nie zatrzymuje. Wspomnienie ojca od razu przywiodło mu na myśl pułkownika Harkera, jego jajowatą głowę, po wojskowemu ostrzyżone włosy, wygolone bokobrody nadające jego twarzy ostry i surowy wyraz. Tennant pamiętał jak denerwowało go zachowanie Harkera przed sądem. Wyszkolony przez Raylanda, tłumaczył wszystko tym, że spełniał jedynie swoje obowiązki. Był żołnierzem a X był jego wrogiem, jego zadanie polegało więc na zlikwidowaniu X. Koniec gry. Tennant bardzo wyraźnie pamiętał jak w wiadomościach telewizyjnych pokazywali Raylanda i Harkera, jak razem wychodzili z sądu już po ogłoszeniu werdyktu. Dwóch zadowolonych z siebie facetów, z rękami splamionymi krwią. W przewidzianym na ten proces repertuarze uczuć, nie było współczucia dla pomordowanych kobiet i dzieci, które Harker zostawił w Wietnamie. Żadnego żalu, po prostu groby i szerniałe w ogniu ciała.

Pamiętał to wszystko doskonale. Jeżeli miał amnezję, to działała ona bardzo wybiórczo. Gdziekolwiek między chmurami tworzył się

prześwit. Tam wspomnienia były niezwykle wyraźne. Ostre jak skalpel.

Zapiął zamek torby. Czuł się nieswojo. Czy mógł tak po prostu stąd odejść? Alison już szła w kierunku drzwi.

- Muszę tylko spakować parę rzeczy - rzuciła w stronę Ten- nanta.

Wyszli na korytarz. Kinkiety w kształcie gruszek dawały niewiele światła, jakby nagle spadło napięcie. Zdawało się, że ściany są nieprzyjazne. Otoczyła ich wroga pustka. Harry chciał jak najszybciej znaleźć się w jakimś miejscu, gdzie było tłoczno, bardzo jasno i głośno. To pragnienie było niezwykle, gdyż przez ostatnie dziewięć lat, właśnie takich miejsc unikał. W głębi korytarza nikłe światła lamp łączyły się z cieniem. Sufit i podłoga tworzyły płaszczyzny, które zdawały się zmierzać ku wspólnemu spotkaniu w nieskończoności.

Alison weszła do swego pokoju. Pośpiesznie wrzucała rzeczy do małej skórzanej torby: rajstopy, pasta do zębów, czerwona plastikowa szczotka.

Tennant wcisnął guzik przywołujący windę, a potem nagle zdecydował się i pociągnął Alison w stronę schodów. Co czekało na nich na ulicy? Harry odniósł wrażenie, jakby zanurzał się w mgłę, w nieznaną mu dotąd pustkę i niepewność charakterystyczną dla wszystkich zbiegów. Ucieczka stawała się esencją życia, czymś, do czego człowiek musiał się szybko przyzwyczać. Jeżeli nie potrafił, nie miał szans na przetrwanie.

W drodze na dół nie spotkali nikogo. W hallu na parterze był tylko recepcjonista i umundurowany odźwierny, który spojrzał na nich tak jak zwykle patrzą odźwierni, oceniając czy należą do gości dających dobre napiwki. Najwyraźniej jednak nie zaliczył ich do tej grupy, gdyż

odwrócił się i zakaszłał w białą rękawiczkę. Na zewnątrz padało. Niewielki, ale przenikający aż do skóry deszcz tworzył w świetle pod latarniami smugi, delikatne, jak zerwane nitki pajęczej sieci.

Na pustej ulicy, zaparkowany nieopodal samochód Alison przyciągał wzrok. Czerwony cadillac. Dlaczego nie miała czegoś mniej rzucającego się w oczy, jak ford albo dodge? Kiedy zbliżyli się do samochodu, Tennant poprosił Alison, żeby prowadziła. Dokąd? Było mu to w tej chwili zupełnie obojętne.

Alison usiadła za kierownicą. Pojechali do końca ulicy, a potem dziewczyna skręciła w lewo, w ulicę jednokierunkową.

- Dokąd teraz?
- Wszystko jedno, byle dalej od tego miasta.

Obserwował jezdnię, po której rozpryskując wodę kałuż śmigają żółte taksówki. Od czasu do czasu jakaś ciężarówka przejeżdżała obok z piekielnym klekotem. Ruch uliczny miał swoje własne prawo grawitacji. W oddali dostrzegli rzekę Hudson, której fale połyskiwały w świetle ulicznych lamp jak ławica złotych rybek. To był dziwnie nierealny świat, który rządził się własnymi prawami. Tkwili w nim, jak w pułapce. Most przed nimi zdawał się niematerialny, delikatny i kruchy jak cienki lód, a jednak wytrzymywał ciężar setek tysięcy przejeżdżających po nim samochodów. Tennantowi zdawało się, że lada chwila most się zerwie, a razem z nim wszystko inne.

Potrzebował spokojnego miejsca i czasu, żeby się pozbierać. Nie był w stanie mówić. Zdania

rozpadały się na słowa, które rozsypywały się w jego głowie tworząc bezsensowną plątaninę. Miał wrażenie, że słyszy dźwięk dzwonów, który nagle przeszedł we wrzask gigantycznych mew. W tych odgłosach było coś znajomego, tak jakby słyszał je gdzieś dawno temu.

Alison zatrzymała cadillaca na podjeździe stacji benzynowej i wyłączyła silnik. Przez chwilę siedziała w milczeniu, a potem nagle powiedziała:

- Coś mi mówi, że cała ta sprawa śmierdzi. Jeżeli się teraz wycofamy, być może będziemy jeszcze mieli jakąś szansę. Może nie skończymy tak jak tamten łajdak.

- Czy właśnie tego chcesz? Wycofać się?

- Nie jestem z tych, co lubią się wycofywać, Harry. Zwykle nie kieruję się zdrowym rozsądkiem. Gdybym to robiła, pewnie wychowywałabym teraz dzieci na jakimś ranczo w Tonawanda i gotowała zapracowanemu mężowi obiady.

Tennant w milczeniu przyglądał się dystrybutorom. Nieruchome kanciaste figury, dziwaczne twory cywilizacji.

- Nienawidzę tej... tej cholernej manipulacji. Ktoś chce mi dać do zrozumienia, abym trzymał się z dala od mojej własnej przeszłości

ści. Mam już dość pogroźek. Potąd mam ludzi, którzy odbierają mi to, co do mnie należy. - I boję się, dodał w myślach. Uderzył pięścią w otwartą dłoń drugiej ręki i westchnął.

Odwrócił się do tyłu. W oddali majaczyła linia dachów wieżowców na Manhattanie. Niżej rozgrywał się teatr świateł.

- Jedź — powiedział.

Czuł, że jego przeznaczenie gdzieś się zagubiło. Nie widział żadnego celu. Wiedział tylko, że źle ocenił uciekanie. To było coś więcej niż tylko sposób życia, to powoli pożerało samego zbiega. Tennant myślał o przestrzeni jaka dzieliła go od tego, co zostało z Sajaca.

Zatrzymali się w położonym za Bethlehem w stanie Pennsylvania pustym motelu. Bethlehem Christmas, stalowe konstrukcje i niemieccy imigranci. Była trzecia nad ranem. Tennant miał wrażenie, że w otaczającej go ciemności jest coś ponurego, tak jakby żałowała, że nadchodzi chwila jej śmierci. Wzięli jeden pokój z dwoma łózkami, klatkę przez którą przewinęły się tysiące anonimowych ludzi, pozostawiając po sobie tłuste odciski palców na tapetach, ślady po papierosach na brzegu stolika i pęknięte lustro w łazience. Pamiątki szczęśliwych dni w Christmas City.

Przez całą drogę towarzyszyło im dziwne napięcie. Alison ciągle sprawdzała w lusterku, czy nikt za nimi nie jedzie, a Tennant co pięć minut oglądał się za siebie i usiłował dojrzeć coś na ciemnej autostradzie. Nie wiedział czy są śledzeni, a jednak przez całą drogę nie mógł oprzeć się niedorzecznemu wrażeniu, że ktoś ich obserwuje.

Harry usiadł na łóżku przy oknie. Alison zaciągnęła zasłony, odgradzając ich w ten sposób od

nocy, próbując stworzyć poczucie bezpieczeństwa. Tennant patrzył jak dziewczyna włącza telewizor. Odbierali tylko obraz, bez dźwięku. Jakiś pławonurek sunął właśnie między kołyszącymi się podwodnymi roślinami. Umykały przed nim migotliwe ławice małych rybek. Raz po raz spod maski wydobywał się strumień pęcherzyków powietrza. Tennant przez chwilę obserwował nurka. AJison położyła się na sąsiednim łóżku i gapiła się w sufit. Miała nieobecny wyraz twarzy. Myślami była gdzieś daleko.

Tennant nagle zapragnął ją przytulić. Chciał czuć jej obecność. Wyobrażał sobie, tak jak wtedy, w hotelowym barze, że fizyczny

kontakt z dziewczyną zdoła rozproszyć pustkę jaką odczuwał. Nic ruszył się jednak. Alison wstała i poszła do łazienki. Zamknęła za sobą drzwi i po chwili Harry usłyszał szum prysznica. Wyobrażał sobie krople wody uderzające w jej nagą skórę, spływające po piersiach, brzuchu i między udami. Myśli kończące się ślepym zaułkiem.

Nurka na ekranie otaczała teraz różowa rafa koralowa. Po dnie sunął duży krab wzbijając w górę małe chmurki piasku. Harry przypomniał sobie dzień, kiedy pojechał do Pacifica. Był na jakimś cholernie mocnym kwasie, siedział na plaży i patrzył na zachodzące słońce. Ludzie tak wtedy robili. Był to pewien rodzaj rytuału. Na grzybkach, LSD albo innych świństwach, które popuszczały wodze fantazji i zmysłów, siadało się na piasku i bezmyślnie gapiło na olbrzymi pomarańczowy krąg kalifornijskiego słońca i fantastyczne esy-floresy, które światło kreśliło na powierzchni wody. Te niezwykle wzory wywoływały serię kosmicznych skojarzeń i myśli tak intensywnych, że nie było żadnych wątpliwości co do ich realności.

Pamiętał długowłosego blondyna, który chodził po plaży twierdząc, że to on jest słońcem. Trzeba było tam być, żeby poczuć to naprawdę. Tennant wpadł wtedy w głęboki letarg. Siedział w bezruchu na piasku, odrętwiały, w swym otępieniu oderwany od realnego świata.

W tych wspomnieniach było coś dziwnego. Jakiś cień. Był pewien, że do Pacifica pojechał z kimś, tylko nie mógł przypomnieć sobie, kto to był. Nie pamiętał ani imienia, ani twarzy. Tylko jakiś cień w słońcu. Przycisnął palcami powieki, tak jakby w ten sposób chciał przywołać tamten obraz. Rozpieprzyło się, myślał. Moje całe życie się rozpieprzyło.

Alison wyszła z łazienki. Miała na sobie szarą, jedwabną koszulę. Włosy owinęła wilgotnym

ręcznikiem. Położyła się na sąsiednim łóżku nie patrząc na Tennanta.

- Tego mi było potrzeba - powiedziała. - Terapia wodą. To naprawdę działa. Czuję się znacznie lepiej. - Wyciągnęła w górę ramiona prawie tanecznym ruchem. Zdjęła ręcznik z włosów i rzuciła go obok.

Na jej krótkich włosach połyskiwały krople wody. Na szarym jedwabiu koszuli mniej więcej na wysokości prawego uda pozostał wilgotny ślad. Tennant nie mógł oderwać wzroku od tego miejsca.

Wyobrażał sobie, że czuje je pod swymi palcami, potem zsuwa jedwab z jej ramion i zagłębia się w jej ciało, w jej usta, w nią.

- Nie sądzę, żeby to nam pomogło, Harry. Sam zresztą wiesz.

Zauważyła więc.

Chyba tak.

To by tylko wszystko skomplikowało.

- Jedne komplikacje są łatwiejsze, inne trudniejsze skwitował Harry.

Kropelka wody spłynęła na poduszkę i błyszczała chwilę, zanim wsiąknęła w materiał.

- To byłaby tylko ucieczka - powiedziała Alison i uśmiechnęła się do niego. - Na krótką metę to mogłoby zadziałać, ale ja nie sprawdzam się w takich "rzeczach na krótką metę". Wolę trwałe związki. Nie sądzę jednak, żebym w takich okolicznościach mogła pragnąć jakichkolwiek zobowiązań. Czy potrafisz to zrozumieć?

Wstała z łóżka i podeszła do niego. Wzięła go za rękę i delikatnie przesunęła palce po wierzchu jego dłoni.

- Lubię cię - powiedziała. - Nawet bardzo.
- Nie kuś mnie.
- Nie mam tego w swoim repertuarze, Harry.
- “Jestem taka, jaką mnie widzisz”?
- Właśnie.
- To może mi powiesz co takiego widzę właśnie teraz?
- Widzisz kogoś, kto stoi na krawędzi przepaści. Osobę, która bardzo cię lubi, tylko że nie jest pewna z czym to uczucie będzie się wiązało, ponieważ tak naprawdę w ogóle ciebie nie zna. Niepewną swej przyszłości dziewczynę, którą prześladują paranoiczne wizje morderstwa. Nie iv porę, pomyślał Tennant. W powietrzu czuł podniecający zapach seksu, który mieszał się z wonią śmierci Sajaca. Spojrzał Alison w oczy. Ich czerń równa była głębi bezgwiezdných nocy, nie zmaconych żadnymi szeptami, czy szelestem drzew’. Mógł się zakochać w samych oczach.
- Czy byłaś kiedyś zakochana? - zapytał.
- Czemu pytasz?
- Po prostu jestem ciekaw. - Chciałbym cię poznać. Chciałbym znaleźć się gdzieś, gdzie nie istnieje coś takiego jak sekret, czy tajemnica.

- Nie jestem pewna co masz na myśli mówiąc “zakochana”.
- Zdawało mi się, że zadałem proste pytanie.
- No dobrze. Tym szalonym uczuciem darzyłam kiedyś niejakiego Sterna. Charliego Sterna.

Chodziliśmy do tej samej szkoły średniej. Był wydawcą szkolnej gazety, przewodniczącym związku studentów. Pan Ktoś. Mieliśmy parę schadzek za ławkami na stadionie. Myślałam wtedy, że serce wyskoczy mi przez gardło.

- I co się stało?

Alison uśmiechnęła się.

- To smutne, ale kiedy ja w napięciu czekałam na rozstanie się z dziewictwem, Charlie Stern wytrysnął w spodnie. Później mnie unikał. Pewnie było mu głupio. Potem, już na studiach, miałam krótki romans z moim profesorem. Przysięgał, że rzuci dla mnie swoją żonę i różne podobne bzdury. Skończyło się niczym. Ten facet miał zwyczaj zaciągać do łóżka swoje studentki. Byłam jego kolejną zdobyczą. Jediną korzyścią było to, że na egzaminie dał mi najwyższą ocenę.

Tennant miał wrażenie, że dziewczyna nie chce odpowiedzieć na jego pytanie, że się tylko wykręca, byle nie dać się wciągnąć w zwierzenia na temat miłości. Sekrety, pomyślał. Przypomniało mu się, że w taki sam sposób wykręciła się od odpowiedzi na pytanie o rodziców w Buffalo. Było całe mnóstwo rzeczy, których Harry nie wiedział. Na to, żeby kogoś lepiej poznać trzeba było sporo czasu, czasami nawet całego życia.

- A ty, Harry? Byłeś kiedyś zakochany?

Pytanie spadło na niego jak cios. Nie znał odpowiedzi. Gapił się w sufit. Czy w jego życiu nie było miłości? W Haight miał jakieś dziewczyny, tam zawsze były dziewczyny, ponieważ seks był elementem życia w Haight. Przypadkowy, bez żadnych ograniczeń, tak samo jak złudzenie wyzwolenia się z przyziemności. Seks był jednym ze sposobów na wyrażenie tego, że wszystkie dawne wartości rzeczywiście legły w gruzach. Aie miłość? Harry poczuł, że ogarnia go panika równa tej, jaką odczuwa ktoś, kto próbuje zbadać sobie puls i nie może go wyczuć. Przecież pamiętałbym miłość, myślał. Pamiętałbym, że byłem zakochany.

- Przepraszam, nie powinnam była pytać - powiedziała Alison. Lekko pocałowała go w czoło. Poczł woń mydła i szamponu, którymi pachniała. Dziewczyna usiadła z powrotem na swoim łóżku i założyła nogę na nogę. Nastrój prysł.

W telewizji nurek wyszedł już na powierzchnię i właśnie zdejmował maskę. Podniósł coś do góry. Trofeum z wyprawy, gigantyczną muszlę, która kiedyś była domem jakiegoś stworzenia. Życie tego człowieka wydało się Tennantowi takie proste. Po prostu schodził na dno tropikalnych mórz, a potem wracał na powierzchnię zabierając ze sobą muszle. Pełnia szczęścia. Muszę nauczyć się nurkować. Muszę nauczyć się prostoty takiego życia. Wtedy mógłbym być szczęśliwy.

Alison pstryknęła palcami.

- Obe może być kluczem do całej zagadki - powiedziała. - Musimy do niego dotrzeć, zapytać go, czy wybrał właśnie tę grupę z jakichś szczególnych powodów.

- Dlaczego sądzisz, że dowiemy się czegoś od tego fotografa? Przecież mówiłaś, że on sfiksował.

- To jego żona tak twierdziła, Harry. Ja nie widziałam tego na własne oczy.
- I chcesz go zobaczyć?
- Tak. Muszę go zobaczyć.
- Mówiłaś, że jest gdzieś w Iowa. Wiesz dokładnie, gdzie?
- Wiem, gdzie mieszka jego żona.
- I chcesz tak po prostu jechać tam i spytać ją w jakim zakładzie zamknęli Sammy'ego? Jaki ma numer pokoju?
- A dlaczego nie?
- A jeżeli nie będzie chciała ci tego powiedzieć?
- Nigdy nie zastanawiam się jak rozwiązę dany problem, zanim się na niego nie natknę. Nie bawię się w "gdyby" i "jeżeli".

Tennant zapalił lampkę przy łóżku. Nigdy jeszcze nie był w Iowa. Zresztą, w tej chwili kierunki nie miały dla niego żadnego znaczenia. Każde miejsce było dobre.

- Zmyjemy się stąd, jak tylko się rozwidni.

Tej nocy Tennant spał bardzo lekko. Co jakiś czas budził się i znów zapadał w płytki sen. Cieszył się, że Alison jest tak blisko niego. Śnił o Chinatown, o wystawach sklepów, jaskrawych jedwabiach i papierowych lampionach. Jakaś postać stojąca w drzwiach jednego ze sklepów kiwała na niego ręką. Nie widział twarzy, tylko tę wyciągniętą dłoń. Nagle niebo nad Chinatown zaroilo się od mew, które przysłoniły słońce. Obudził go warkot samochodu dobiegający od strony motelowego parkingu. Sen rozwiął się i Harry leżał przez chwilę na-

studiując czy ktoś nie zbliża się do ich pokoju. Nikogo jednak tam nie było. Przed świtem obudził się raz jeszcze, miał erekcję, choć nie pamiętał, żeby śnił o czymś, co mogłoby go podniecić.

Spojrzał na zasłonięte okno. Przez materiał zaczynało sączyć się nagle światło. Na drugim łóżku Alison wierciła się niespokojnie przez sen, nawiedzana przez własne duchy.

Motelowy parking oświetlały promienie bladego różowego, porannego słońca. Karoserie kilku stojących tam samochodów rzucały nagle błyski. Wsiadając do cadillaca, Tennant przyjrzał się wozom. Z tego co widział, wszystkie były puste. Zapowiadał się piękny, pogodny dzień. Wspaniała widoczność. W takie dni strach stawał się bardziej wyraźny na tle czystego krajobrazu. Napięcie rosło. Oczywiście mieli jechać bocznymi drogami, ale mimo wszystko, Tennant nie potrafił się rozluźnić. Gdzie można się było schować pod tym przeraźliwie czystym, niebieskim niebem? Olbrzymia kula słoneczna ukazała całe swe oblicze jeszcze zanim ujechali dwadzieścia mil. Róż przeszedł we wściekły pomarańcz, który sprawiał, że drzewa i łąki zdawały się płonąć.

Tennant wyjął ze schowka mapę. Pennsylvania z jednej strony graniczyła z Ohio, z drugiej, otaczało ją jezioro Erie. Youngstown, East Palestine, East Liverpool. Przez sam środek przechodziło pasmo Apalachów z zaznaczonymi punktami wsi, niewielkich osad i miast, które zdawały się istnieć tylko na mapie. St. Augustin, Glasgow, Cassandra. Co robili ludzie w miejscu, które nazwano Cassandra? Użalali się nad sobą?

Prowadzili na zmianę, rzadko odzywając się do siebie. Tennant koncentrował swą uwagę na polach i lasach, które mijali. Opuścił trochę szybko wpuszczając do środka wspaniały zapach świeżo ściętej trawy. Starał się myśleć o sobie, jak o zwyczajnym człowieku, którego życie

stanowi jedną całość, z przeszłością, teraźniejszością i przyszłością. Tamci ludzie nie należeli do rzeczywistego świata, istnieli tylko na fotografii. Nie jestem Harrym Tennantem, myślał. Harry Tennant również nie istnieje. Jestem kimś innym, zbiegiem bez imienia. Przez cały czas jednak oglądał się sprawdzając, czy cadillac nie jest śledzony. Nie mógł być nikim innym, niż Harrym. Złudzenie prysło. Gdzie byli ich prześladowcy? Dlaczego się nie ujawniali? Czy posiadali jakąś magiczną moc, która pozwalała im wtapiać się w krajobraz? Te pytania niepokoiły Tennanta. Każda wątpliwość rodziła następną, jeszcze gorszą, ciemniejszą. A może nikt za nimi nie jechał. Przecież to mógł być tylko skomplikowany twór jego zmęczonej wyobraźni.

Alison zatrzymała samochód przy jakiejś lokalnej jadłodajni, w której serwowano kurczaka z sosem i frytkami. Nad drzwiami powiewała amerykańska flaga, która była tak czysta, jakby wyprano ją zaledwie dziesięć minut temu. Wewnątrz było dość ciemno i chłodno. W powietrzu unosił się zapach smażonej cebuli. Tennant poczuł, że jest bardzo głodny. Zamówił dwa hamburgery, frytki i coca-colę. Alison skubnęła parę frytek od Harry'ego i wypła wodę z lodem. Wciąż wyglądała przez okno. Jakiś pryszczaty wyrostek w zabrudzonym kombinezonie stał ze znudzoną miną przy dystrybutorze. Raz odwrócił się i obojętnie spojrział w jej kierunku. Mógł mieć osiemnaście albo dziewiętnaście lat, ale wyglądał już staro.

- Musimy pozbyć się cadillaca - powiedziała Alison. - W pierwszym zakładzie sprzedającym używane wozy zamienię go na coś mniej rzucającego się w oczy. Coś zupełnie niezauważalnego. Czarnego albo beżowego.

- Bardzo rozsądnie.

Tennant skończył jeść, wstał i poszedł do męskiej toalety. Smród moczu mieszał się tam z ostrym zapachem jakiegoś taniego środka dezynfekującego. Harry zamknął drzwi i podszedł do pisuaru. Kiedy rozpinał spodnie, do pomieszczenia wszedł mężczyzna w ciemnych okularach. Był gruby i miał na sobie hawajską koszulę z krótkim rękawem. Okropna mieszanina bananów, papug i liści palmowych. Na głowie nosił czapkę baseballową ze znakiem Kansas City Royals. Podszedł do zlewu i odkręcił kran. Trzymając ręce pod strumieniem wody, przyglądał się sobie w lustrze. Tennant również spojrzał na odbicie faceta.

Ta twarz wydała mu się znajoma. Tennant przyglądał się jak mężczyzna dokładnie wyciera ręce papierowym ręcznikiem. Przez chwilę się wahał, a potem kierowany nagłym gniewem, szybkim ruchem przycisnął mężczyzną twarzą do ściany zaciskając mu ręce na szyi. Baseballowa czapka spadła na podłogę. Facet jęknął. Jego szyja była miękka, ciało łatwo ustępowało pod naciskiem palców Tennanta.

- Jezu Chryste...

- Ciągłe spotykamy się w kiblach - powiedział Tennant. - Nie lubię jak ktoś zakłóca moją prywatność.

Mężczyzna przekreślił się próbując odwrócić głowę. Ciemne okulary zsunęły mu się z nosa. Z niedowierzaniem przyglądał się swemu napastnikowi.

- O co ci do cholery chodzi, człowieku?

Tennant, który nie używał przemocy od kiedy skończył szkołę średnią, mocniej przycisnął mężczyznę do ściany.

- Byłeś w barze w Albany, polazłeś za mną do kibla. Pamiętasz? - Harry zaskoczony był dziwnym uczuciem podniecenia, jakie go ogarnęło. - Pamiętasz?

-W Albany? Nigdy tam nie byłem. Jezu Chryste. Posłuchaj, jeżeli chodzi ci o pieniądze, to w tylnej kieszeni mam jakieś siedemdziesiąt dolców, weź je sobie, a mnie zostaw, na litość boską! - Okulary spadły na podłogę i roztrzaskały się na tysiąc czarnych, błyszczących kawałeczków.

- Nie chcę twojej zasranej forsy - rzucił Tennant. - Chcę, żebyś się ode mnie odczepił.

-Posłuchaj człowieku, nigdy w życiu cię nie widziałem. Możesz sobie sprawdzić mój portfel. Sprzedaję ubezpieczenia. Mam własną agencję w Williamsport. Nazywam się Walter Świn, sprawdź sobie. - Mężczyzna próbował wydostać portfel z tylnej kieszeni spodni. Tennant odepchnął jego rękę i sam wyciągnął portfel. Puścił grubasa, który zaczął rozcierać sobie spoconą szyję.

- Moje okulary. Cholera, rozwaliłeś mi okulary. Ty chyba jesteś kompletnie stuknięty.

Tennant sprawdził zawartość portfela. Karty kredytowe, prawo jazdy, karta członkostwa Rotary Club i wizytówka: WALTER SWIN, AGENT UBEZPIECZENIOWY. Były tam też zdjęcia opasłej blondynki i dwójki pulchnych dzieciaków. Harry cofnął się o krok. Pod butem zachrząściło mu rozbite szkło okularów. Co zrobił? O co mu właściwie chodziło? Był zdezorientowany. Przypadkiem spojrzął w lustro. Ledwo mógł poznać swoją twarz, wykrzywioną, ze ściągniętymi rysami. To był obcy Harry Tennant. Przemoc stała się kolejnym elementem jego szaleństwa. Raz jeszcze zajrzał do portfela. Świat Waltera Świna był taki zwyczajny i banalny. Mężczyzna stał przed nim trzęsąc się ze strachu tak bardzo, że Tennant nie wątpił w autentyczność tych kart i zdjęć. Kilka dokumentów, skomputeryzowany świat określający tożsamość człowieka. Bez tych papierów człowiek nie mógł być tym za kogo się uważał. To tak jakby wszyscy cierpieli na nieustającą amnezję i musieli sobie ciągle przypominać kim są. Trudno było zrozumieć ten niezwykły kryzys tożsamości. Tennant pamiętał z jakim strachem i pożądlivością Sajac przeglądał dokumenty Alison. Czy on zachowywał się tak samo jak tamten? Szalony, bezmyślny, przerażony do tego stopnia, że bronił się atakując? Zamieniam się w Beara Sajaca. Okrutna metamorfoza. Oddał portfel jego właścicielowi.

- Przepraszam, nie wiem co mnie naszło.
- Powiniennem to zgłosić na policję. Takich jak ty powinno się zamykać, jako niebezpiecznych dla otoczenia. - Przerażenie Waltera Świna ustąpiło miejsca gniewowi. W końcu, czy on nie miał żadnych praw? Dokąd zmierza ich wspaniały kraj, jeżeli już nawet rąk nie można spokojnie umyć? O co w tym wszystkim chodzi?

- Przepraszam, przykro mi, że tak się stało.
- Dobra, człowieku. Może jest ci przykro, ale kto do cholery zapłaci mi za okulary?
- Proszę. - Tennant wyciągnął z kieszeni studolarowy banknot

i wcisnął go w pulchną dłoń Waltera Świna.

- No tak. To wystarczy jak sądzę. Muszę, muszę... - Na widok pieniędzy z grubasa natychmiast wyparowała wściekłość. Harry poczuł, że ma trudności z oddychaniem. Podniósł czapkę, podał ją mężczyźnie i wyszedł z toalety. Alison nie było przy stoliku. Jej puste miejsce na chwilę go zaniepokoiło. Rozejrzał się i zobaczył przez okno, że stała oparta o cadillaca patrząc bezmyślnie przed siebie. Przeczesała palcami włosy. W jaskrawym słońcu, którego promienie odbijały się od wściekle czerwonej karoserii wozu, wydała mu się jeszcze delikatniejsza i bardziej krucha niż zazwyczaj. Poczuł nagłą potrzebę zaopiekowania się nią, ale jak mógł opiekować się kimkolwiek, jeżeli nie potrafił poradzić sobie z Harrym Tennantem - z samym sobą.

Było późne popołudnie, kiedy zatrzymali się w Columbus Ohio, żeby zamienić cadillaca na jakiś inny wóz. Alison wybrała czarnego buicka, popularny model, dwanaście tysięcy na liczniku. Sprzedawca był ubrany w garnitur koloru czekolady i w białe buty. Na włochatej piersi wisiał złoty medalik. Na samym przodzie miał złoty ząb, którego nieustannie dotykał. Właściwie mogli się trochę potargować, w końcu samochód Alison nie był zwyczajną metalową puszką, ale dziewczynie tak się spieszyło, że zgodziła się na zwykłą zamianę. Chciała jak najszybciej podpisać papiery i ruszać dalej.

Deska rozdzielcza w buicku była skomputeryzowana. Co chwila pojawiały się kolejne wskazówki i informacje. Tennant pomyślał, że chyba wszyscy kierowcy w tym regionie nie należą do szczególnie bystrych, skoro potrzebują tak elementarnych uwag. Ta myśl zagubiła się wśród obrazów opuszczonych fabryk, wybitych okien, bezrobotnych, bezdomnych. Serce tych regionów przepełniała rozpacz i dość, która rodziła przemoc i stawała się przyczyną tragedii. Dawniej, jeszcze w Haight, przez chwilę wierzył, że istnieje lepszy świat, ale ta wiara zgasła jak wypalona żarówka. Martin Luther King. Robert Kennedy. Wietnam. Zbrodnie i morderstwa, trumny okryte narodowymi flagami, ludzie tacy jak Noel Harker, którzy traktowali wojnę jak prywatny, krwawy plac zabaw.

Przypomniawszy sobie przerażenie Waltera Świna i poczuł wstyd. Zbyt łatwo dał się ponieść emocjom. Co go skłoniło do użycia przemocy? Czy zdarzyło mu się to już w przeszłości? Może nie zawsze był hippisowskim pacyfistą, ćpunem, który buntował się przeciwko okrucieństwom świata, w jakim żył jego ojciec. Przez te

dwanaście lat mogłem być kimkolwiek, myślałem. Mogłem być seryjnym zabójcą, gwałcicielem, mnichem. Nie pamiętam. Jego przeszłość była nie napisaną książką, pustym rozdziałem, zerem.

- Właśnie zamieniłam wspaniały samochód na kawał blachy na kółkach i nie jestem pewna, czy było warto - odezwała się Alison.

Tennant odburknął, że teraz przynajmniej będą się mniej rzucali w oczy, będzie ich trudniej znaleźć. Jego głos jednak nie brzmiał przekonująco. Nadzieja była jak unosząca się na wodzie kłoda, człowiek chwycił się jej jak mógł, zniknął pod powierzchnią, to znów wypływał, modląc się aby wreszcie trafić na spokojniejsze wody.

Kiedy wyjechali z Columbus, Harry usiadł za kierownicą. Zaczynało się ściemniać. Alison zasnęła z głową opartą o ramię Tennanta. Ogarnęło go przyjemne ciepło. Przed nimi rozciągały się tereny Indiany. Potem jeszcze tylko Illinois i dotrą do Iowa, do Sammy'ego Obe.

Zapadła noc. Czerń autostrady zdawała mu się złowroga. Światła przejeżdżających samochodów oślepiały go. Za każdym razem wyobrażał sobie skierowany na buicka reflektor, oświetlający ich oboje. Raz nawet dojrzał światła samotnego helikoptera przelatującego nad autostradą. Przez otwarte okno dobiegł go dźwięk ostrzy śmigła, ze świstem przecinających gorące, nocne powietrze. Zewsząd spadał na niego strach.

Jedną rękę trzymał na kierownicy, drugą objął gładką szyję Alison. Czuł delikatny puls. Światelka tablicy rozdzielczej mrugały informując go o tym ile ma jeszcze paliwa, ile kilometrów przejechał, jaka jest temperatura na zewnątrz. Lekka, czerwona poświata sprawiała, że czuł się jakby jechał gdzieś w ciemni fotografa. Kiedy był już zbyt zmęczony, by prowadzić, znalazł spokojny parking

i zatrzymał wóz. Stało tam chyba z sześć innych samochodów. Harry wysiadł, i przeciągnął się. Czuł, że zdrętwiały mu nogi. Zapalił papierosa i stał przyglądając się małemu, betonowemu budynkowi, w którym mieściły się toalety. Wyszła stamtąd jakaś kobieta. Przeszła pod latarnią i zbliżyła się do swego samochodu. Tennant obserwował ją.

Była w średnim wieku i miała ufarbowane na jaskraworudy kolor, sztywne od lakieru włosy. Wyciągnęła z torebki klucze i otworzyła samochód. Na chwilę, jakby czymś wystraszona, odwróciła się w stronę Tennanta, a potem wsiadła do wozu i za-

mknęła drzwi. Tennant patrzył jak zawraca i odjeżdża. Podejrzewał teraz każdego. Stało się to jego obsesją.

- Gdzie jesteśmy? - Alison wysiadła z buicka.

- W Illinois albo w Indiana. - Wzruszył ramionami. Dla niego nie miało to żadnego znaczenia, dopóki zmierzali we właściwym kierunku. Na zachód. Krajobraz był wszędzie podobny: płaski i jednostajny.

- Może teraz ja poprowadzę - zaproponowała dziewczyna. - Będiesz mógł trochę odpocząć.

Odpocząć. Tego właśnie potrzebował. Usiadł po stronie pasażera i zamknął oczy. Czuł jak ogarnia go fala zmęczenia. Bolały go ramiona. Zdrzemnął się uśpiony łagodnym kołysaniem samochodu.

Zbudził się z myślą o pokoju na Schrader Street i hippisach malujących w świetle słońca. Rusztowanie. Ten obraz w jego wyobraźni był przerażający.

Harry próbował się odprężyć. Bębnił palcami po kolanach, rozprostował nogi i włączył radio. Przez szum słyhać było starą melodię "Good-day, Sunshine". Poszukał innej stacji. Piosenka country. Jakiś kowboj opłakiwał dziewczynę o imieniu Ruby. Wyłączył odbiornik. Pomyślał, że ludzie nie powinni uważać się nad sobą w piosenkach.

- Coś nie tak? - zapytała Alison.

Tennant patrzył na jadącą w przeciwnym kierunku olbrzymią ciężarówkę, wysyłającą chmury spalin z rury wydechowej.

- Wszystko w porządku - mruknął. Dlaczego tak się nagle dziwnie poczuł?

- Pocisz się, Harry.
- Jest gorąco.
- Okna są otwarte.

- I tak jest gorąco. - Tennant czuł przyśpieszone bicie swego serca. Jego puls oszalał. Parę razy w życiu doświadczył podobnego uczucia, szczególnie wtedy, kiedy brał kokę. Panika prowadząca do samozniszczenia, eksplodująca w komorach jego serca. Spadanie, coraz szybciej, coraz bliżej zderzenia z ziemią.

- Jest ci niedobrze?

Potrząsnął głową. Nie było mu niedobrze. Czuł się trochę dziwnie. Wszystko byłoby w porządku gdyby nie ten wulkan j w czaszce zalewający jego mózg gorącą lawą. Pomóż mi, Alison, myślał. Wyciągnij mnie z tej matni.

- Możemy się zatrzymać.
- Nic trzeba. Wszystko jest O.K.
- Nie musisz tak krzyczeć. Siedzę obok ciebie.
- Czy ja krzyczałem?
- Tak.
- Przepraszam.

- W porządku. - Alison spojrzała na niego uważnie. - Chcesz porozmawiać poważnie? Czy znowu wciśniesz mi jakąś gadkę o zawrotach głowy?

- Po prostu myślałem o czymś, to wszystko.

- Tak?
- Przypomniał mi się pokój przy Schrader Street w Haight. Nie daje mi to spokoju. Nie potrafię go dokładnie umiejscowić.
- Mieszkałeś tam kiedyś?
- Nie wiem.
- Myślisz, że zdołałbyś odszukać to miejsce?

Tennant wzruszył ramionami. Nie był tego pewien. Spojrzał przed siebie. Dom przy Schrader Street. Czy miał on w ogóle jakieś znaczenie? Pokój, kilka szczegółów, hippisi rozchlapujący farby na ścianie. Zamknął oczy. Wysił swoją mózgownicę, wyciśnij z niej coś, myślał. Czuł, że pot spływa mu po powiekach.

Ujrzał Maggie Silver.

Stojąc u stóp rusztowania Maggie Silver zadzierała do góry głowę. Uśmiechnęła się i pomachała ręką, to wszystko. Obraz rozpadł się. Tennant otworzył oczy. Był zdezorientowany. Targały nim uczucia, których nie potrafił nazwać. Stanowiły połączenie ciepła, cierpienia i smutku.

Wypełniały go całkowicie. Najwięcej było smutku. Kim była dla niego Maggie Silver? Za którym zakrętem swej przeszłości ją spotkał? Czy znaczyła coś dla niego? Między nimi musiała istnieć jakaś nić, być może ta sama, która łączyła go z domem na Schrader Street.

- Harry - odezwała się Alison. - Nie odpowiedziałeś mi.

Miał sucho w gardle. Nie mógł się pozbyć przytłaczającego uczucia smutku.

- Może mógłbym znaleźć to miejsce. Nie jestem pewien. Czasami coś mi się przypomina, ale te

obrazy są zwykle odległe i niedokładne. - Harry zastanawiał się, czy powinien wspomnieć o Maggie Silver. Zdecydował, że nie. Uznał, że jest to zbyt nieokreślone

i osobiste, aby o tym wspominać. - Wiesz, to jest jak wiadomość znikąd, jak bomby spadające z nieba. Trudno to wyjaśnić.

Jechali w milczeniu przez milę lub dwie. Tennantowi zdawało się, że zmierzają donikąd. Zachód stał się nagle dla niego pojęciem zbyt abstrakcyjnym. Podobnie zresztą jak Iowa. Czuł się przegrany. Chciał choć raz być czegoś pewnym, znaleźć jakiś punkt zaczepienia. Inni ludzie wiedli spokojne, poukładane życie, którego przebieg odmierzały kolejne strony pamiętników, listów i kalendarzy. Mieli ubezpieczone życie, zdrowie, samochód. Wiedzieli dokąd zmierzają i jak mogą się tam dostać. Mieli uśmiechnięte żony i dzieci, które studiowały stomatologię albo weterynarię. Tworzyli sobie namacalny świat. Tennant, który w Haight buntował się właśnie przeciwko takiemu życiu, teraz im zazdrościł. Czy on potrafiłby żyć w takim uporządkowanym świecie? W tej chwili nie wydawało mu się to już tak straszne jak kiedyś. Jednakże, czy można było zacząć raz jeszcze od początku? Jaka była cena kolejnego wejścia do tego świata?

Patrzył przed siebie na autostradę, która w świetle reflektorów samochodu układała się na kształt wielkich, żarłocznych ust. Stary buick mknął dokładnie w ich kierunku.

Musiał się znowu zdrzemnąć, bo kiedy otworzył oczy, już świtało. Stali na parkingu podmiejskiego centrum handlowego. Beton, zgaszone latarnie i nikogo wokół. Wystawy sklepów przeważnie były puste. W niektórych widniały stare wywieszki z napisem "Wyprzedaż". Komercyjna śmierć zawładnęła tym miejscem.

- Witamy w Iowa - powiedziała Alison. Wydała mu się dziwnie spięta i skupiona. Zastanawiał się, skąd się brała witalność tej dziewczyny. Młodość miała wszystko za wyjątkiem tego, co

zdobywało się wraz z wiekiem i doświadczeniem: zmęczenia. - Jesteśmy około dwudziestu mil od domu Karen Obe. Jeżeli oczywiście wciąż jeszcze mieszka pod adresem, który mi podano. Jedziemy tam od razu, czy szukamy jakiegoś motelu, żeby chwilę odpocząć?

- Jak chcesz.

- Chciałabym najpierw zobaczyć się z tą kobietą.

Tennant rozejrzył się po parkingu. To miejsce wywoływało w nim nieprzyjemne odczucia.

- Jedźmy - rzucił krótko. Miał gorzki smak w ustach. Czuł, że źle wygląda. Zastanawiał się, czy nie przestawić lusterka wstecz nego tak, by w nim widzieć swoje odbicie, ale dał sobie z tym spokój. Nie miał ochoty przyglądać się sobie. Pewnych rzeczy nie da się strawić z samego rana.

Nie mogli znaleźć domu Karen Obe. Alison musiała spytać o drogę w małej, przydrożnej kafejce. Skierowano ich na jakąś podziurawioną asfaltówkę, po której obu stronach ciągnęły się pola. Tylko niektóre były uprawiane, reszta leżała odłogiem. Gdzieś tam, przed rozpadającymi się domami, sterczały tabliczki z napisem "Na sprzedaż". Zewsząd wiało pustką. Ludzi, którzy kiedyś tutaj mieszkali wyrwano z korzeniami. Krajobraz był przygnębiający. Tennant pomyślał o jego własnym lesie. Jego mały biały domek też będzie tak wyglądał za parę lat.

Przygnębiający świt: różowe słońce oświetlające ruiny życia, reflektor w muzeum ludzkości. Kto to jest farmer, tatusiu? Farmer? Farmerzy już wyginęli, synku.

Jechali jeszcze kilka mil tą drogą. Przy skrzyńce na listy, z nazwiskiem Karen Obe, skręcili w błotnistą drogę dojazdową. Prowadziła ona do domu z białej cegły. Okiennice na parterze były

zamknięte. Obok stało bladoniebieskie volvo z rejestracją ze stanu Iowa. Na werandzie pojawił się czarny pies, krzyżówka labradora z chartem. Bestia szczeknęła parę razy i umilkła przyglądając im się wrogo.

Kiedy Alison parkowała samochód, otworzyły się drzwi wejściowe. Stała w nich kobieta w średnim wieku, ubrana w długi zielony szlafrok. Jej okrągła twarz wydała się Tennantowi miła. Miała wspaniałe włosy. Płomienną kaskadą opadały jej na ramiona. Nieświadomym ruchem ręki odgarnęła je do tyłu i stała w drzwiach przyglądając im się.

Alison i Tennant wysiedli z buicka. Pies znowu zaszczekał kilka razy, a potem stanął u boku swej właścicielki.

- Pani Obe? - spytała Alison. - Nazywam się Alison Seagrove. Rozmawiałam z panią przez telefon jakieś pięć tygodni temu.

Kobieta uśmiechnęła się.

- Oczywiście. Pamiętam. Jest pani tą dziennikarką, która interesowała się pracą Sammy'ego. - Spojrzała niepewnie na Tennanta.

- To jest Harry - przedstawiła go Alison. - Pomaga mi w zbieraniu danych. Mam nadzieję, że nie przeszkadzamy pani.

- A gdzie tam. Nie należę do tych, co późno wstają. Dopiero co zaparzyłam kawę. może wejdziecie na chwilę.

Weszli za Karen Obe do skromnie umeblowanego mieszkania. Kilka sosnowych mebli i japońskie obrazki. Tennant zauważył, że nie było tam żadnych zdjęć. Żadnych prac Sammy'ego Obe. Kobieta prowadząc ich do kuchni, przez cały czas coś szybko mówiła. W tych stronach nieczęsto zdarzało się, że ktoś ją odwiedzał. Towarzystwa dotrzymywali jej tylko pies i papuga.

Usiedli wszyscy przy prostym, białym stole. W oknie wisiała duża klatka, w której siedziało jaskrawozielone ptaszysko, przyglądając im się ponuro. Nagle papuga przeskoczyła z jednego drążka na drugi, gubiąc przy okazji kilka piór.

Tennant wolno pił swoją kawę. Wolał, żeby to Alison zadawała pytania, żeby rozegrała wszystko po swojemu. W zależności od sytuacji, dziewczyna potrafiła być delikatna i uprzejma albo twarda i nieustępliwa. Tennant podziwiał jej stanowczość i upór, a nawet zazdrościł jej trochę. Czuł, że przydałaby mu się odwaga jaką miała Alison.

- To takie miłe, że ktoś pamięta jeszcze prace Sammy'ego, panno Seagrove. Być może się mylę, ale według mnie był on w swoim czasie jednym z najlepszych fotografów. - Karren Obe zachowywała się jak kustosz zapomnianego muzeum, do którego przypadkiem trafili jacyś goście.

Alison uśmiechem dała kobiecie do zrozumienia, że jest dokładnie tego samego zdania.

- Interesuje nas jedno zdjęcie. - Dziewczyna wyciągnęła z kieszeni džinsów wycinek gazety. Prosto do sedna sprawy, myślał Tennant. Bez zbędnego owijania w bawełnę.

Karen Obe wzięła zdjęcie do ręki.

- No tak, tego zdjęcia nie mogłabym zapomnieć. Przyniosło Sammy'emu sławę. Oczywiście nie znaczy to, iż uważam je za jego najlepsze zdjęcie, ale zarobił na nim sporo pieniędzy. Zabawne... - Karen oparła się wygodniej i spojrzała na papugę. - On sam nigdy specjalnie tego zdjęcia nie lubił. Nie wiem, dlaczego. Uważał, że było przypadkowe, ale czyż nie na tym właśnie opiera się sława? Na przypadkowości? Może denerwował go fakt, że przyćmiło ono jego pozostałe osiągnięcia. Zdarza się, że czasami przestaje się lubić rzecz, która przyniosła nam sławę. - Kobieta wstała i dołała sobie kawy. - Zawsze uważałam, że ta fotografia nie przyniosła mu szczęścia.

- Jak to? - spytała Aiison.

-Najpierw mieliśmy włamanie - Karen Obe przejechała dłonią po rudych włosach, w których gdzieś tam prześlizgiwały już srebrne nitki. - Jakiś tydzień po tym, jak zdjęcie zostało opublikowane, ktoś włamał się do naszego mieszkania w Los Angeles i zabrał wszystkie negatywy i odbitki Sammy'ego. To był dla niego cios. Sammy był zdruzgotany. To był dorobek jego całego życia.

-Czy wie pani, kto to zrobił?

Kobieta pokręciła przecząco głową.

- Nigdy się tego nie dowiedzieliśmy. Złodziej zabrał też parę innych rzeczy, ale kolekcja negatywów była dla nas najcenniejsza. Sammy bardzo to przeżył. Po tym zajściu już nigdy nie doszedł do siebie. W dwa tygodnie po kradzieży zaczął twierdzić, że ktoś za nim chodzi, że jest przez cały czas obserwowany, że mamy założony podsłuch. - Zapaliła papierosa i zaciągnęła się

nim. - Kiedy doszło do tego, że obawiał się, iż woda może być zatruta, musiałam uciec się do pomocy lekarzy. Bóg jeden wie, jak bardzo starałam się mu pomóc. Sammy jednak upierał się przy swoim. Kiedy oświadczył, że psychiatra jest w zмовie z jego prześladowcami, namówiłam go, żeby udał się do innego. Przez kilka dni zdawało się, że wszystko układa się jak najlepiej. - Wstała od stołu i rzuciła papudze kilka orzeszków ziemnych. - Niestety zdawało się tylko. Pewnego ranka zastałam go płaczącego w ciemni. Młotkiem porozbijał swoje aparaty. Wokoło leżało szkło z pobitych soczewek. Twierdził, że ktoś chce się do niego dostać, nie wiedział co ma robić. Siedział i płakał. Był już wtedy wrakiem człowieka. Całymi dniami siedział zamknięty w ciemni, bez jedzenia i picia. Czasami słyszałam jak śpiewał jakieś dziwne piosenki. Byłam zrozpaczona.

- I nie wiadomo było dlaczego tak robił?

- Właściwie nie. W końcu, co lekarze wiedzą o człowieku, o jego umyśle? Niewiele. - Zapaliła kolejnego papierosa. Papuga zaskrzeczała. W klatce zadzwonił mały dzwoneczek. - Twierdzili, że ma symptomy poważnej schizofrenii, ale co to znaczyło w praktyce? Jedyne co mogę powiedzieć, to to, że kiedyś miałam męża. Teraz nie mam nikogo.

Tennant odstawił filiżankę. Współczuł Sammy'emu Obe.

- Czy właśnie takie było orzeczenie lekarzy? Poważny przypadek schizofrenii?

-Nie, do licha, oni to zawsze ubiorą w te swoje kwieciste nazwy bez znaczenia. Nie rozumiałam tego, co do mnie mówili. Wiedziałam tylko, że Sammy do mnie nie wróci. I nie wrócił. Nigdy. - Karen Obe podeszła do zlewu i odkręciła kurek z zimną wodą. Włożyła dłonie pod lodowaty strumień. Myślami błądziła wśród dawnych koszmarów, które tak naprawdę nigdy jej nie opuściły.

- Czy jest jeszcze jakaś szansa? - spytała Alison.

- Raczej nie. Sam zamknął się w swoim własnym świecie obaw i tam prawdopodobnie umrze.

Ciszę, jaka zapadła w kuchni przerywał tylko od czasu do czasu wysoki, metaliczny dźwięk dzwonnka. Karen wytarła ręce i wróciła do stołu, na którym leżał wycinek z gazety. Przez chwilę patrzyła na fotografię, ale nie wzięła jej do ręki, tak jakby to mogło jeszcze przysporzyć jej nieszczęść.

- Dlaczego interesuje was właśnie to zdjęcie? - zapytała.

- Próbowałam odnaleźć wszystkich, którzy zostali na nim uwiecznieni - odparła Alison. -

Prowadzę jedną z rubryk pod tytułem "Gdzie są teraz?" Sama pani wie, jak to wygląda.

- I udało się?

- Okazało się to trudne. Tak naprawdę, znalazłam tylko Harry'ego.

Karren Obe spojrzała na Tennanta, a potem jeszcze raz na zdjęcie.

- To pan?

Tennant potwierdził.

Kobieta podniosła zdjęcie i patrzyła na nie zaskoczona, tak jakby nie wierzyła, że młody chłopak ze zdjęcia i mężczyzna siedzący w jej kuchni, to jedna i ta sama osoba.

- To naprawdę pan?

- Trochę się zmieniłem - zauważył Tennant.

- Wszyscy się zmieniliśmy - odparła kobieta. Odłożyła zdjęcie i zaczęła chodzić między stołem a klatką papugi, nerwowo łuszcząc orzeszki i rzucając je ptakowi przez kratki.

Najwyraźniej obecność Tennanta wyprowadzała ją z równowagi. Przeszłość nie była w tym domu mile widzianym gościem. Kobieta odwróciła się do Harrego. - Co pan pamięta z tego dnia, kiedy zostało zrobione to zdjęcie?

Bardzo niewiele.

- To znaczy, że nie zdarzyło się wtedy nic niezwykłego?

Tennant wzruszył ramionami. Nic miał ochoty tłumaczyć jej kobiecie jak wyglądało jego życie.

-Dlaczego pani pyta?

Miałam po prostu nadzieję, że dowiem się od pana czegoś, co pomogłoby mi wyjaśnić pewną małą tajemnicę, która męczy mnie od lat.

-Tajemnicę? - zainteresowała się Alison.

-Nie wiem, czy to w ogóle ma jakiegokolwiek znaczenie. Karen Obe wahała się. Otrzeptała drobne kawałki łupin z dłoni i znowu spojrzała na Tennanta. - Ale skoro już tutaj jesteście, to chyba mogę wam to pokazać.

Wyszła z pokoju. Tennant bawił się swoją filiżanką. Alison wstała od stołu i podeszła do okna.

Z nadzieją spojrzała na Harry'ego. Mała tajemnica, myślał Tennant. Nie był pewien, czy chciał poznawać jakąś kolejną tajemnicę. Miał już chyba dość niewiadomych, ale Alison najwyraźniej chciała dowiedzieć się o co chodziło.

Karen Obe wróciła niosąc starannie zwinięty jedwabny szal w kolorowe wzory.

-Zanim go obejrzyście, powinniście wiedzieć, że Sammy trzymał to w swojej skrytce w banku. Tylko to tam było, tak więc musiało mieć dla niego jakąś wartość. Nie mam pojęcia jaką, ale skoro dla niego było to ważne, może wam też się przyda. - Rozłożyła szal na stole. - Trzymałam go aż do tej pory dlatego, że jest to jedyna rzecz, jaka mi została po Sammym. Chyba rozumiecie. Nie chciałabym, żeby ktoś go ukraść.

W szal zawinięta była mała, biała koperta. Karen ostrożnie podniosła ją i wyjęła ze środka negatyw, który podniosła do światła. Tennant znowu doświadczył jednego z tych dziwnych momentów, kiedy zdawało mu się, że lada chwila coś się wyjaśni. Karen Obe podała negatyw Alison. Dziewczyna przyglądała mu się przez chwilę, zanim przekazała go Harry'emu.

Seria czarno-białych klitek, na których widać było tę samą grupę pięciorga hippisów, ale na nich nie stali już tak równo, patrząc prosto w obiektyw. Coś musiało się stać. Coś poza obiektywem. Wszyscy mieli głowy zwrócone w tę samą stronę. Harry

Tennant, stojący nieco z boku, wskazywał na coś. Wyciągnięta ręka zdawała się dziwnie sztywna. Głowy pozostałych zwrócone były w stronę, którą wskazywał palec Tennanla.

Wskazywał. Co? Co zaszło tego dnia, na tej właśnie ulicy w Chinatown? Co wzburzyło starannie ustawioną do zdjęcia grupę ludzi?

- Te zdjęcia Obe musiał zrobić zaraz po tamtym, które przyniosło mu sławę - zauważyła Alison.

- Kilka sekund wcześniej, czy później, trudno powiedzieć - powiedziała Karen Obe. - Przyglądałam się tym negatywom setki razy i za każdym razem pragnęłam, aby któraś z tych twarzy przemówiła. Pragnęłam, aby którekolwiek z tych ludzi na chwilę opuściło ramy zdjęcia i wyjaśniło mi, czemu się tak wszyscy przyglądali. To wciąż nie daje mi spokoju. Dlaczego Sammy zdeponował tylko ten jeden negatyw w banku?

Tennant wysilał swój mózg. Czy zdarzyło się to minutę przed, czy po, dla niego nie miało to znaczenia. I tak nie potrafił odkopać w swej pamięci obrazu tego, czemu się wtedy wszyscy przyglądali. Zaczęła go boleć głowa i czuł pieczenie pod powiekami. Myślał o Chinatown. Miał wrażenie, że stało się ono jedynie niejasnym obrazem w jego wyobraźni. Odwróć się na chwilę, a już go nie ujrysz.

- A pan tego nie pamięta? - zapytała Karen Obe.

- To mogło być cokolwiek - odparł Tennant. - Na ulicach wtedy działo się wiele różnych rzeczy. Tak jak wszędzie. Dziwacy, mimowie, żonglerzy, połykacze ognia, magicy, grajkowie. To mogło być cokolwiek.

Znowu podniósł negatyw do światła. Białe twarze, czarne tło. Białe balony unoszące się w czarnej przestrzeni nocy. Stoją na chodniku jednej z ulic Chinatown. Grupka ludzi, których Harry na pewno kiedyś znał. Fotograf robi im zdjęcie. Na ulicy coś się dzieje.

Na ulicy coś się dzieje.

Kościół na skrzyżowaniu ulic Grant i California, myślał Tennant. Jak go nazywano? St. Mary's? Obraz kościoła rozmywał mu się przed oczami. St. Mary's. Dlaczego miałby wskazywać na ten kościół? Czuł, jakby w jego mózgu otwierała się kolejna furka.

- Zastanawiałam się, czy nie moglibyśmy odwiedzić pani męża - powiedziała Alison.

-Nie sądzę, żeby wam to coś dało stwierdziła Karen Obe.

-Czasami taki strzał w ciemno może się okazać trafnym posunięciem.

-Tam, gdzie pani strzela może się okazać ciemniej niż sądzicie. Z nim w ogóle nic można nawiązać kontaktu. Nawet kiedy ma lepsze dni, to tylko bredzi coś bez sensu. W każdym razie dla mnie nie ma to żadnego sensu, tak więc jeżeli chcecie zmarnować trochę czasu, proszę bardzo, to zależy tylko od was. Znajduje się w zakładzie w pobliżu Oskaloosa. To miejsce nazywa się po prostu Klinika. Mnie to odpowiada. Nie jakiś Instytut dla Umysłowo Chorych, czy przytułek dla obłąkanych. Po prostu Klinika. Mogę tam zadzwonić i uprzedzić o waszej wizycie. Powinni was do niego wpuścić. Będzie to zależało oczywiście od tego w jakim stanie będzie mój mąż.

Alison podziękowała kobiecie. Chciała od razu ruszać dalej, Harry czuł jej niecierpliwość.

-Życzę powodzenia - powiedziała Karen Obe. Negatyw włożyła z powrotem do koperty którą owinęła w szal. - Wam obojgu.

Odprowadziła ich do drzwi i razem z nimi wyszła na werandę. W dłoni zaciskała szal.

Rozejrzała się wokół.

Tennant podążył za jej wzrokiem. Pola wokół porastały wysokie trawy i zielska. Słaby wiatr kołysał nimi lekko. Nietrudno było wyobrazić sobie ludzi ukrytych w takich chaszczach. To miejsce miało w sobie niepokój, rodziło podejrzenia i obawy, ale to było tylko miejsce, nic więcej. Pobudzona wyobraźnia była w stanie stworzyć najokropniejsze nawet obrazy. Jakiś kruk poderwał się z trawy i leciał niezdarnie, jakby nawigacja w powietrzu była dla niego czymś prawie niewykonalnym. Po chwili zniknął za domem.

-Powiadomcie mnie, jeżeli się czegoś dowiedzie - poprosiła Karen Obe.

-Oczywiście - odparła Alison.

Pani Obe przez chwilę machała im dłonią na pożegnanie, a potem niechętnie wróciła do domu. Zamknęła drzwi. Nie lubiła samotności. Na werandzie został tylko pies.

Tennant i Alison wsiedli do samochodu.

-Na razie wiem tylko, że Obe zrobił to zdjęcie od strony kościoła St. Mary's. Na skrzyżowaniu Grant i California. Nie pytaj mnie skąd to wiem, bo nie potrafiłbym ci odpowiedzieć. Po prostu wiem.

- Jesteś tego PEWIEN?
- Tak pewien, jak tylko mogę być.
- To już coś.
- Masz rację. To już coś. Tylko co?
- Nigdy nie lekceważ żadnych wskazówek, Harry. Teraz wiemy dokładnie, gdzie się to zdarzyło. - Dziewczyna włączyła silnik, zawróciła i ruszyła ku szosie. Tennant, myśląc o kościele z czerwonej cegły, obejrzał się za siebie. Jego wzrok padł na okna górnego piętra domu, których szyby odbijały oślepiający blask słoneczny. Potem dom zniknął za zakrętem. Wyjechali na popękaną asfaltową drogę.

Alison zatrzymała się na chwilę, aby spojrzeć na mapę. Musieli skrócić w lewo.

- Obe uważał te zdjęcia za ważne, dlatego je ukrył, Harry. Na pewno coś wiedział. WIDZIAŁ to samo co ty. Musiał to widzieć. Pytanie tylko, co to było?

Jakieś dwadzieścia mil od domu Karen Obe Tennant zdał sobie sprawę, że jedzie za nimi samochód, bladoniebieska toyota. Oczywiście nie było w tym nic podejrzanego. Mógł to być jakiś farmer albo urzędnik, który przybył załatwić formalności związane z przejęciem gruntu jakiegoś nieszczęśnika. Harry powiedział Alison o toyocie. Dziewczyna mogła już ją widzieć w lusterku wstecznym.

- Jeżeli to jest nasz “ogon”, to zachowuje się dość niezwykle - zauważył Tennant.
- Może zdecydowali, że przyszła pora na ujawnienie się. Chcą być pewni, że nie zrobimy nic głupiego.

- Po prostu prowadź. Żadnych uników. Nie skręcaj w boczne drogi. Chcę się przekonać, co ten drań zrobi, kiedy się zbliży.

Toyota jechała za nimi całe mile. Nie sygnalizowała, że chce ich wyprzedzić, co zresztą i tak byłoby trudne na tak wąskiej asfaltów- ce jak ta. W końcu dojechali do jakiejś większej drogi.

- W którą stronę, Harry?
- Wszystko jedno.

Dziewczyna skręciła w lewo. Kierowca toyoty zrobił to samo i wciąż trzymał się za nimi w pewnej odległości. Tennantowi zdawało się, że oba samochody łączy niewidzialna nić. Gdziekolwiek jechał buick, w tę samą stronę zmierzała toyota.

- Jakiś uparty - powiedziała Alison.
- Może po prostu jedzie w tyra samym kierunku, co my.
- Zobaczymy.

Przejechali przez małe miasteczko: poczta, spożywczy, bar. Minęli je dość szybko. Po kilku milach natrafili na drugie, niemal

y
identyczne. Poczta, spożywczy, bar. Solidne drewniane domy wszystko świetnie utrzymane. Wspaniała, spokojna Ameryka. Tu możesz spać spokojnie. Nie ma tu przestępców, ani posepnych widoków opuszczonych farm. Jakiś chłopak w koszulce z wizerunkiem grupy Megadeath rozwoził rowerem gazety.

Toyota wciąż jechała za nimi, jak bladoniebieski denerwujący cień.

- Zatrzymajmy się w następnym miasteczku - zaproponował Tennant. - Zjemy śniadanie i przekonamy się, czy nasz cień nie zniknie.

Do następnego miasteczka mieli piętnaście mil. To było zupełnie inne niż dwa poprzednie. Królowały w nim posepne domy z powybijanymi oknami, zardzewiałe wraki samochodów i przepełnione kosze na śmieci. Miasto powoli wymierało. Na werandzie jakiegoś zielonego domu siedział czarny mężczyzna. Z zainteresowaniem przyglądał się buickowi. Może dla niego była to główna atrakcja tego dnia.

Alison zaparkowała wóz w pobliżu baru szybkiej obsługi. Koszmar kalorii i widmo choroby wieńcowej nie odstraszyły ich. Zarówno Tennant jak i dziewczyna jedli łapczywie, nie zważając na tłuszcz, w którym pływał zamówiony bekon, ani na zdobiący jajecznicę włos. Niebieska toyota zniknęła. Nie przejeżdżała tędy. Tennant cały czas obserwował ulicę przez okno. Ich cień albo czekał na nich w pewnej odległości, albo też wybrał jedną z bocznych ulic.

Alison odsunęła od siebie talerz. Natychmiast usiadła na nim żarłoczna mucha. Tennant rozłożył na stole mapę. Do Oskaloosa zostało im jeszcze około trzydziestu mil, oczywiście licząc

jazdę bocznymi drogami. Harry poczuł się nagle senny. Ziewnął przykrywając dłonią usta.

- Chcesz zatrzymać się na krótko w motelu? Odpocząć? - spytała Alison.

- Nie, jakoś wytrzymam.

- JAKOŚ na to nie wygląda. - Delikatnie odsunęła mu z czoła kosmyk włosów. - Powinieneś wziąć przysznic i ostrzyc się. Nie chcę, aby mówiono, że podróżuję z łajzą. Mam swoje zasady.

- A ja mam swoje - powiedział Tennant. Przekomarzał się tylko.

-Przydałaby się przynajmniej jakaś woda kolońska.

- Później. - Cóż za proste słowo. Później. Ludzie ciągle go używali, nie myśląc, że może już nie być żadnego później. Tennant złożył mapę. - Zabierajmy się stąd.

Wyszli na zewnątrz. Toyoty nigdzie nie było.

Kiedy jechali do Oskaloosa, zaczęło padać. Uporczywa mżawka. Słońce zginęło gdzieś w chmurach. Na drodze było spokojnie. Krajobraz wyglądał w tym siąpiącym deszczu niezwykle ponuro. Tennant, patrząc na ciągnące się wzdłuż drogi ścierniska, znowu doświadczył tego dziwnego uczucia, że już to kiedyś przeżył. Kolejny figiel jego mózgu. Iowa, szare pola, Oskaloosa. Podobnie czuł się wtedy, gdy zrozumiał, że Trebanzi to Bear Sajak. O co chodziło tym razem. To dziwne wrażenie nie chciało go opuścić, pomimo to, iż próbował je od siebie oddalić. Wcisnął się głębiej w fotel, mocno masując sobie powieki. Nie miał ochoty patrzeć na krajobraz za oknem. Nie znam tego miejsca, myślał. Nie znam Oskaloosa. Nie chcę nawet sobie wyobrazić, że je znam. Mój umysł szwankuje. Jakieś dziwaczne stwory przechadzają się tam i z powrotem, a ja obserwuję je zza kratki. Istne zoo. Płacę za wejście, ale nie mam pojęcia na co patrzę. To jakiś groteskowy świat. Jak się z niego wydostać?

- Jesteśmy na miejscu, Harry - dobiegł go głos Alison.

Tennant rozejrzał się. Długa żwirowa droga prowadziła do skromnych budynków z brązowej cegły. Jeżeli to było déjà vu, to było najsilniejsze, jakiego doświadczył w życiu. W osłupieniu przypatrywał się budynkom. Nie rzucająca się w oczy tablica wisiała na ogrodzeniu. Klinika sp. z o.o. Spółka medyków. Lekarze zamieniający się w firmy. Przedsiębiorcy, którzy tylko przypadkiem złożyli przysięgę Hipokratesa. Kolejny znak wskazywał drogę do biura. Tennant otworzył bramę. Słyszał chrzęst żwiru pod własnymi stopami.

Nigdy tutaj nie byłem. Nigdy.

Alison z ulgą rozprostowała ramiona. Tennant oparł się o maskę samochodu. Deszcz padał mu na twarz, ale on go nie czuł, tak jakby od świata zewnętrznego chroniła go jakaś skorupa. Ta osłona była cienka, niepewna, w kilku miejscach już zaczęła pękać. Musiał chwycić rękę Alison. Skąd się bierze świadomość, że to miejsce jest

mi znane? zastanawiał się. Po chwili to pytanie rozplynęło się w powietrzu. Znowu czuł się normalnie. Mocno stanął na nogach. Był tylko gościem odwiedzającym klinikę. Nic więcej. Szedł przecież własną drogą.

Wszedł za Alison do budynku. Hall wymalowany był na biało. Za biurkiem siedziała kobieta w szarym fartuchu. Uśmiechnęła się do Harry'ego.

- W czym mogę państwu pomóc? - spytała. Miała piękne, białe zęby.
- Chcielibyśmy zobaczyć się z Sammym Obe - powiedziała Alison.
- Czy byli państwo umówieni? - dyżurna pielęgniarka nie przestawała się uśmiechać. Miała świetnie opanowaną sztukę bycia uprzejmą. Nauczono ją mówić takie rzeczy jak: Życzę miłego dnia. Prosimy odwiedzić nas wkrótce znowu.
- Niezupełnie - wyjaśniła Alison - ale właśnie jedziemy od jego żony. Zgodziła się na naszą wizytę.
- Muszę to sprawdzić, rozumieją państwo. Proszę spocząć na chwilę. Zaraz wrócę. - Kobieta zniknęła w sąsiednim pokoju.

Tennant przysiadł na brzegu beżowej kanapy. Oglądał obrazki wiszące na ścianach pomieszczenia. Były to głównie reprodukcje, wszystkie w spokojnych, stonowanych barwach. Zapewne miały przekonać odwiedzających, że to miejsce nie jest zakładem dla obłąkanych. Goście mieli raczej widzieć je, jako dyskretną instytucję, gdzie ich krewni wracali do zdrowia, otoczeni troskliwą opieką. Miłość najskuteczniej zwalcza choroby. No i oczywiście leki, nie należy zapominać o zbawiennym działaniu tyrozyny, diazepam, librium i wszystkich innych

cudownych specyfików, które skutecznie uspokajały zszargane nerwy pacjentów. Tutaj nie walczyło z szaleństwem, tu je usypiano i otumaniano. W ten sposób nikt nikomu nie sprawiał kłopotów.

Alison stała przy biurku.

Tennant, niespokojny, wstał z kanapy i podszedł do drzwi. Przez szklaną szybę widział jak krople deszczu wsiąkały w żwirówkę.

Deszcz. Żwirówka. Harry poczuł, że znowu się poci. Zaciśnął pięści. Bał się.

Alison posłała w jego stronę trochę nieobecny uśmiech. Pielęgniarka jeszcze nie wróciła.

Sądzę, że dzwoni do Karen, potem pewnie będziemy jeszcze musieli porozmawiać z jakimś psychiatrą. Zastrane formalności.

Psychiatra. To słowo zapadło Harremu w mózg i trzepotało się tam jak ćma. Usiadł. Alison przysiadła się do niego. Jej bliskość przyniosła mu ulgę.

- Zastanawiałem się, czy nie powinienem zgłosić się do takiej instytucji i sprawdzić, czy da się jeszcze coś zrobić z moim mózgiem. Przypadki amnezji są pewnie tutaj na porządku dziennym.

-Pewnie tak.

-Umówię się na wizytę. Może mają tutaj obsługę ekspresową i załatwiają takie sprawy na poczekaniu? - Mówił cienkim głosem. Denerwowały go wiszące na ścianach obrazki. Zmieniały się, gdy dłużej im się przyglądał. Kolory to blakły, to znów stawały się bardziej intensywne. Postacie traciły kształty. Harry wmawiał sobie, że to tylko wpływ migreny i zmęczenia. Myślał o tamtym negatywnie. Twarze odwrócone od obiektywu. Jego własna ręka wyciągająca się ku czemuś. Tamtego dnia pojechał do Chinatown dlatego, że... dlatego...

Po prostu dlatego.

Maggie Silver powiedziała “Patrzcie”.

Nie, to nie to. Głos był jakiś przytłumiony. Nie słyszał wyraźnie. Zanurzał się w pokoju na Schrader Street. Czyjś krzyk, dziewczyna, Maggie Silver. Dlaczego tak krzyczała?

Wróciła recepcjonistka.

-Wszystko wydaje się w porządku. - Wyjęła książkę, do której wpisywali się wszyscy goście. Tennant przyglądał się białej stronie przed sobą. Była jak oskarżenie. Wziął pióro od recepcjonistki i napisał: Harry Rayland. Spojrzała na niego dziwnie, tak jakby go przejrzała. Dziewczyna krzyczała. Ten dźwięk drażył jego czaszkę, jak ostrzegawczy sygnał lokomotywy w ciemnym tunelu. Powinien był się do tego przyzwyczaić. W końcu eksplozje wewnątrz czaszki nie były dla niego niczym nowym.

Do pomieszczenia wszedł jakiś mężczyzna. Był wysoki, miał wysuniętą szczękę i mocno kręcone siwe włosy. Przedstawił się jako dr Paul Lannigan. Mógł mieć około pięćdziesięciu lat. Ubrany był w trzyczęściowy, zielony garnitur o staromodnym kroju. Jego spodnie były lekko wypchane na kolanach. Miał trochę dziwny akcent, mógł pochodzić z Irlandii. Uścisnął dłoń najpierw Tennan-

towi, a potem Alison. Był uprzejmy, miał szeroki uśmiech i szczerze niebieskie oczy. Takiemu lekarzowi nie można było nie ufać. Potrafił poradzić sobie z każdym problemem. Harry wyobraził sobie, jak opowiada temu człowiekowi, że ma kłopoty, a on zaprasza go do spokojnego pokoju, prosi, aby położył się na wygodnej kanapie i pyta: Proszę mi powiedzieć o co chodzi. Co patia gnębi?

Lannigan, wciąż uśmiechając się, powiedział:

- Zasady i reguły są zwykle nudne, ale moim obowiązkiem jest poinformować państwa, że wizyty mogą trwać nie dłużej niż pół godziny. Tylko dla najbliższej rodziny robimy wyjątki. Czasami pacjenci nie potrafią wytrzymać nawet tych trzydziestu minut, dlatego prosiłbym, żeby nie trwało to za długo. Zresztą, nie będziecie tutaj mieli nic do roboty. Pan Obe nie należy do osób, które określiłbym mianem komunikatywnych. - Doktor westchnął ze współczuciem. Był chyba jeszcze z tej generacji lekarzy, którzy zajmowali się wszystkimi rodzajami dolegliwości.

- Proszę za mną - powiedział Lannigan.

Poszli jakimś długim korytarzem, na którego ścianach wisiały podobne obrazki, jak w tamtym pomieszczeniu. Po obu stronach ciągnęły się szeregi zamkniętych drzwi. Minęli przeszkloną ścianę, za którą znajdowała się stołówka.

- Jesteśmy dumni z wyposażenia naszego ośrodka - zauważył Lannigan patrząc na Tennanta tak, jakby oczekiwał potwierdzenia własnych słów. - Nasza kuchnia jest po prostu doskonała. Odpowiedni sposób żywienia jest niezwykle ważny dla pacjentów. Jedzenie jest nie tylko dla ciała, ale także dla umysłu. - Lekarz postukał palcem w swoją skroń i znowu spojrzał na Tennanta,

jakby czegoś oczekiwał.

Harry czuł, że powinien coś powiedzieć.

- Ładna stołówka - przyznał.

- Ach, nie widzieli państwo nawet połowy tego, co tam jest. Nawet połowy.

Skądś dochodziły pojedyncze dźwięki pianina. Jakiś kobiecy głos ciągnął jakąś pieśń bez melodii. Słowa nie miały sensu. Oooobee oooobee.

- Na górze znajdują się pomieszczenia przeznaczone do odpoczynku i rekreacji. Muzyka, wiklinowe kosze, malowanie, gry.

Niektórzy spośród naszych klientów chętnie grają w karty. Inni lubią rozwiązywać krzyżówki. - Przez chwilę coś rozważał, a potem dorzucił: - W końcu przecież umysł, przed którym stawia się jakieś zadania, zmierza we właściwym kierunku.

Zmierza we właściwym kierunku, pomyślał Tennant, Proszę skierować mój we właściwą stronę, doktorze. Proszę.

Jedne z drzwi otworzyły się i pojawiła się w nich pielęgniarka. W rękę trzymała pojemnik z ligniną. Tennant zastanawiał się, czy nie było tam również sterylnej strzykawki. Jakiś kłopotliwy pacjent otrzymał dawkę spokoju. Nagle zapragnął stąd uciec. Co on tutaj robił? Dlaczego dał się wciągnąć do tego królestwa szurających kapci, fartuchów i plastikowych widelców?

Weszli po schodach na górę. Przed nimi ciągnął się kolejny korytarz. Lannigan zatrzymał się mniej więcej w jego połowie

- Karen Obe pozwoliła wam zobaczyć się z jej mężem. Z tego, co zrozumiałem, chodzi o jakąś osobistą sprawę - powiedział Lannigan i czekał, aż Alison albo Tennant odpowiedzą mu.

- Tak, chodzi o osobistą sprawę - potwierdziła dziewczyna.
- Nie mam nic przeciwko temu, choć bardzo wątpię, czy uda wam się uzyskać to, po co przyjechaliście. No ale... - Zapukał do drzwi i otworzył je. - Sammy - powiedział - masz gości. Twoja żona ich przysłała.

Tennant wszedł do białego pokoju. Małe okienko, wąskie łóżko, szafka z szufladami. Na podłodze leżały gazety starannie pocięte w paski. Dlaczego? Prawdopodobnie tylko Obe to wiedział. Sammy Obe siedział skulony na brzegu łóżka. Jego oczy patrzyły na nich obojętnie. Oczy człowieka podróżującego bez celu. Kogoś, kto odwiedził wiele miejsc, których nie był w stanie opisać. Usta wykrzywiał mu dziwny grymas. Wyraz jego twarzy nie zmienił się nawet na moment, tak jakby jego usta zastygły na wieki w pogardliwym skrzywieniu. Nie, to nie była pogarda, tylko niezmienna maska szaleńca obojętego na to, co działo się wokół.

- Proszę pamiętać, trzydzieści minut. - Lannigan lekko dotknął ramienia Tennanta. Najwyraźniej nie miał ochoty wychodzić. Chwilę jeszcze stał w drzwiach, aż w końcu powiedział, że wzywają go obowiązki i wyszedł.

Zostali sami. Ani Tennant, ani Alison nie wiedzieli, od czego mają zacząć. Jak zadaje się pytania komuś, z kim nie ma żadnego

J //

/ kontaktu? Czy w ogóle istnieją jakieś właściwe pytania, skoro

'-Ni// każde pozostaje bez odpowiedzi.

Sammy Obe, ubrany w luźne, białe rzeczy, siedział nieruchomo.

- Nazywam się Alison Seagrove - zaczęła dziewczyna niepewnie. Jej głos drżał nieznacznie.

Obe odwrócił głowę i spojrzał w górę, w stronę małego okienka, którego nie mógłby dosięgnąć nawet stojąc na łóżku. Harry wyobraził sobie, że Obe może pragnąć wolności, która, jak pewnie myślał, czekała na niego za tym prostokątem ze szkła. Oczywiście pod warunkiem, że ten człowiek miał jakiegokolwiek pragnienia. Tennant przyjrzał się ścinkom gazet. Widać było, że nie zostały one pocięte nożyczkami. Obe na pewno nie miał tu nic ostrego. Gazety zostały starannie porwane. Pojedyncze kolumny, ogłoszenia, wyniki jakichś rozgrywek. Czy to było główne zajęcie Sammy'ego, darcie gazet?

Alison podeszła do łóżka i usiadła obok Obego. Wskazała na Tennanta i powiedziała:

- Kiedyś zrobiłeś temu człowiekowi zdjęcie. Dawno temu, w Haight-Ashbury. Pamiętasz to?

Zawsze optymistycznie nastawiona Alison. Liczyła na sensowne odpowiedzi, wspomnienia, szczegóły.

- Drę gazety - powiedział Obe smutno. Westchnął. - Nigdy nie znalazłem tego, czego szukam.

- A czego szukasz, Sammy?
- Znak, oczywiście. A czego miałbym szukać? Ślepa jesteś, czy co?
- Jakiego znaku?

Sammy Obe nie usłyszał pytania. Zagubił się w swoim własnym świecie. Jak do tego wszystkiego doszło? Tennant zastanawiał się jak to możliwe, że jednego dnia człowiek wygląda na normalnego, a już następnego zamyka się go do czubków. Co mogło się zdarzyć w ciągu jednej nocy?

- Znaki mogą być różne, sami wiecie. Drę gazety, kiedy nie mogę ich znaleźć. Trzeba umieć ich szukać. Ja się jeszcze tego nie nauczyłem, ale pracuję nad tym. Przysięgam Bogu, że pracuję. - Zacisnął dłonie w pięści. - Na palcach zostają odciski farby. Smugi. Kiedyś sądziłem, że znaki są właśnie w tych smugach, a nie w samych gazetach. Dużo czasu poświęciłem na przyglądanie się własnej skórze. Nauczyłem się na pamięć moich linii papilarnych, ale nie znalazłem w nich żadnego znaku.

Tennant czuł, że to wszystko go przygnębia. Nie było sensu ciągnąć tego dalej, ale Alison wydawała się nie zrażona niepowodzeniem. Zachowywała się jak archeolog, który wbrew wszelkim wskazówkom i zdrowemu rozsądkowi, wierzy, że pod tym piaskiem odkryje coś ważnego.

- Czy mógłby pan wyjaśnić, co spodziewa się pan znaleźć? - spytała dziewczyna cicho.
- To może przyjść w nocy. Wtedy oczywiście mogę tego nie zauważyć. Jest ciemno, sama pani wie. W tym tkwi problem, ale są różne rodzaje problemów. - Obe spojrział na nią. - Kim pani

jest?

- Alison Seagrove.
- Kto panią przysłał?
- Nikt mnie tutaj nie przysłał, Sammy.
- Proszę nie mówić do mnie po imieniu. Lubię, kiedy ludzie zwracają się do mnie z szacunkiem.
- Przepraszam.
- Mam nadzieję, że będzie pani uważała.

Alison miała odpowiednio skruszoną minę. Przez chwilę milczała wpatrując się w Tennanta, tak jakby on potrafił lepiej zrozumieć Sammy'ego Obe.

- Ktoś musiał panią przysłać - upierał się Obe.

Harremu przyszedł na myśl Bear Sajac. Dobra, dobra. Powiedzcie kto was przysłał? Dlaczego Sammy również sądził, że ktoś musiał przysłać Alison?

- Naprawdę, panie Obe, nikt mnie tutaj nie przysłał. - Alison otworzyła torebkę i wyjęła z niej wycinek z gazety. - Czy na tym zdjęciu widzi pan jakiś znak?

Obe nie spojrzał nawet. Wstał i sztywnym krokiem przeszedł wokół pokoju. Maszerował do muzyki, którą rozbrzmiewała tylko w' jego głowie. Alison wyciągnęła fotografię ku niemu.

- Proszę spojrzeć.
- Nie patrzę na coś, jeżeli nie mam ochoty - odparł Obe. - Gardzę nakazami i wskazówkami.

To co robię zależy tylko ode mnie, rozumiecie? Zdaje ci się, że możesz mnie nabrać. Jesteś niezłą aktorką. Udajesz, że mnie szanujesz, ale ja wiem, że to jedynie

pozory. Ty pewnie nawet nie istniejesz. Może jesteś złudzeniem które oni mi podłożyli, żeby mnie nabrać. Skąd mogę wiedzieć?

- Proszę mnie dotknąć.

- Pewnie, pewnie.

Alison wyciągnęła rękę, a Obe ujął ją w swoją dłoń i przez chwilę tak trzymał.

- Wydajesz się prawdziwa, ale ja już się nauczyłem, że to co odczuwam może w ogóle nie istnieć. Musiałem się tego nauczyć. Już nie raz mnie oszukiwano.

- Proszę spojrzeć na to zdjęcie - poprosiła dziewczyna.

- Obe się zgadza - odparł mężczyzna. - Sammy Obe zgadza się spojrzeć, ale tylko przez chwilę.

Mam masę innych spraw na głowie. - Wziął do ręki wycinek i wypuścił go z palców na podłogę. -

Nie widzę w tym strzępie nic znaczącego. Pani twierdziła, że to może być znak. Kłamała pani.

Obe nie toleruje kłamców.

- To pan zrobił to zdjęcie.

- Bzdura.

- Zrobił je pan przed laty, w San Francisco.

- Wszystkiemu zaprzeczam. Gdzie tutaj logika. Skoro to ja zrobiłem to zdjęcie, to gdzie jest mój aparat? Możecie przeszukać ten pokój, i tak nic nie znajdziecie.

Alison podniosła wycinek i westchnęła.

- Zrobił pan też parę innych zdjęć, które potem umieścił pan w bankowym depozycie. Czy tego również pan nie pamięta?

Obe wzruszył ramionami i podniósł ręce w górę.

-To może spróbujemy z innej strony. Czy mówi coś panu nazwisko Maggie Silver?

- Silver? Zupełnie nic.

- Jej również robił pan zdjęcia.

- To pani tak twierdzi.

- Ona jest jedną z osób na tej fotografii.

- Silver. Maggie Silver.

- Właśnie.

- Srebro, czy złoto, to wszystko jedno błoto.

Zagadka, pomyślał Tennant. Zagadka szaleńca.

- Dlaczego to wszystko jedno błoto?

- Tak sobie, żartowałem.

- Myślałam, że zależy panu na prawdzie, panie Obe.

-Prawdziwe jest tylko żarcie, dziewczyno, a żarcie trzyma się w spiżarni. Szukaj więc prawdy w spiżarni.

Alison potrząsnęła głową. Tennant jes/xzc nic widział jej tak sfrustrowanej, jak w tej chwili, ale w końcu przecież czego więcej można się było spodziewać? Rozwiązania całej zagadki? Nie należy go oczekiwać od ponurych lunatyków.

Tennant chciał już wyjść. Ta droga wiodła donikąd. Wszystko jedno błoto, co to mogło oznaczać? Przytłaczały go białe ściany tego pokoju.

-Panie Obe - Alison wciąż jeszcze miała nadzieję wyciągnąć z niego coś sensownego. - Nie

pamięta pan wcale Maggie Silver?

Obe gapił się w górę, na okno. Bezgłośnie otwierał i zamykał usta. Przez chwilę wyglądał jak jakaś zagubiona ryba, której brakuje tlenu.

-Chinatown, panie Obe, San Francisco. Maggie Silver.

-San Francisco - powtórzył Obe - Chinatown. Nie mów mi o Chinatown! - rozzłościł się nagle. Krótka fala gniewu wstrząsnęła nim i po chwili już znowu był spokojny.

Tennant ruszył w kierunku drzwi. Dusił się w tym pokoju. Musiał się stąd wydostać, ale Alison jeszcze nie skończyła swojej rozgrywki. Chryste, ona potrafiła być uparta.

-Pamięta pan cokolwiek z tamtych czasów?

-Daj spokój, Alison - powiedział Tennant. - Muszę wyjść na świeże powietrze.

-Jeszcze chwileczkę, Harry.

Obe, znowu niespokojny, podszedł do ściany i uderzył w nią czołem. Oczywiście ściany były wyłożone czymś miękkim, tak aby pacjenci nie zrobili sobie krzywdy. Obe kiwał się w tył i w przód wciąż uderzając głową w ścianę. Zachowywał się jak ktoś uwięziony w koszmarnym śnie. Kiedy się zmęczył, uspokoił się. Położył się na łóżku.

-Panie Obe, pozwoli pan, że jeszcze raz zapytam. Co pan pamięta z Chinatown?

- Kompletnie nic.

- A Maggie Silver?

Na moment coś na kształt zrozumienia pojawiło się w oczach mężczyzny, tak jakby z ogólnego chaosu myśli wyłoniło się jakieś wyraźne wspomnienie.

- Obe sądzi, że to dziewczyna z Haight. Zastygła w tamtym miejscu i czasie.

- Co to ma oznaczać?

- Odmawiam odpowiedzi.

Tenant otworzył drzwi.

- Alison, na miłość boską.

Alison westchnęła raz jeszcze. Nigdy nie było jej łatwo godzić się z porażkami.

- Dobra, dobra. Już idę.

Podeszła do drzwi. Obe nagle usiadł na łóżku stukając się otwartą dłonią w czoło.

- To był prawie znak.

- Prawie?

- Prawie. - Obe odwrócił się twarzą do ściany. - A teraz już idź.

PauJ Lannigan czekał na nich w końcu korytarza. Udawał, że jest czymś bardzo zajęty. Tennant zastanawiał się, czy lekarz stał tutaj przez cały czas.

- No i jak poszło?

- Tak jak pan mówił - odparła Alison.

- Biedak. - Lannigan pokręcił głową. - Czasami czuję się jak ojciec. Niektóre z moich dzieci wracają do domu, inne odchodzą na zawsze. Sammy należy do tych drugich. Oczywiście nigdy nie przestajemy próbować, ale przyznaję, że nie zawsze nam się udaje.

- Co mu się właściwie stało? - spytała Alison.

Lannigan zwrócił się w stronę dziewczyny posyłając jej najszerszy ze swych uśmiechów.

- Trudno powiedzieć. Kiedy go tu przywieziono, był w strasznym stanie. To było już dość dawno temu. Od tamtej pory jego stan uległ znacznej poprawie.

- A o co chodzi z tymi gazetami?

- Obawiam się, że nigdy się tego nie dowiemy. To jest jego mała tajemnica. Twierdzi, że szuka znaku. Znaku czego? Przez te wszystkie lata nie zdołaliśmy tego ustalić. - Lannigan patrzył na nich smutno. Tak jakby przygnębiały go ograniczone możliwości medycyny w tym zakresie. - Prawdę mówiąc, czasami chciałbym mieć czarodziejską różdżkę. Jeden ruch i rozum trafia na swoje miejsce.

Czarodziejską różdżkę, myślał Tennant. Nam tei by się taka przydała.

- Odprowadzę państwa do wyjścia - powiedział Lannigan.

Znowu przeszli długim korytarzem, minęli przeszkloną ścianę. Bładozielona stołówka nie była już pusta. Przy stolikach siedziało parę osób. Resztki jedzenia, papierowe kubki i plastikowe łyżki. Kilkoro pracowników w bladoniebieskich fartuchach, krążyło między stolikami.

Większość pacjentów zdawała się być całkowicie obojętna na to, co się działo wokół. Tennant wyobraził ich sobie jak w szalone bezsenne noce szlochają i jęczą, albo rozmawiają z wyimaginowanymi postaciami, z diabłami, aniołami i bogami. Przerażeni ludzie, zbyt obłąkani, aby zdawać sobie sprawę dlaczego dzieją się z nimi takie dziwne rzeczy.

Nie miało znaczenia, czy miejsca takie jak to, malowano na bardziej, czy mniej jaskrawe kolory, nie miało znaczenia, jakie obrazki tam wieszano i jakiego rodzaju "cudowne terapie" prze- prowadzano. Takie kliniki miały tylko jeden cel: nie wypuścić szaleńców na ulicę. Jeżeli ich

rodziny mogły sobie na to pozwolić, obłąkani, schizofrenicy, osoby z głęboką depresją trafiały właśnie do takich miejsc. Nie po to, aby ich wyleczono, ale aby o nich zapomnieć.

Tennant czuł, że koszula klei mu się do ciała. To nie była zwyczajna klinika, to było więzienie. Nawet obrazki przedstawiające sianokosy, wieśniaków i kobiety na wozach ciągniętych przez konie, nie były w stanie zatrzeć nieprzyjemnego wrażenia, że człowiek był tutaj uwięziony.

Przeciwnie, przypominały tylko

o wolności królującej poza murami tej instytucji. Ci, którym udało się ją opuścić mieli szansę znaleźć drogę do samych siebie.

Sammy Obe taką szansę stracił. A gdzie jest twoja droga, Harry?

Musiał jak najszybciej wydostać się z tego miejsca.

W dół po schodach, korytarzem do recepcji. Pielęgniarka siedziała za biurkiem przekopując się przez jakieś papiery. Na chwilę podniosła głowę i spojrzała na Alison i Tennanta obojętnie.

Lannigan podszedł do drzwi frontowych i otworzył je. Wciąż jeszcze padało. Niebo miało ponuroszary kolor.

- Straszna pogoda - powiedział Lannigan. Uścisnął dłoń Alison. - Mam nadzieję, że w końcu znajdziecie to, czego szukacie. -

Spojrzał na Termanta i dorzucił - Oboje. - Potem ujął Harry'ego. Uścisk był ciepły i mocny. Wyszli na deszcz, którego strugi, szarpane wiatrem, padały naraz ze wszystkich kierunków. Stojący w drzwiach Lannigan zawołał jeszcze:

- Szerokiej drogi, boyo.

Kiedy wsiedli do samochodu, Tennant odezwał się gorączkowo:

- Jedź. Dokądkolwiek. Po prostu ruszaj. Kierunek nie ma znaczenia. - Odwrócił się i patrzył na tonącą w strugach deszczu klinikę. Boyo. Głos w jego głowie. Szepty uparcie przedzierające się przez świadomość: boyo. Szukaj spokojnego centrum, boyo. Poradzisz sobie, boyo. Tak, tak Lannigan. Znasz mnie. Znasz mnie z innych czasów.

Harry wpatrywał się w deszczowy krajobraz. Czuł, że cały przesiąka tym deszczem. Jego mózg brnął w jakimś bagnie w kierunku światła. Tylko, że to światło było okropnie daleko. Ledwo je widział.

- Powiedz coś, Harry - poprosiła dziewczyna.

Co miał powiedzieć? Zamknął oczy i próbował wyrównać oddech.

- Już kiedyś spotkałem Lannigana. Nie pytaj mnie kiedy, ani w jakich okolicznościach. Pewien jestem tylko, że to było w klinice.

- Skąd możesz być tego pewien?

- Nie wiem. Po prostu jestem.

- Byłeś pacjentem?

- Może.

- Spróbuj się skoncentrować.
- Do cholery, przecież próbuję.
- Spokojnie i powoli. Dlaczego sądzisz, że byłeś tam pacjentem?

Spokojnie i powoli.

- Może byłem na odwyku. Nie wiem. Żaden inny powód nie przychodzi mi do głowy.

- Chcesz tam wrócić i porozmawiać z tym facetem? !

- Nie, ja tam nie wrócę. - To miejsce. Uścisk ręki Lannigana. !

Twarze w stołówce. Małe, białe pokoje. Nigdy. |

- Jeżeli spotkałeś go już kiedyś, to dlaczego nawet o tym nie ! wspomniał? Jeżeli byłeś tam pacjentem, to zupełnie normalne j byłoby, gdyby podszedł do ciebie i powiedział: “Co u ciebie, i Harry?” albo “Jak to jest, znowu tutaj trafić?” Czy cokolwiek ' innego. Ale on nie zrobił nic takiego. Zachowywał się tak, jakby nigdy wcześniej cię nie widział. Dlaczego?

- Nie mam pojęcia. Może miał jakiś powód, a może po prostu mnie nie pamiętał albo nie poznał.

- Albo odwrotnie. Nie chciał, żebyś ty go rozpoznał. Dziwne.

Chyba że...

;

- Chyba że co?

- Może sądzi, że go nie pamiętasz. Może z jakichś powodów nie powinieneś go pamiętać, ponieważ... - Dziewczyna starała się i dojrzeć coś spoza ściany deszczu. - Ponieważ tak właśnie miało j być. Twoja pamięć została odpowiednio zaprogramowana.

- Zaprogramowana? Co masz na myśli? j

- To samo, Harry, co ty nazywasz czarnymi dziurami w swoim [życiu. Te czasy, których nie pamiętasz. Nie wiadomo, czy powo- j dem tych zaników pamięci były tylko narkotyki. Mnie to wyjaśnienie nie satysfakcjonuje. Jeżeli trafiłeś do Lannigana jako pacjent, który już wcześniej

brał różne prochy, to byłeś dla niego łatwym materiałem do obróbki. Byłeś prawie nieboszczykiem. Zadanie okazało się dziecinnie łatwe. Więcej prochów, hipnoza, ma- j nipulowanie i trochę perswazji. Kto wie, jakie metody pracy ma ten j Irlandczyk. Stan wejściowy, hippis, stan wyjściowy: Harry upra- j wiający marychę.

Twoja pamięć została odpowiednio zaprogramowana. W mózgu Harry'ego wystrzelono czerwoną raketnicę. Ekspłodowała w górze i spadła kaskadą czerwonych błysków. Programowanie pamięci. Obraz tu, obraz tam. Wymazać to, pozbyć się tamtego. Wyprzedaż wspomnień, czy zwyczajna ich kradzież?

Czaszkę rozsadał mu potworny ból. Wyobrażał sobie, jak Lannigan zagłębia się w jego mózg i czymś ostrym kroi go na kawałki, wydzierając całe fragmenty. Wzdrygnął się. Wizja ta nie należała do najprzyjemniejszych.

To chyba nie było tak, jak mówisz. Zabrzmiało to tak, jakby chciał czegoś bronić, tylko sam me wicu/iał czego. Swego umysłu? Lannigana? A może jednego i dugiepo" To byłoby niemożliwe.

Dlaczego nie? I ylko dlatego, że nie pamiętasz lego? Czy tak? Harry, zastanów się. Byłeś cholernym ćpunem. Rozbierali cię na części i składali, i znowu rozbierali. To normalne, /x teraz nie możesz się w tym połapać. Zaprzeczasz temu, że Lannigan załatwił ci mózg właśnie dlatego, że on to zrobił. Człowieku to był doskonały plan.

- Nie.

- To wstrętne i podłe - ciągnęła dziewczyna. -I en facet chciał ci skasować pamięć, ale nie ograniczył się tylko do tego. Był na tyle sprytny, że "wszczepił" ci przekonanie, iż nic podobnego nic miało miejsca.

- Dlaczego, na miłość boską miałyby to robić?
- Właśnie tego musimy się dowiedzieć.
- Ale to nie ma żadnego sensu.
- Sensu? A co według ciebie oznacza ten dziwny zbieg okoliczności? Ty i Sammy Obe, znajomi z dawnych lat, byliście pacjentami tego samego ośrodka. Jak na mój gust, trochę to za bardzo naciągane.

Alison na chwilę odwróciła głowę w jego kierunku. Samochód nagle podskoczył na jakimś wyboju i zjechał na pobocze, zanim dziewczyna zdążyła zareagować.

Tennanta wcisnęło w siedzenie. Alison zatrzymała wóz. Krople deszczu rozpryskiwały się o przednią szybę. Dziewczyna wzięła dłoń Harrego w swoje ręce. Ten prosty gest miał przywrócić mu spokój,

- Harry, pomyśl co łączy cię z Obe. Klinika. Lannigan. Zdjęcie. No i fakt, że żaden z was nie pamięta co się zdarzyło. Ty przynajmniej zachowałeś zdrowy rozsądek.
- Nie nazwałbym tego zdrowym rozsądkiem.
- W porządku. Powiedzmy, że nie jesteś pomyłony. Jakoś zdołałeś się pozbierać. Żyłeś sobie z dnia na dzień pielęgnując te swoje rośliny, podczas gdy Obe szybował po orbitach. On już opuścił tę planetę na stałe. - Opuszkami palców kreśliła na jego skórze koła. - Przyczyny trzeba chyba szukać w Chinatown, Harry.

Należałoby się cofnąć do tamtego dnia i przekonać się co takiego widzieliście przed kościołem St. Mary's.

Cokolwiek to było, zniszczyło go. Czuł pulsujący ból w czaszce. Patrzył na deszcz i miał wrażenie, że krople drażą jego wnętrze. Wsłuchiwał się w okropny łomot w jego głowie. Brzmiał dziwnie znajomo.

Nikt ich nie śledził. Tak przynajmniej zdawało się Tennantowi. Jechali przez ciąg małych miasteczek, których widok coraz bardziej go przygnębiał.

- Zjedźmy z głównej drogi i znajdziemy jakiś motel - zaproponował Tennant. - Im bardziej obskurnie tym lepiej.

Wycieraczki poruszały się miarowo w jedną i drugą stronę, jak dwa metronomy odmierzające rytm pogody. Alison skierowała buicka na boczne drogi. Jechali jeszcze kilkanaście mil, zanim trafili na jakiś podrzędny motel o dumnej nazwie The Crimson Motor Lodge. Kupa brudnych domków, które nie wyglądałyby zachęcająco nawet przy pięknej słonecznej pogodzie.

Recepcjonista miał nieświeży oddech i ubrany był w okropny poprzecierany na łokciach sweter.

- Wybierajcie co chcecie - powiedział - W tej chwili nie mamy żadnych gości.

Wzięli klucz do domku numer cztery. Wilgotny, mały pokój pomalowany był na brązowo. Gdzieś tam farba odłaziła od ścian. Na suficie liczne pęknięcia niedbale załatano gipsem.

- Wspaniałe miejsce - stwierdziła Alison.

Tennant położył się na zapadniętym łóżku, jedynym w tym pokoju.

Patrzył w sufit. Gipsowe łaty przypominały wypryski na skórze. Zamknął oczy, żeby na nie nie

patrzeć. Alison zaciągnęła zasłony i usiadła na brzegu materaca.

- Powiedzmy, że Lannigan rzeczywiście zrobił coś z moją pamięcią - powiedział nagle Tennant. - Jeżeli tak, to kim ja teraz jestem? Jakaś część mnie została spieprzona dokumentnie, a jednak wciąż coś mi mówi, że ten cholerny lekarz nic nie zrobił. Nie mógł nic zrobić. Jakiś głos wewnątrz mnie powtarza to przez cały czas. Lannigan jest niewinny. Lannigan jest niewinny. Jak miarowe

uderzenia bębna: bum, bum, bum. -Tennant objął dłońmi głowę. Alison dotknęła go lekko.

- Byłeś szczęśliwy zanim ja wpakowałam się do twego życia - powiedziała cicho.

- Byłem po prostu nieświadomy. Otepiały. O nic nie pytałem, nad niczym się nie zastanawiałem. Szczęście nie miało z tym nic wspólnego.

- Biedny Harry. Przykro mi. Zmusiłam cię do tego, żebyś wyszedł na światło dzienne. Gdyby nie ja, to odsiedziałbyś jakiś czas w lokalnej ciupie, a potem wyszedłbyś wolny i wcale nie mądrzejszy niż przedtem. Powinnam była najpierw to wszystko przemyśleć.

- Nie mam zamiaru cię obwiniać. Pewnie cię to zaskoczy, ale w pewnym sensie powinienem być ci wdzięczny. Gdybyś się nie zjawiała, to prawdopodobnie do końca życia nie wiedziałbym kim jestem.

- Przynajmniej żyłbyś sobie spokojnie.

- Nie wiem, czy akurat to jest najważniejsze.

- Może. Biedny Harry - powtórzyła dziewczyna.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Tennant czuł się dziwnie. Deszcz bębnił złowieszczo w dach. To dudnienie sprawiało, że wszystkie rzeczy zdawały się niesłychanie kruche i delikatne.

Ten obskurny pokój. Całe życie Harry'ego. Ucieczka. Najmniejszy nawet ciężar był w stanie zniszczyć je doszczętnie.

Tennant wstał z łóżka, odsunął zasłonę i wyjrzał przez okno. Świat tonął w deszczu. Za motelem rozciągały się łąki, ciemnozielona, pusta przestrzeń. Harry przycisnął na chwilę twarz do szyby, a potem cofnął się i zasunął zasłonę. Co za obrzydliwe życie, ciągła ucieczka, noce w motelach takich jak ten.

- To wszystko można w bardzo prosty sposób zakończyć- odezwała się Alison.
- Wiem. Mogę zwyczajnie odejść i zostawić to w cholere.
- Usunąć się w mrok.- Dziewczyna machnęła ręką. - Żegnajcie, tajemnice. Nigdy więcej zagadek. Mógłbyś żyć nie znając ich rozwiązania, Harry? - Nieświadomie dotknęła jego włosów, a potem, jakby nie zdając sobie sprawy z tego co robi, pociągnęła go w stronę łóżka. - Przyzwyczaiłam się do ciebie, Harry. W którymś punkcie naszej wspólnej drogi stałeś się dla mnie bardzo ważny. Nie

spodziewałam się, że tak to się skończy. Nie chciałam, żebyś teraz odszedł.

Położył się i wtulił twarz w ramię dziewczyny. Czuł bicie jej serca, słodki rytm życia. Nagle zapragnął otoczyć się tym życiem i światłem. Chciał, aby ogarnęło go ze wszystkich stron. Wyciągnął rękę i dotknął piersi dziewczyny. Zastanawiał się, czy jej oddech nie stał się nieco szybszy. Nie był tego pewien. Kochanie się z nią było dla niego pewnego rodzaju wyjściem, ulgą, oddechem. Dotyk skóry, złęczone drzące usta. To uwolniłoby go od koszmarnych myśli, pozwoliłoby doświadczyć uczuć, których już nie pamiętał. Mógłbym ją kochać, myślał. Mógłbym skoczyć w przepaść, i spadać, spadać, nie ważne jak długo.

Przyciągnął ją do siebie i pocałował. Czuł się niezręcznie, Alison zdjęła koszulkę. Miała małe i twarde piersi. Tennant delikatnie pieścił jej twarz. W tej chwili wszystkie magiczne rozwiązania wydawały mu się zupełnie realne. Krąg intymności zacieśniał się. Harry zsunął dzinsy z wąskich bioder dziewczyny i położył dłoń na jej płaskim brzuchu. Wolno zakreślił koło wokół jej pępka.

Alison miała na sobie już tylko majteczki. Bładoniebieskie.

- Zdejmij je - poprosiła.

Tennant posłuchał. Powoli zsuwał bieliznę z jej bioder, ud, stóp. Zastanawiał się co czuła, o czym w tej chwili myślała. Czy zapomniała już, co mówiła o jakimkolwiek angażowaniu się? Uciszył ten wewnętrzny głos. Mam tylko tę chwilę, nic więcej, myślał. Prawie wierzył, że można istnieć bez początku i końca. Przesunął dłonią po wewnętrznej stronie uda Alison, poczuł, że zadrżała. Dziewczyna była cudowna, subtelna i wrażliwa. Pożądał jej bezgranicznie. Kiedy całował jej piersi, jedną ręką objęła go za szyję. Nie pamiętał, czy kiedykolwiek odczuwał tak

silnie bliskość drugiego człowieka. Całował ją, pieścił jej skórę. Poczuł, że wsunęła mu dłoń między nogi. Rozpięła guziki jego dżinsów - Chryste, kto wynalazł ubranie! Dziewczyna gwałtownie ściągnęła mu z ramion koszulę. Ogarniał ich wir intymności. Usłyszał, jak cicho wypowiada jego imię. Tylko raz słyszał, żeby ktoś tak wypowiadał jego imię. Nagle poczuł, że zapada się w grząskie bagno przeszłości. Był z inną kobietą! Przy nim leżała Maggie Silver. Jego umysł nie ogarniał tego. To nie była Alison, to nie była dziennikarka, która wciągnęła go w jakiś skomplikowany świat. To była Maggie Silver, to była Maggie, nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Maggie. Maggie Już nie był w ob- skórnym pokoju motelowym. Znajdowali się w domu na Schrader Street. Kręciło mu się w głowie od jakiegoś silnego zapachu kadzidła. Wyobrażał sobie blask słoneczny wypełniający całe okno, rzucający światło na indyjski dywan. Miał wrażenie, że kiedy otworzy oczy, zobaczy nad łóżkiem plakaty Bobby Kennedyego, Dylana i Jimiego Hendrixa, zobaczy JEJ rzeczy porozrzucone po podłodze, zobaczy twarz Maggie. Jak wyglądała tylko kiedy się kochali. Jej oczy nabierały dziwnego blasku kiedy zagłębiała się w świecie własnego uniesienia. Mógł bez końca całować jej usta. Osiągnąć to, co nieosiągalne, wspiąć się na wyżyny, których istnienia jedynie się domyślał.

Przycisnął dziewczynę do siebie i wszedł w nią. Rozsunęła nogi. Czuł jej palce przesuwające się po jego plecach, wzdłuż kręgosłupa. Słyszał swój własny głos, dźwięki, które nabierały znaczenia tylko wtedy, kiedy kochał się z tą dziewczyną. Słowa, nie-słowa. To. że nie miały sensu, nie liczyło się. W tej chwili nie wstydził się słów bez znaczenia. Taki wstyd po prostu nie istniał. Zresztą jaki sens miało znaczenie?

Kocham tę kobietę. Miał wrażenie, że jego czaszka za chwilę eksploduje.

Nagle dziewczyna odepchnęła go od siebie. Otworzył oczy. Maggie Silver zniknęła. Patrzył w twarz Alison Seagrove. Dlaczego była smutna? Czym ją zranił?

- O co chodzi? - zapytał.

- Nie wiesz?

- Powiedz mi.

Dziewczyna skuliła się na łóżku. Milczała. Tennant wyciągnął rękę, żeby ją objąć, ale ona odsunęła się.

- To nie ma znaczenia - rzuciła ostro w jego stronę.

- Powiedz, Alison.

Spojrzała na niego zimnym wzrokiem.

- Dobra, powiem ci. Nazwałeś mnie Maggie. Zawołałeś jej imię.

- Nie miałem pojęcia...

- Dlaczego? Dlaczego Maggie?

Jak mógł wyjaśnić coś, czego sam nie rozumiał?

- Miałem coś w rodzaju snu, czy też wizji. Do diabła, nie wiem jak to nazwać. Nagle ty nie byłaś tobą, stałaś się nią. Byliśmy razem

na Schrader Street w San Francisco. To było tak, jakbym wpadł w wartki nurt strumienia... - Mówił nieswoim głosem. - Jakaś siła ciągnęła mnie coraz głębiej. Nie wiedziałem, co mówię. Nie słyszałem siebie...

Dziewczyna odwróciła się do niego tyłem.

- Uraziłem cię. Zraniłem.

Podniosła się z łóżka i zaczęła krążyć po pokoju. Co chwila wstrząsały nią dreszcze.

- Wiem, że to nie wystarczy, ale naprawdę jest mi przykro. Przepraszam cię.

Weszła do łazienki i zamknęła za sobą drzwi. Tennant przymknął oczy i obraz Maggie Silver powrócił. Co się z nim działo? Wszechpotężna przeszłość przeszywała go na wylot. Wsłuchiwał się w szum strumienia, który go porwał. Nie mógł nad tym zapanować. Zawładnęła nim jego własna przeszłość. On i Maggie Silver byli kochankami. Chyba żeby ten obraz okazał się tylko kolejnym złudzeniem, wytworem wyobraźni. On i Maggie Silver. Dziwiła go intensywność uczuć, które wypełniały go w tej chwili. Alison pewnie uważałaby, że to kolejna sztuczka Lannigana. Te uczucia miały zostać wymazane, ale eksperyment się nie powiódł. Nie można przecież zniszczyć każdego wspomnienia. Obrazy z przeszłości wracają. Mają własną moc. Umysł sam powoli wraca do równowagi. Tennant czuł, że to było jego małe zwycięstwo. Odzyskał część siebie.

Alison wyszła z łazienki. Była ubrana. Podeszła do okna. Harry czuł, że była napięta do granic możliwości.

- Przepraszam - powtórzył. - Naprawdę nie chciałem cię zranić. Za nic bym tego nie zrobił,

przecież wiesz.

Dziewczyna nie patrzyła na niego. Wstał z łóżka i podszedł do niej. Cofnęła się o krok.

- Nie dotykaj mnie - powiedziała.

Zatrzymał się wpół ruchu. Nie wiedział, co ma robić.

- A więc ty i Maggie Silver byliście kochankami, czy dobrze to zrozumiałam?

Nie odezwał się.

- Ponad dwadzieścia lat temu żyliście ze sobą, tak?

- Chyba tak...

- Jezu! Harry, czy choć raz mógłbyś coś powiedzieć na pewno?

Czy zawsze będziesz odpowiadał “nie wiem” albo “nie pamiętam”?

Cholernie mi przykro z powodu tego, co prawdopodobnie kiedyś ci się przytrafiło, ale mam już dość twego chybania.

- W porządku. Byliśmy kochankami, Alison. Jestem tego tak pewien, jak tylko mogę być. Jak inaczej wytłumaczyć to, co się przed chwilą stało? Według mnie nie ma co robić koło tego tyle hałasu. Przecież nie zrobiłem tego celowo. Nie zaczynałem tego wszystkiego tylko po to, żeby cię zranić.

Alison przysiadła na krześle z połamanym oparciem. Przyglądała się swemu odbiciu w lustrze. Dłońmi naciągnęła w tył skórę policzków.

- Już wcześniej miałem niejasne wrażenie, że znałem kiedyś Maggie Silver. Pamiętałem jej krzyk.

- Krzyk?

- Wiem, że to nie ma sensu. To tylko jakiś fragment wspomnień. Sądzę, że kiedyś musieliśmy razem mieszkać, prawdopodobnie na Schrader Street. Mam wrażenie, że między nami było coś dobrego i że nagle to się urwało, zniszczyło w niewiadomy mi sposób. - Harry poczuł ból. Wiedział, że w przeszłości Maggie Silver znaczyła dla niego bardzo wiele. Być może była jego wielką miłością? W każdym razie łączyło ich coś czego się nie zapomina, niezależnie od tego, jak wiele wspomnień zostało wymazanych. Tego amnezja nie była w stanie objąć. Harry miał wrażenie, że jest pusty w środku. Stracił coś więcej, niż tylko pamięć.

- Nie wiem, jak długo byliśmy razem. Nie mam pojęcia, dlaczego zerwaliśmy. Jedno mogę ci powiedzieć na pewno: kochałem ją. I jakaś część mnie została razem z nią. - Pamiętam jej zapach, jej ubrania. Pamiętam jakie plakaty wisiały na ścianach. Starał się uśmiechnąć, ale nie mógł.

- Powinna się była tego spodziewać. Powinna była wywnioskować to ze zdjęcia, ale byłam zbyt zajęta zbieraniem materiałów do mojej historii. Byłam w lesie i nie widziałam drzew.

- Sam powinienem był wiedzieć wcześniej, że między mną a Maggie coś było. Teraz to już nie ma znaczenia. To przeszłość.

- Czyżby? - Alison opuściła dłonie i patrzyła teraz na jego twarz odbijającą się w lustrze.

Wstała z krzesła. Tennant podszedł do niej i dotknął jej ramienia. Odsunęła się. Mógł ją zapytać dlaczego była tak zazdrosna

o jakąś starą miłość, ale nie zrobił tego. Nie był do końca pewien,

czy to była zwyczajna zazdrość. Może Alison należała do tych osób, które zawsze wszystko gwałtownie przeżywały. Nie znał jej z tej strony. Wciąż jeszcze byli sobie obcy.

- Czy przyjmiesz moje przeprosiny? - zapytał.
- Nie musisz mnie przepraszać. Nie mam do ciebie pretensji

o to, co się stało.

- A więc wybaczasz mi?

Spojrzała na niego ze smutkiem. Nie odpowiedziała na pytanie.

- Powinieneś się cieszyć, Harry. Właśnie dowiedziałeś się czegoś o sobie. Znalazłeś kolejny kawałek swojej układanki. Pasuje?

- Tak. - Zaczynał tracić nadzieję na to, że Alison mu wybaczy. Chciał ją objąć, ale nie ruszył się z miejsca w obawie, że dziewczyna znowu się odsunie. - Posłuchaj, jeżeli mamy zamiar kontynuować nasze poszukiwania, to chyba powinniśmy zawrzeć pokój.

- Uścisk ręki i wszystko załatwione?
- Coś w tym rodzaju.

Patrzyła na niego długo. Nie potrafił nic wyczytać z wyrazu jej twarzy. Ta świadomość przeraziła go. Alison była jego jedynym towarzyszem, jedynym sojusznikiem, a on nie mógł zinterpretować jej spojrzenia. Nagle dziewczyna stanęła na palcach i szybko pocałowała go w policzki. Tennant stał tak, owinięty prześcieradłem i czuł się strasznie głupio. Nastrój intymności zniknął zupełnie. Chciał, aby wróciło poczucie więzi między nimi.

- Nie zasługuję na obojętność - stwierdził. Podniósł swoje rzeczy i zaczął się ubierać.

- Masz rację. Zasłużyłeś sobie na więcej. Powinieneś odzyskać swoje życie. - Podeszła do niego. - Może właśnie to będę ci mogła w końcu podarować, Harry. Twoje życie. Może to jest tysiąc razy ważniejsze, niż jakiś tam głupi artykuł. Twoje życie. Harry Tennant poskładany znowu do kupy.

W jej głosie wyczuł dziwną nutę. Sarkazm? Odrobina złośliwości? Nie był pewien. Zapiął guziki koszuli. W lustrze dojrzał swoje blade odbicie. Jak na faceta, który właśnie odnalazł szczątki swej przeszłości, nie wyglądał rewelacyjnie. Usiadł na łóżku i spojrzał na dziewczynę.

- Jeszcze jedno - powiedziała Alison. - Między nami nic nie zaszło. To był błąd i lepiej będzie, jeżeli o nim zapomnimy.

- Błąd?

- Straciłam chwilowo kontrolę. Ty też. Postarajmy się, żeby nic podobnego się już nie zdarzyło.

- Nie mam zamiaru tak tego zostawić. Błąd, co za okropne słowo. Chwila nieuwagi? Przecież coś między nimi było. Jak mogła temu zaprzeczać? - Nie trafiają do mnie gadki w stylu "straciłam kontrolę". O.K. na chwilę cofnąłem się w przeszłość, ale jaki to ma związek z tym, co jest między nami? Przecież żyjemy teraz, a nie dwadzieścia lat temu, do cholery. Jesteśmy razem bez względu na to, jaką każde z nas miało przeszłość. W grę wchodzi przecież nasze uczucia, Alison. To, co czujemy tu i teraz. Nawet me wiesz ile to wszystko dla mnie znaczy.

Dziewczyna odwróciła się od niego.

- Uczucia? Pewnie, tylko że ja wcale nie jestem pewna tego, co czuję.

- Tego nigdy nie można być do końca pewnym. Nie trzeba podawać jakichś cholernych definicji. Nie potrafię ci narysować mapy moich uczuć, a jednak wiem, że coś do ciebie czuję. To

jest dla mnie coś zupełnie nowego.

- O co ci właściwie chodzi, Harry?

- Właśnie o to. Nie określaj tego, co jest między nami, mianem błędu. Mamy coś, zobaczymy dokąd nas to zaprowadzi.

Alison przez chwilę milczała. A potem nagle wstała i zaczęła pakować swoje rzeczy. Ani razu na niego nie spojrzała.

- Musimy stąd wyjechać. Pojedziemy do San Francisco. Cokolwiek łączy ciebie i Obe, właśnie tam się zaczęło. Tam się kończy historia Maggie. Tam wszystko ma swój początek i koniec.

- Zmieniasz temat.

- Teraz powinniśmy zająć się jednym tematem. Na pewno nie dotyczy on nas obojga.

- Sądysz, że Maggie Silver wciąż jeszcze jest w San Francisco? Po tym wszystkim co się stało? Szukasz wiatru w polu. - Chwycił ją za rękę i przytrzymał.

- Może została w San Francisco, ponieważ uważała, że tam nikt jej nie będzie szukał. W każdym razie nie dowiemy się tego, jeżeli tam nie pojedziemy. Samochód zostawimy w Des Moines i złapiemy samolot. Kilka godzin i będziemy na miejscu.

- Jeżeli w ogóle się tam dostaniemy.

Ji

. m

- Musimy spróbować. Jakie widzisz inne wyjście? Siedzieć tu i czekać aż nas znajdą? Nie cierpię czekania. Lubię jak się coś dzieje. - Westchnęła. Harry zrozumiał, że nie tylko to gnało ją naprzód. Chciała zostawić za sobą ten pokój i to, co się między nimi zdarzyło. Nie miała ochoty zastanawiać się nad tym. Dobra niech będzie tak, jak chce ona, pomyślał Tennant. Ruszajmy.

Do San Francisco mieli jakieś parę godzin drogi. Za parę godzin otoczy ich martwa sceneria Haight Street, Ashbury i Panhandle. Harry zastanawiał się, czy dom na Schrader Street, Young Museum i Golden Gate Park wciąż jeszcze istnieją, i czy są takie same jak we wspomnieniach z przeszłości, której tak się obawiał. Alison miała rację co do jednego: musiał tam wrócić. Nie było innego wyjścia. Poza tym myślał, że Maggie Silver wciąż jeszcze może być w San Francisco działała jak magnes. Czy to, że ją zobaczy, zmieni cokolwiek? Czy przywróci mu jego przeszłość? Czy Maggie ma klucz do jego życia? Oczywiście, liczył się z tym, że mogła się zmienić, że być może jej nie pozna. To przecież niemożliwe, myślał. Nie uda się nam jej odnaleźć.

Co mieli do stracenia? Nic. Wszystko.

Podszedł do okna, uchylił nieco zasłonę i wyjrzał. W strugach deszczu nie dostrzegł żadnego ruchu. Przyszło mu do głowy, że San Francisco to już teraz inne miasto. Stare bary i kafejki zostały pewnie zamknięte. Ulice wyglądają inaczej.

Jakiś samochód wjechał na podjazd przed motelem. Mała, niebieska toyota. Czy był to ten sam

wóz, który jechał za nimi wcześniej? Tennant nie wiedział. Z niepokojem patrzył jak samochód zakreśla łuk i znika wśród domków.

Po chwili pojawił się znowu. Zatrzymał się w pobliżu buicka. Nikt z niego nie wysiadł. Tennant szybko odsunął się od okna, puszczając zasłonę. Zdawało mu się, że na przednim siedzeniu toyoty dostrzegł dwie osoby, ale nie był tego pewien. Wyjął z torby broń.

- Mamy towarzystwo - powiedział, nieświadomie zniżając głos do szeptu. - To może być ta sama toyota, co wcześniej. Trudno powiedzieć.

- Widziałeś ilu ludzi jest w środku?

- Dwie osoby, może więcej. Nie widziałem dokładnie.

Alison spojrzała na broń.

- Co chcesz zrobić, Harry? Zacząć do nich strzelać? Sądysz, że w ten sposób coś osiągniesz? Niech oni wykonają pierwszy ruch. Przecież wcześniej, czy później będą musieli wysiąść z samochodu.

Tennant stanął przy oknie. Nie umiał czekać. Nie nauczył się tego nawet przez długie lata samotności. Wyrzwał przez szparę między zasłonami. Dlaczego nic się nie działo? Dlaczego nikt nie wysiadał z tego cholernego samochodu?

- Wciąż jeszcze tam siedzą - powiedział cicho. - Jeżeli zamierzają coś zrobić, na co czekają?

- Może mają takie właśnie metody działania. Trzymają przeciwnika w niepewności, a potem szybko zadają cios.

Czy w takiej sytuacji w ogóle można było zachować spokój? Tennant miał ochotę zerwać zasłonę, wybić szybę i strzelać, ale nie ruszył się. Czekanie było jak paraliż. To tak, jakby

człowiek przestał istnieć. W takim momencie życie ograniczało się do bezruchu. Człowiek był tylko oczekiwaniem. Wszystko inne zamierało.

Znowu spojrzął na samochód. Alison również podeszła do okna, żeby zobaczyć toyotę. Ciągłe jeszcze nikt z niej nie wysiadł. Tennantowi nagle przyszła do głowy dziwna myśl, że samochód mógł być pusty. Może był zjawą. Zwyczajna, niebieska toyota, otulona deszczem, pusta.

Drugi samochód wjechał na podjazd. Jakiś brązowy wóz nieokreślonej marki zatrzymał się w pobliżu toyoty.

Tennant czuł rosnące w nim napięcie. Zaciśnął palce na taurusie. No dalej, myślał. Ruszcie się. Zaatakujcie, jeżeli macie to zrobić.

W toyocie drzwi po stronie pasażera otworzyły się i wyjrzał z nich jakiś mężczyzna. Tennant go nie znał. Miał grube, nieprzyjemne rysy, tak jakby nieostrożny lekarz, odbierając go kiedy się rodził, rozpłaszczył mu twarz. Popatrzył w stronę okna ich domku i zmarszczył brwi. Tennant cofnął się w cień. Przez prześwit w zasłonach patrzył jak mężczyzna wysiada z samochodu. W prawej ręce trzymał jakiś mały, ciemny przedmiot. Harry nie widział dokładnie co to jest. Dopiero, kiedy mężczyzna zgiął ramię, Tennant dostrzegł, że tym przedmiotem jest granat. Czy miał on trafić w okno ich domku? Nie mieliby szans, gdyby granat wybił szybę i eksplodował w pokoju.

Tennant wycelował taurusa prosto w mężczyznę, który już uniósł ramię. Jego twarz wyrażała determinację. Był myśliwym,

który właśnie obrał sobie cel. Ty albo ja, pomyślał Tennant. Wybił rewolwerem szybę. Był gotów nacisnąć spust.

Nie strzelił jednak. Nie musiał. Mężczyzna z granatem w ręce nagle osunął się na kolana przyciskając dłoń do piersi. Granat potoczył się pod toyotę. Mężczyzna upadł na ziemię i leżał tak z twarzą w błocie. Za nim, przy brązowym samochodzie, stała jakaś postać. Tennant nie wiedział o co w tym wszystkim chodzi. Miał wrażenie, że to jakiś dziwny sen, którego odbicie ogląda właśnie w serii krzywych zwierciadeł- Gość, który zastrzelił mężczyznę z toyoty, wsiadł z powrotem do swego brązowego wozu. Granat pod toyotą eksplodował. Czerwonożółty płomień strzelił w górę, pochłaniając niebieski samochód. Tennant, oślepiiony, odsunął się od wybitego okna.

Wyszedł na zewnątrz. Alison ruszyła za nim. Na podjeździe siała płonąca toyota, na której przednim siedzeniu tkwił kierowca. Obok samochodu leżał nieżywy mężczyzna. Smród gumy i palącego się ciała mieszały się w deszczu. Brązowy wóz zniknął. Oni też powinni byli jak najszybciej opuścić to miejsce.

Do Des Moines jechali w zupełnym milczeniu. Deszcz padał coraz mocniej. Po asfalcie płynęły strugi wody. Tennant nie widział, żeby ktoś za nimi jechał. Zatrzymali się dopiero przy czerwonym świetle, w miejscu, gdzie przeprowadzano roboty drogowe. Przy znaku stał robotnik w zielonym płaszczu przeciwdeszczowym. Był tak ponury, jakby w życiu nie spotkało go nic miłego. Za buickiem ustawił rząd samochodów. Trudno było stwierdzić, czy w jednym z nich nie siedzi ich prześladowca. Kiedy światła się zmieniły, Alison ruszyła ostrożnie. Nawierzchnia jezdni była

śliska, zdradziecka, a dziewczyna czuła, że ma kłopoty z koncentracją.

Zjechała na pobocze i wyłączyła silnik. Oparła głowę o kierownicę. Tennant zapalił papierosa. Wciąż miał przed oczyma płonąca toyotę, obcego mężczyznę z szybkostrzelną bronią, granat» wyciągniętej ręce - składniki równania śmierci.

- Anioł stróż - powiedziała dziewczyna. - Tak to się chyba nazywa? Ktoś kto nas pilnuje?

- Nie wiem - odparł Tennant. Anioł stróż z bronią zmusi skrzydeł. Strzelec wyborowy zesłany im z niebios na ratunek?

- A co to według ciebie znaczyło? Dwóch facetów przyjechało do motelu, żeby nas załatwić, ale nagle znikąd pojawił się aacz zbawca i trochę im pokrzyżował piany. Co o tym sądzisz?

- Ktoś chce nas załatwić, a komuś innemu zależy na tym, żebyśmy jeszcze trochę pożyli. - Kiedy patrzył na to w ten sposób, wydawało się to bardzo proste. - Ludzie, którym przeszkadza nasza mała "wycieczka krajoznawcza" chcą nas sprzątnąć.

- No a kto jest tym zabójczym aniołem, Harry? Jakie są motywy jego działania?

Motywy, cele. Czy szukanie ich w tym zamęcie i niepewności miało jakikolwiek sens?

Tennant, kręcąc głową zaciągnął się papierosem. Przyglądał się kilku innym zaparkowanym na poboczu samochodom. Cały czas myślał o tym, co się zdarzyło. Pamiętał sposób, w jaki trzymał gotowego do strzału taurusa, pamiętał, jak lufą broni wybił szybę, pamiętał, jak w jego głowie rosła myśl Zabij Go, aż w końcu wypełniła jego mózg całkowicie. Harry Tennant

- pacyfista? Napada na niewinnych ludzi w toaletach? Myśli

Ozabijaniu? Byłem przerażony, tłumaczył sobie w duchu Tennant. Co się robi, kiedy się czuje nadchodzące niebezpieczeństwo? Co powinno się powiedzieć? Zawrzyjmy pokój, bracia?

Złóżmy broń

1 kochajmy się? Tennant zastanawiał się nad zmianami, jakie zaszły ostatnio w jego życiu, nad nowymi doświadczeniami i nieznanymi mu dotąd uczuciami. Czuł, że jego osobowość uległa transformacji, ale nie był pewien do jakiego stopnia się zmienił.

Lekko dotknął policzka Alison.

- Co się stanie, jeżeli następnym razem nasz anioł stróż się spóźni, Harry?

Nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie. Chciał zapewnić dziewczynę, że on sam może ją ochronić, że potrafi to zrobić, ale tylko pogłaskał ją po policzku. Dziewczyna zamknęła oczy.

Harry myślał

o obokornym motelowym domku, którego niewielki pokój wypełniały kolejno: miłość, poczucie winy i przemoc. Świat ulegał ciągłym zmianom. Czy kiedykolwiek jeszcze zapanuje w nim

spokój, jaki towarzyszył Harremu przez wszystkie lata, które spędził w swoim lesie? Czy kiedykolwiek jeszcze odnajdzie drogę do tamtego spokoju?

Nie. Tamta droga została odcięta.

Samochód zostawili na parkingu Międzynarodowego Portu Lotniczego w Des Moines. Zabrali z bagażnika swoje rzeczy i kupili bilety do San Francisco. Tennant włożył taurusa do torby Alison, Bagaż musiał przecież przejść przez kontrolę. Bez rewolweru, czuł się zupełnie bezbronny.

Do odlotu została im jeszcze godzina, poszli więc na kawę. Prawie się do siebie nie odzywali. Starali się zachować czujność, ale przecież nie wiedzieli kogo powinni się obawiać. W kafeterii pełno było osób w mokrych płaszczach przeciwdeszczowych. W powietrzu unosił się zapach wilgoci. Tennant przysłuchiwał się urywkom rozmów. Dotyczyły one spraw, o których ludzie zwykle rozmawiali w poczekalni na lotnisku, jednocześnie sprawdzając bagaż i karty pokładowe. Dzieci płakały, krewni machali sobie na pożegnanie, kochankowie szeptali sobie coś na ucho.

Przy sąsiednim stoliku jakiś mężczyzna mówił coś głośno do słuchawki telefonu komórkowego. Miał minę zadowolonego z siebie bubka, którego życie niezmiennie kręciło się wokół kolejnych pilnych interesów. Musimy wykorzystać tę szansę, John. Musimy, jeżeli chcemy nadal prowadzić tę grę według naszych zasad.

Tennant dopił swoją kawę, a potem porwał papierowy kubek na drobne kawałeczki. Przypomniał mu się pokój, w którym mieszkał Sammy Obe, ścinki gazet na podłodze. Obe mówił o jakimś znaku.

Oco mu chodziło? Czy klucza do własnej tożsamości należało szukać grzebiąc w szaleństwie?

Obe zgubił swoją osobowość wśród skrawków papieru.

Tennant był mokry. Zdjął płaszcz i przewiesił go przez ramię. Rękawem wytarł spocone czoło. Jakaś wysoka kobieta przeszła obok. Harremu kręciło się w głowie. Miał WTażenie, że brakuje mu powietrza. Zaduch panujący w pomieszczeniu, wilgoć parująca z mokrych ubrań, dusząca atmosfera.

- Chyba możemy się zbierać - powiedziała Alison.

Przeszli przez kontrolę i znaleźli wolne miejsca w zatłoczonej hali odlotów. Tłum był bezpieczny. Przez głośniki płynęły kolejne informacje o lotach. Omaha, Dubuque, New York La Guardia. Kakofonia dźwięków była irytująca.

Harry znowu miał przed oczami niewyraźny obraz z przeszłości. Maggie Silver, popioły ich miłości. Czy choć raz pomyślała o nim po tym jak się rozstali? Czy zastanawiała się, co się z nim stało? Może ona także miała to zdjęcie, które zrobił Obe. Może patrząc na nie myślała Ciekawe co się teraz dzieje z Harrym. Może, jeżeli jeszcze żyła. Tennant pomyślał, że kiedy byli razem, musieli planować wspólną przyszłość, tak jak to zwykle robią kochankowie. Co się stało z ich miłością? Czy wypaliła się razem z ideałami ludzi

z Haight? Nagle przypomniał sobie jej krzyk. Ktoś ją gdzieś zabierał, ciągnął ją za włosy, za ubranie, a ona opierała mu się..,

Tennant uciszył ten wewnętrzny krzyk. Wstał i zaczął chodzić w kółko, próbując rozluźnić napięte mięśnie. Co się stało z Maggie Silver? Dokąd ten ktoś ją ciągnął? Skoro to pamiętał, to znaczy, że musiał to widzieć. Dlaczego nie zrobił nic, aby jej pomóc? Nie mógł, nie był w stanie, coś albo ktoś powstrzymywał go.

Jeżeli jeszcze żyła.

Zapowiedziano lot do San Francisco. Wszedł za Alison na pokład samolotu, starając się stłumić w sobie wrażenie, że za chwilę zostaną uwięzieni w tej metalowej rurze, która wyniesie ich gdzieś, w zdradziecką przestrzeń, ponad chmury. Usiedli obok siebie. Alison zajęła miejsce przy oknie. Ich siedzenia znajdowały się na wysokości skrzydła, które wydawało się prawie niematerialne. Tennant przekartkował jakąś ulotkę zachwalającą przyjemności lotu liniami Biarritza. Wszystko mówiło mu, że ta podróż była nieunikniona. W pewnym sensie robił to, co wszyscy wygnańcy - wracał tam, skąd go wyrzucono. Miał mieszane uczucia co do tej podróży. Czuł obawę i dziwną ciekawość.

Czuł strach.

Patrzył na wsiadających do samolotu pasażerów upychających swój bagaż w schowkach, zajmujących miejsca i bezmyślnie bawiących się pasami przy siedzeniach. Wyrzwał przez okno. Pod skrzydłem tworzyły się kałuże. Kiedy startowali, deszcz wciąż jeszcze bębnił o skrzydło, a potem nagle chmury rozstały się i samolot otoczył blask słońca. Jednak ani niebieskie,

słoneczne niebo, ani spokojny odgłos silnika nie przywróciły Tennantowi równowagi. Odchylił trochę siedzenie i zamknął oczy. Jakiś nagły wstrząs szarpnął samolotem. Tennant wyprostował się.

- Zawsze wolałem szybować w przestworzach po narkotykach - powiedział.

Nie uśmiechnęła się. Wyrzała przez okno. Harry zastanawiał się, o czym mogła teraz myśleć. Czy przypomniało jej się ich niefortunne zbicie w motelu. Bardziej prawdopodobne, że myślała o wybuchu toyoty. Jej myśli należały tylko do niej, Harry nie miał do nich wstępu.

Podali im drinki. Harry zamówił sobie podwójną brandy. Zażartował, że jakoś musi pokonać swój strach przed lataniem, ale dziewczyna nic zareagowała. Wziął jej dłoń w swoją rękę. Była bezwładna i obojętna, jak kawałek gliny.

Czy wyłączyłaś wszystkie swoje obwody? zapytał.

Po prostu nic mam ochoty na rozmowę, Harry. Alison wypięła łyk swojej bloody mary i zajęła się obserwacją przestrzeni niebieskich. Kiedy słońce zaczęło świecić prosto w szybę, szybkim ruchem zaciągnęła zasłonę. Harry puścił jej palce. Był trochę przygnębiony.

Nawigator przyjaznym głosem oświadczył, że jeżeli spojrzą w lewo, to zobaczą Rocky Mountains. Wszystkie głowy posłusznie odwróciły się w jedną stronę. Tennant dokończył swoją brandy. Nie miał ochoty podnosić zasłony i przyglądać się jakimś łańcuchom gór, które przypominałyby mu tylko o przestrzeni, jaka dzieliła go od ziemi. Zamówił jeszcze jedną brandy. Pił ją powoli, czując jak ogarnia go miłe ciepło.

Spojrzał na Alison. Na jej powiekach dostrzegł delikatne żyłki. Przesunął palcami po wierzchu

jej dłoni. Reakcja dziewczyny zaskoczyła go. Alison zaczęła płakać. Łzy płynęły jej po policzkach. Zakryła dłońmi twarz.

- Alison?

- Wszystko w porządku. Za chwilę się uspokoję.

Łzy. Tennant nigdy nie wiedział, jak powinien się zachować, kiedy ktoś płacze. Czuł się wtedy bezsilny. Co było powodem tych łez? Spóźniona reakcja na to, co dzisiaj przeżyli? A może chodziło

o coś, o czym Tennant nie miał pojęcia.

Dziewczyna zmusiła się do słabego uśmiechu.

- Widzisz? Już mi lepiej. To był krótki sztorm.

Tennant bawił się buteleczką po brandy. Alison wyciągnęła z torebki papierową chusteczkę i przycisnęła ją do oczu. Potem oparła głowę o siedzenie i bezmyślnie wpatrywała się w przełączniki nad ich głowami.

- Czasami nie potrafię się opanować. Po prostu nagle zaczynam płakać.

Tennantowi nic bardzo chciało się wierzyć w te jej wyjaśnienia. Łzy nie brały się z niczego. Dokończył brandy, wstał i poszedł na tył samolotu, gdzie znajdowały się toalety. Idąc przyglądał się twarzom pasażerów: jakiś mężczyzna z laptopem na kolanach wpatrywał się uważnie w pojawiające się na ekranie komputera

tabele. Człowiek pracy, zawsze zajęty, zawsze w białej koszuli. Doskonały obraz psuła tylko atramentowa plama na mankiecie. Jakiś mały chłopczyk, wierząc się na kolanach swojej mamy wyciągnął rękę w stronę przechodzącego Tennanta. Matka spojrzała na Harry'ego przepaszającym wzrokiem. Zwyczajni ludzie, myślał Tennant. Tak cholernie normalni. Gdzieś jednak była granica między zwyczajnością a zwykłymi pozorami, tyle tylko, że on sam nie miał pojęcia, gdzie. Nie potrafił wyczuć niebezpieczeństwa, którego tak się obawiał.

W toalecie umył twarz i przyjrzał się swemu odbiciu w lustrze. Po raz pierwszy zauważył pewne podobieństwo do Raylanda. Niewielkie, ale niezaprzeczalne. Świadomość zależności jaka istniała między nim a jego ojcem była dziwna. Zastanawiał się, czy łączy ich jeszcze coś oprócz podobnego owalu twarzy. Wytarł ręce w papierowy ręcznik. Jeżeli Paul Lannigan był odpowiedzialny za tę olbrzymią lukę w pamięci Tennanta, to kto mu zapłacił za tę udaną "operację"?

Kto mógł obserwować go przez cały czas? Kto mógł wiedzieć, że przez ostatnie dziewięć lat mieszkał w stanie New York?

Rayland.

Ale czy z tego wynikało, że Rayland wiedział również, gdzie Harry był przedtem, w czasach, których nie pamiętał? Czy Rayland miał coś wspólnego z Lanniganem?

Tennant wyobraził sobie jakąś lewą transakcję. To jest mój syn. Chcę, żeby zapomniał o paru sprawach. Ile to będzie kosztowało? Nie, Rayland nie mógłby tak postąpić. Żaden ojciec nie zrobiłby tego swemu synowi. Pomimo starych uraz, które przeżyły ich związek, pomimo to, że

zerwali ze sobą wszelkie kontakty, Tennant był pewien, że jego ojciec nie zniżyłby się do czegoś tak okropnego, jak zafundowanie synowi drobnej amnezji. Chciałbym pamiętać ojca takim, jakim był przed laty. Dzieciństwo w Północnej Karolinie, wielki dom w stylu wiktoriańskim, ciężkie od bezruchu i wilgoci letnie popołudnia, hamak rozwieszony między dębami. Rayland i on, leżący w cieniu drzew i czytający książki. Nie chcę nawet pamiętać o tym, że miał cokolwiek wspólnego z tym typem Harkerem i z innymi kolegami od brudnych wojennych interesów.

Wyszedł z łazienki. Na zewnątrz czekał mężczyzna w czarnym płaszczu przeciwdeszczowym z naramiennikami. Był wysoki i sztywny i miał taki wyraz twarzy, jakby cierpiał na szczękoscisk.

Czy jesteś jednym z nich? Czy należysz do tego samego klubu, co oni, czy też jesteś aniołem? Tennant przestał się w tym wszystkim łapać. Dwie strony, dwie drużyny, z których każda miała inny cel. Powinni zacząć nosić plakietki, wtedy nie miałyby kłopotów z odróżnieniem dobrych od złych.

Tennant wrócił na swoje miejsce obok Alison. Dziewczyna siedziała z zamkniętymi oczami. Kiedy usłyszała, że się zbliża, otworzyła je i spojrzała na niego. Uśmiechnęła się z wahaniem. Tennant zapragnął przytulić ją do siebie, ale dziewczyna odwróciła twarz w stronę okna, przez które wpadały ostre promienie słońca. Przypomniała mu się intensywność uczuć, kiedy kochał się i Alison. Twarz Maggie Silver. Koniec snu. Mógłbym kochać tę dziewczynę. Mógłbym kochać Alison Seagrove tak samo, jak kiedyś kochałem Maggie Silver.

W San Francisco słońce otulała popołudniowa mgła unosząca się z nad Pacyfiku. Tennant pamiętał jeszcze tę mgłę, która zamieniała słońce w mleczno-żółtą niewyraźną kulę. Pamiętał, jak światło opuszczało ulice. Czasami, kiedy mgła spowijała tylko dolne partie budynków, San

Francisco przypominało miasto wybudowane na palach. Patrzył jak znika Golden Gate Park. jak zacierają się kontury zatoki i Haight tonie w nadchodzącym zmierzchu. Miasto na jakiś czas przestawało istnieć, by po chwili, wraz ze światłami pojawić się znowu. Tak było kiedyś. Teraz, jadąc taksówką przez centrum miasta, mijając kolejne klocki bloków, Tennant me auł. że wraca do swej przeszłości. Miał raczej wrażenie, że zmierza do serca nieznanego i niemożliwego do poznania miejsca. Miasto ze snów, na wpół zatarte, nie dokończone. Czy rzeczywiście kiedyś w nim mieszkał? Po co w ogóle zaczynał te poszukiwania?

Chciał wiedzieć. To go pchało naprzód. Wiedział już, że Maggie Silver tu nie będzie. Był tego pewien. Czuł to już wtedy, kiedy taksówka skręciła w kierunku Union Square, gdzie przez mgłę wciąż jeszcze prześwitywały promienie słońca. Nie było jej w tym mieście.

Alison podała taksówkarzowi adres. Chinatown. Kościół Si. Mary's.

Kierowca wyglądał jak stary hippis. Siwe włosy związał z tyłu w kucyk. Może kiedyś go znałem, pomyślał Tennant. Jechali teraz pod górę i Tennant zaczął się zastanawiać, kto wpadł na pomysł

wybudowania miasta na tak stromych wzgórzach. On też kiedyś próbował tu coś wznieść. Zbudować jakieś życie, jakąś miłość. Wierzył w duchy, w uczucie z innego wymiaru. Wtedy nie miał nawet pojęcia, gdzie przebiegała granica świata realnego.

Harry doznał dziwnego poczucia braku równowagi psychicznej, pogłębionego jeszcze przez nierzeczywistość San Francisco. Na chwilę przestało działać przyciąganie ziemskie. Alison ze współczuciem położyła dłoń na jego ręce. Wiedziała, czym dla niego było to miejsce. Domyślała się, co musiało się dziać w jego wnętrzu.

- Przepraszam - powiedziała cicho. - Za moje zachowanie w samolocie. To głupio z mojej strony...

- Daj spokój - przerwał jej.

- Posłuchaj, zależy mi na tobie, ale nie wiem, jak daleko mogę się posunąć. Poruszam się po omacku, Harry, a to mi nie odpowiada.

Pragnął, żeby któreś ze starych powiedzeń miało jeszcze jakiś sens. Płyn z prądem. Żyj chwilą. Wszystko brzmiało beznadziejnie słabo. Poruszam się po omacku. Tennant zastanawiał się, czy kiedykolwiek będą dokładnie wiedzieli dokąd tak naprawdę zmierzają. Spójrz w jutro. Co widzisz, Harry? Siebie i Alison spokojnie pielęgnujących własną miłość? Czas spojrzeć na wszystko realnie. Czy ktokolwiek mógłby po tym, co oni przeszli, siedzieć spokojnie na werandzie jakiegoś domku wsłuchując się w szum wiosennego wiatru? Czy mógłby zapomnieć o wszystkim? Odłożyć te wspomnienia na półkę, razem ze wszystkimi niechcianymi myślami?

- Dlaczego nie spotkaliśmy się w jakichś innych okolicznościach, Harry? Czasami myślę, że

bogowie nie są ani trochę wspaniałomyślni tam, gdzie w grę wchodzi uczucia.

- Wspaniałomyślni? Oni są bezlitośni - zauważył Tennant.

- Pragnęłabym dla nas czegoś dobrego. Chciałabym wierzyć, że istnieje jakaś sprawiedliwość, że kiedyś wszystko wróci do równowagi, ale dla nas chyba nie ma żadnej przyszłości. - Patrzyła na niego smutnym wzrokiem. - W ciemnościach nie da się zbudować niczego solidnego. Trzeba byłoby mieć coś, cokolwiek, na czym można by oprzeć całą konstrukcję. Nie wiem, co to by mogło być. W tej chwili jedyne, co czuję, to niepewność. Nie mam pojęcia kim naprawdę jesteś i co właściwie tutaj robimy. Czego możemy pragnąć, Harry? Na co mieć nadzieję?

Powiedziałaś, że ci zależy. Mnie też. Sądzę, że to już jest jakiś początek. To i tak jest o wiele więcej, niż się spodziewałem.

Alison westchnęła.

Początek czego? Czego możemy się spodziewać? Może spotkaliśmy się tylko na skrzyżowaniu naszych dróg, a teraz każde podąża w swoją stronę.

- Nie sądzę, żeby było tak, jak mówisz.

- Skąd ten optymizm?

- Po prostu próbuję spojrzeć na to od innej strony.

Alison nie była już tą samą osobą co na początku. Jej determinacja ulotniła się. Tamta dziewczyna nie czekałaby na zesłaną z niebios łaskę i wiarę. Harry nigdy nie zastanawiał się nad tym, czym był optymizm. W jego codziennej, szarej egzystencji pragnienia nie miały żadnego znaczenia. Jego potrzeby były niewielkie. Kiedy zjawiała się ta dziewczyna, wszystko się zmieniło. W tym miejscu mapy, które wcześniej było puste, nagle zaczęły pojawiać się jakieś

kontury. Przestrzeń zapełniła się niespodziewanie jakimiś cieniami.

Tennant przyglądał się budynkom, smugom mgły i surrealistycznym plamom słońca. Jak spod ziemi wyrósł przed nimi mim z pomalowaną na biało twarzą, ubrany we frak i w cylinder. Udawał, że nie może się wydostać z niewidzialnego pudła. Jego ręce w białych rękawiczkach pchały niewidzialne ściany. Twarz wyrażała paniczny strach. Tennant obejrzał się za nim.

Mijali kolejno Nob Hill, Huntington Square i Fairmont, i ten bar u Hopkinsa, w którym miała miejsce jego ostatnia kłótnia z Raylandem. Choć było to tak dawno, Tennant miał wrażenie, że policzek wciąż pali go od uderzenia. Na trawniku grupa ludzi wykonywała powolne ruchy t'ai chi. Harry chciał prosić taksówkarza, aby zatrzymał się. Czuł, że nie ma potrzeby jechać dalej. To miasto było niezgłębione. Nie miał szans na odnalezienie tutaj swej przeszłości. Cała ta wyprawa pozbawiona była jakiegokolwiek sensu, jednak Harry nie zdołał nic z siebie wydusić. Miał sucho w gardle.

Taksówkarz zatrzymał się w Chinatown, na skrzyżowaniu ulic Grant i California. Alison zapłaciła za przejazd i oboje z Tennan-tem wysiedli. Mgła była przenikliwie zimna. Harry postawił kołnierz swego płaszcza.

Naprzeciwko mieli kościół St. Mary's, bryłę z czerwonej cegły, która niewiadomo dlaczego przycupnęła akurat na skraju Chinatown. Wokół niej pełno było chińskich sklepików z pa-miątkami i restauracji. Przedsiónek Chinatown. Gdzieś z boku słyhać było dźwięki gitary. Płynnie zmieniające się akordy: durowy, mollowy, z septymą. Tennant pomyślał o swojej gitarze, którą gliniarze połamali podczas rewizji. Nie pamiętał, czy kiedykolwiek potrafił na niej grać. Była elementem życia zupełnie innej osoby.

Alison postawiła torbę na chodniku i wyjęła fotografię zrobioną przez Obe'a.

- Zdaje mi się, że zdjęcie zostało zrobione właśnie z tego miejsca. - Spojrzała na kościół. Obok przemknął wagonik wiozący turystów do Fisherman's Wharf.

Tennant nie mógł oprzeć się dziwnemu wrażeniu, że czas i prąd elektryczny były jednym i tym samym. Witrynę pobliskiej księgarni zapełniały jakieś religijne czasopisma i książki. Chodnikiem szedł jakiś dziwny mężczyzna. Kiedy ich mijał, usłyszeli, że nuci pod nosem znaną melodię. Przechodzień spojrzał na nich jak na intruzów i poszedł dalej, mruczając coś ze złością.

- Nie pamiętam - powiedział Tennant bezbarwnie. Był rozczarowany. Wyobrażał sobie, że przeszłość wróci do niego jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, a tymczasem nic sobie nie przypominał.

- Wasza piątka stała tutaj. Obe robił zdjęcia. Zobaczyłeś coś po drugiej stronie ulicy, wyciągnąłeś w tamtą stronę rękę. Wszyscy odwrócili głowy w kierunku, który wskazałeś. Co takiego tam zobaczyłeś?

Nic.

- Co zobaczyłeś?

Uparcie wpatrywał się w kościół St.Mary's. Coś musiało się tam wydarzyć. Coś, co miało związek z tym kościołem. Z księgarni wyszła kobieta z jakimś pakunkiem. Ze wszystkich sił starał się wywołać jakieś wspomnienie, choćby niewyraźne. Odwrócił twarz w drugą stronę. Cokolwiek wydarzyło się przed tym kościołem ponad dwadzieścia lat temu, Tennant tego nie pamiętał.

- Przykro mi - powiedział.

Alison podniosła torbę.

- Trudno. Nie zaszkodziło spróbować - stwierdziła. - Miałam nadzieję, że to miejsce przywróci ci pamięć.

- Zaczekaj. Daj mi jeszcze minutkę. Tennant zrobił kilka kroków w przód, potem w tył, przyglądając się kościołowi z różnych ujęć, tak jak fotograf, który ocenia skąd najlepiej byłoby zrobić zdjęcie. Tylko, że to zdjęcie było wyjątkowe. Tennant mógł je wywołać tylko w ciemni swego mózgu. Stał twarzą w twarz z przeszłością i wciąż nie mógł sobie niczego przypomnieć. Był zrozpaczony, zdesperowany, odczuwał paniczny strach przed swoją nicością. Pragnął uwolnić swój umysł z kleszczy, w których się znajdował, odnaleźć właściwy trop. Chciał odnaleźć całą swoją przeszłość, ale byłby szczęśliwy, gdyby odnalazł choć niewielki jej fragment. Czy pragnął zbyt wiele?

- Nic — powiedział.

- Trudno. Zostawmy to. Chodźmy do Haight. Przyjrzymy się tej Schrader Street.

Zgodził się, chociaż jakiś wewnętrzny głos mówił mu, że powinien jeszcze zostać na

skrzyżowaniu Grant i California, w miejscu, gdzie zaginął klucz do zagadki. Zapach chińskich potraw unosił się w rzadniejącej mgłę. Tennant poczuł nagle, że jest bardzo głodny.

Dziewczyna pociągnęła go za rękaw.

- Chodźmy już.

Przewiesił torbę na drugie ramię. Na krótką chwilę słońce oświetliło kościół. Czerwona cegła przybrała ciepły odcień. Z kościoła wyszedł duchowny. Skreślił w prawo, ku sercu Chinatown. Duchowny. Czy tamtego dnia widział jakiegoś księdza? Czy chodziło o jakiś obrzęd religijny? Nie pamiętał. Może za bardzo starał się przekonać sam siebie, że coś tam widział.

- Chyba nie ma sensu zostawać tu dłużej — powiedziała Ali-son. - Złapmy jakąś taksówkę.

Harry ruszył za dziewczyną. Raz tylko obejrzał się na kościół. Monumentalna budowla pochłonęła całą przeszłość.

Taksówkarz zawiózł ich do Haight. Mgła rozproszyła się zupełnie. Był jasny, dość wietrzny dzień. Tennant opuścił szybę w samochodzie. W szumie wiatru usłyszał szepty. Tędy, Harry. Dalej. Witaj znowu.

Słoneczna kula wyglądała jak chore oko.

Taksówka wlokła się w kierunku Haight Street. Wysiedli przy Panhandle. Tennant nie miał ochoty ruszać się z miejsca. Stał u wejścia do labiryntu, w którym zgubiło się już wielu nieszczęśliwców. Znaleźli się w pułapce, jak muchy schwymane w szklaną butelkę. Niedaleko stąd był Golden Gate Park. Tennant przypominał sobie tylko wilgoć panującą w ogrodach botanicznych Conservatory of Flowers, orientalne rzeźby lwów strzegących wejścia do muzeum, stada gołębi.

Kiedy tak szedł po trawie, miał przed oczyma obraz parku sprzed lat: szalejące psy, zapach marihuany, młodzi ludzie w przepaskach na włosach, w sandałach i kolorowych ciuchach, nagie dzieci malujące się nawzajem farbami, kwiaty, gitary, ludzie rozdający spaghetti głodnym ćpunom i szumowiny, które do Haight przyciągała perspektywa napełnienia sobie za darmo brzucha. Stare dzieje. Poruszenie wśród duchów. Tennant pojawił się w parku na skraju Haight-Ashbury i zakłócił im spokój.

Przez Panhandle można było dojść do Schrader, która dalej przechodziła w Haight Street. Tennant przystanął. Zdawało mu się, że po przeciwnej stronie ulicy widzi siebie samego sprzed dwudziestu kilku lat: długie włosy, broda, nieco chwiejny chód. Obejmował ramieniem Maggie Silver. Ich głowy stykały się. Świat poza nimi samymi nie istniał. Idylla, cudowne, słoneczne lato, a potem zaćmienie. Dziwne i przerażające.

Obraz zniknął. Chodnikiem szedł tylko mężczyzna z żółtym psem, a obok Tennanta stała Alison, a nie Maggie Silver.

- Przejdźmy na drugą stronę - powiedział rozglądając się, czy nic nie nadjeżdża.

Zrobili za ledwie krok, kiedy drogę zajęła im szara limuzyna. Tylne drzwi otworzyły się. Z samochodu wysiadł mężczyzna.

Kolejny twój jego wyobraźni?

- Jezu Chryste - zdołał tylko wykrztusić Harry.

Ku niemu szedł jego ojciec — Rayland Tennant.

W świetle słońca mężczyzna zdawał się przezroczysty. Wyglądało to, jakby promienie przechodziły przez jego skórę. Harry zachował w pamięci zupełnie inny obraz ojca, silnego, dumnego, zachowującego się tak, jakby świat należał do niego. Kontrast między wspomnieniami, a tym, co widział, był ogromny. Rayland wyglądał na chorego. Miał żółte białka oczu i bezbarwne wargi. Tennant nagle zapragnął go uścisnąć i zaproponować, żeby obaj zapomnieli o tym, co się zdarzyło w przeszłości, pogrzebali dawne waśnie. Zrozumiał, że tak naprawdę, nigdy nie przestał kochać tego człowieka. Ta świadomość nie zmniejszyła jednak zaskoczenia i napięcia, jakie odczuwał. Przeciwnie, napięcie to jeszcze wzrosło, kiedy zauważył, że na tylnym siedzeniu limuzyny siedzi jeszcze jedna osoba, której twarzy nie widział. Kierowcę zasłaniała przydymiona szyba.

- Harry - zaczął Rayland.

- Dziwne, że akurat tutaj się spotykamy - powiedział Tennant. W jego głosie czuło się zdenerwowanie, nad którym starał się zapanować. Spokojnie Harry, powtarzał sobie w myślach. Udawaj, że spotkanie z ojcem w centrum San Francisco jest dla ciebie najnormalniejszą rzeczą na świecie. Kawa, piwo. Pogadajmy o starych czasach. A co nowego?

- Przypuszczam, że dziwi cię nie miejsce, ale sam fakt, że się spotkaliśmy. - Rayland

wyciągnął rękę i dotknął ramienia syna. Spojrzał przelotnie na Alison, która stała kilka kroków z tyłu.

Tennant opanował chęć cofnięcia się przed dotykiem Rayianda. To był jego ojciec. Ta sama krew.

- Masz cholernie dobrych tropicieli, Rayland.

- Nigdy nie znośłem amatorszczyzny. - Rayland rozejrzał się wokół. Z pobliskiego drzewa poderwało się kilka ptaków wystraszonych nagłym rykiem silnika.

Tennant spojrział na limuzynę. Postać na tylnym siedzeniu wciąż siedziała nieruchomo. Silnik limuzyny warknął głośniej. Rayland wzdrygnął się lekko. Miał minę człowieka, któremu w końcu udało się przypomnieć sen sprzed lat. Wciąż nosił obrączkę, gruby, złoty krążek z wygrawerowanymi inicjałami jego i żony. Miał zadbane dłonie.

- Trochę się zmieniłem od naszego ostatniego spotkania. Wkroczyłem w ten okres życia, który niektórzy nazywają jego zmierzchem. - Uśmiechnął się do syna. - Nigdy nie sądziłem, że dożyję takiego wieku. Liczyłem na sześćdziesiąt, najwyżej na sześćdziesiąt pięć lat.

W głowie Tennanta kłębiły się pytania. Nie wiedział od czego ma zacząć.

- Dlaczego kazałeś nas śledzić?

Rayland nie zwrócił uwagi na pytanie Harrego.

- Kiedyś byliśmy sobie bardzo bliscy. Rzadko spotyka się ojca i syna, którzy byliby ze sobą tak zżyci, jak my dawniej, Harry. Często o tym myślałem. Zbyt często. Te wspomnienia były dla mnie bardzo bolesne.

- Unikasz odpowiedzi na pytanie, Rayland.

Starzec pokręcił głową.

- Wyjaśnienia, jak doszło do naszego spotkania nie interesują mnie tak bardzo jak sam fakt, że znowu jesteśmy razem, Harry.

- Ja bym tego tak nie nazwał.
- To, że znowu cię widzę... - Rayland wykonał nieokreślony ruch ręką, jak ktoś, komu brakuje słów. - Nie potrafię wyrazić tego, co w tej chwili czuję.
- Nie słuchasz mnie. Ja nie mam ochoty na żadne pojednania.
- Wciąż jeszcze mi nie wybaczyłeś? Po tylu latach? Czuję się zawiedziony. Tamto, to przecież przeszłość. - Rayland był bardzo poważny. - Każdy ma prawo do uczciwego procesu. Seryjny zabójca i facet oskarżony o molestowanie dzieci, wszyscy najgorsi kryminaliści. Mają prawo do najlepszej obrony, jaką zdołają znaleźć.
- Albo kupić.
- Harry, przecież już o tym rozmawialiśmy. Harker to przeszłość. Historia. To było dawno temu.
- Harker był potworem, na litość boską.
- Zastanawiam się ile wysiłku kosztuje cię takie nieprzejednanie. Marnujesz energię na pielęgnowanie nienawiści. Daj spokój, Harry. Nie odpychaj mnie dłużej. Tęsknię za tobą. Tęsknię o wiele bardziej, niż potrafię to wyrazić. Już czas pogrzebać przeszłość.

Ja też za tobą tęsknię, pomyślał Harry. Kiedy byłem mały, zawsze byłeś przy mnie, ale gdzie się podziałeś później? Tennantowi przypomniał się mały drewniany domek na drzewie, który Rayland zbudował mu kiedyś na tyłach ich domu. On, który nigdy nie miał zdolności do prac manualnych, musiał się nieźle napocić, żeby stworzyć tamto cudo dla swego syna. Była tam nawet mała tabliczka z napisem HARRY'S PLACE. Tak, dzieciństwo Tennant miał wspaniałe, pomimo to, że jego matka zmarła, gdy był jeszcze bardzo mały. Rayland starał się jak mógł, żeby

syn nie czuł się bez niej samotny. Był dla chłopca ojcem, matką i przyjacielem w jednej osobie.

Prawda, że oburzenie i sprzeciw Harry'ego nie były już tak silne, jak przed laty, ale mimo wszystko nie mógł się zdobyć na to, żeby uścisnąć ojca, jak gdyby nic się nie stało. Rayland był przecież partnerem tego rzeźnika, jak by na to nie patrzeć.

- Stałeś wtedy po stronie wojny, Rayland - powiedział Tennant. - Ja wybrałem inną drogę.

- Nie nazwałbym narkotyków drogą, Harry. Kiedyś miałem nadzieję, że coś osiągniesz w swoim życiu. Miałeś większe szanse niż inni młodzi ludzie. Mogłeś iść na każde studia. Miałeś szansę coś zrobić, do czegoś dojść. Pamiętam, że kiedy się urodziłeś powtarzałem sobie, że jesteś i będziesz kimś niezwykłym. A tymczasem... - Stary człowiek był przygnębiony.

Kimś niezwykłym, myślał Tennant. Kimś bez życia, bez przeszłości. Czy to nie jest niezwykle?

- Nie możesz się spodziewać, że inni zrealizują twoje ambicje i oczekiwania, Rayland. Nie możesz kierować losem innych. Każdy ma własne życie.

Jedna brew Raylanda uniosła się. Na jego twarzy malował się wyraz niedowierzania i wątpienia, który tak często pojawiał się

przy wypowiedziach jego sądowych przeciwników. Tennant miał wrażenie, że ojciec ma ochotę spytać: Naprawdę, Harry? Sądzisz, że każdy ma własne życie? Rayland posłał w kierunku Alison uśmiech, który prawdopodobnie oznaczał współczucie.

Silniejszy podmuch wiatru poruszył korony drzew. W całym Panhandie słyhać było tylko szelest liści. Rayland stał zasłuchany w tę zieloną melodię, jak człowiek, który tęskni za życiem z dala od miasta. Tennant zastanawia! się, czy w spojrzeniu ojca nie czai się żal. Może pragnął cofnąć się w czasie, zacząć żyć od początku, tylko zupełnie inaczej niż dotąd. Harry nigdy nie sądził, że Rayland jest w stanie żałować czegokolwiek. Kiedyś jego ojciec nie zmieniał raz podjętych decyzji. Być może z wiekiem zmienił się nie tylko jego wygląd?

- Nigdy nie zapomnę tamtego chłopca. Ciebie, Harry. Moje uczucia pozostały niezmienione. Wciąż cię kocham, Harry. I nigdy nie przestanę.
- Nie wątpię w to, Rayland.
- W takim razie zawrzyjmy pokój. Chciałbym, żebyśmy znowu byli przyjaciółmi.
- Chcesz tak po prostu zamknąć ten rozdział?
- Chcę zgody. Chcę odzyskać mego syna.
- Nie jestem jeszcze na to gotowy. Być może kiedyś, ale na pewno nie teraz.
- Harry, czy ty nie zdajesz sobie sprawy z tego, że czas nie stoi w miejscu? Ja mam już siedemdziesiąt pięć lat. Czasem w nocy, kiedy zamykam oczy, widzę swój nagrobek. Imię wykute w granicie. Data urodzin i śmierci. Nawet nie masz pojęcia jakie to uczucie. Bywa, że nie chcę zasnąć w obawie, że mogę się nie obudzić. Leżę długo z otwartymi oczami. Takie chwile są

najgorsze. Wtedy przychodzą wspomnienia. Widzę twoją twarz i płaczę. Płaczę, Harry. Rayland Tennant płacze. Leży w ciemnościach i przypomina sobie, jak zabrał cię kiedyś do Grand Canyon. Niebo było czyste i niebieskie. Panował okropny upał, a ty bałeś się, że spadniesz w przepaść. Trzymałem cię wtedy mocno za rękę, bo za nic w świecie nie mogłem stracić swego małego chłopca. - Rayland podniósł głowę i spojrzał na syna. Miał łzy w oczach. - Raz w Virginii poszliśmy do wesołego miasteczka. Postanowiliśmy przejechać się tą kolejką, roller coaster. Pamiętam jak dziś ten paniczny strach, który poczułem, kiedy uświadomiłem sobie, że ta cała konstrukcja może runąć. Objąłem cię wtedy mocno. Chciałem cię uratować. Byłem chyba wtedy bliski ataku serca. - Zamknął na moment oczy, wytarł je palcami i uśmiechnął się. - Każdy ojciec boi się o swego syna, o każdy jego krok, Harry. Miłość i strach są nierozdzielne.

Tennant pamiętał tamtą jazdę coasterem. Pamiętał zatykający pęd powietrza i przyspieszone bicie serca. Pamiętał jak ludzie krzyczeli, kiedy kolejka nurkowała w dół z olbrzymią prędkością. Maggie Siher też kiedyś krzyknęła.

- Miło tak sobie stać i gawędzić, Rayland, ale ty wciąż jeszcze nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Dlaczego kazałeś nas śledzić?

Rayland Tennant nie odezwał się. Najwyraźniej zatopił się we wspomnieniach i nie miał ochoty wrócić do teraźniejszości.

- Czy mówi ci coś nazwisko Sajac? Albo Paul Lannigan?

Rayland zaprzeczył.

- Masz kłopoty, Harry - powiedział wolno i jakby niechętnie.

- Masz na myśli tę sprawę z narkotykami...
- Nie chodzi mi o to, że naruszyłeś prawo. Nie chodzi mi ani o narkotyki, ani o ciało, które znaleziono w twoim pokoju hotelowym, ani o to, że nie powinieneś być wyjeżdżać ze swego stanu, bo zostałeś wypuszczony za kaucją. Mam na myśli zupełnie coś innego.
- To znaczy?
- To znaczy, że nie wiem, czy będę mógł cię w dalszym ciągu ochraniać.
- Ochraniać mnie? O co ci do cholery chodzi?

Tennant cofnął się o krok. Co znaczyła jedna więcej zagadka w gąszczu niejasności, w którym tkwił? To była istna puszka Pandory.

- Czy nigdy nie zastanawiałeś się, jakim sposobem udało ci się uniknąć Wietnamu? Nie mogłeś się wymówić żadną chorobą. Nie byłeś studentem. Po prostu ćpałeś sobie w San Francisco, a jednak nie dostałeś powołania. Nigdy nie stanąłeś nawet przed komisją wojskową. Sądziłeś, że twój adres i nazwisko zawieruszyły się gdzieś?

W tamtych czasach, w Haight-Ashbury, Wietnam był dla nich czymś bardzo odległym. Istniał tylko w mało mówiących doniesie

niach z wojny, w której młodzi ginęli za sprawy starych. Mało prawdopodobne było, aby ci, którzy trafili do Haight jeszcze zanim zaczęły się antywojenne krucjaty, zdołali otrzeźwieć między jedną dawką a drugą na tyle, by kwalifikowali się na “wycieczkę” do południowoschodniej Azji. Harry sądził po prostu, że jego to wszystko nie dotyczyło, gdyż był człowiekiem z Haight. Wierzył, że w takim jak to miejscu, między wyrzutkami i dziwakami nikt nie szukał nowych kandydatów do swoich walecznych armii. Oczywiście mylił się sądząc, że odrzucając zasady, którymi rządziło się wtedy społeczeństwo, odrzucał również obowiązek brania udziału w wojnach tego społeczeństwa. Po prostu palił trawkę i serwował sobie kolejne dawki kwasu. Grał rolę kochanka i poety, a nie żołnierzyka.

- Miałem pewne kontakty i nie zaprzeczam, że się nimi posłużyłem. Nie chciałem, żeby mój syn zginął w jakiejś bezsensownej wojnie. Czy wyrażam się dość jasno? Chroniłem cię wtedy.

Harry nie odpowiedział. Nigdy mu nawet nie przyszło do głowy, że to dzięki Raylandowi uniknął powołania do wojska. Zastanawiał się, dlaczego ojciec powiedział mu to właśnie teraz. Czy chciał przekonać go, że jest wart miłości swego syna, że powinni zawrzeć pokój?

- Podczas gdy ty świetnie się bawiłeś w tym półrealnym światku, ja pociągałem za sznurki w rzeczywistym świecie. Nie chciałem, żeby przysłano cię z tej cholernej dżungli w zakrwawionym worku. Nie przeżyłbym tego. - Rayland zachwiał się. Był bardzo słaby. Żyłki na jego powiekach były tak wyraźne, jak narysowane atramentem, cienkie linie. — Potem, kiedy przeniosłeś się do stanu New York, doskonale wiedziałem czym się zajmujesz. Dowiedziałem się o twoich układach z Bobbym Delacroix. Raz musiałem interweniować, kiedy agenci DEA odkryli, że dostarczasz

mu narkotyki. Kosztowało mnie to sporo energii i zachodu, Harry. Niektórych agentów można kupić, innych trzeba przekonać inaczej. Obietnica, czy mały szantaż, sam wiesz. Rozumiesz mnie teraz, Harry? Byłem twoim aniołem stróżem.

Anioł stróż? Właśnie tak Alison określiła tego snajpera z motelowego parkingu.

- Frank Rozak powiedział ci przecież, żebyś za bardzo nie podskakiwał.

- A więc Frank Rozak jest jednym z twoich cholernych psów myśliwskich? -- przerwał Tennant. Oczywiście.

- Dlaczego do licha zwałeś zanim on zdążył skontaktować się z oskarżycielem? Dlaczego nie zaczekałeś tych parę godzin? Dlaczego nie posłuchałeś tego człowieka tylko wpakowałeś się w tę... nazwijmy to, niefortunną przygodę. - Rayland był teraz wściekły. - Teraz nie jestem pewien, czy posiadam jeszcze wystarczające wpływy, żeby cię z tego wyciągnąć. Być może już mi je odebrano.

- Kto ci je odebrał? Nic nie rozumiem. W ogóle nie mam pojęcia o czym ty mówisz.

Rayland białą dłonią dał mu znak, żeby zamilkł.

- Są rzeczy, których nie da się wyjaśnić. To wszystko, co mogę ci powiedzieć, Harry. - Był zmęczony i wyczerpany. On, niegdyś tak potężny, wyglądał jakby odebrano mu wszelką władzę.

- Jeżeli będziesz kontynuował to swoje śledztwo, nie będę mógł zapewnić ci bezpieczeństwa. Zamieszanych w to jest kilka wpływowych osób. Rozumiesz?

- Jakich osób? W co zamieszanych? Nienawidzę tych gównianych tajemnic.

Rayland przez chwilę milczał. Patrzył na Alison, która nie brała udziału w tej dziwnej konfrontacji. Nie wiedziała, czy może się wtrącić.

- Postaram się wyrazić to tak jasno, jak tylko potrafię. Trzymaj się z dala od przeszłości. Trzymaj się z dala od tej dziewczyny.
- Dlaczego?
- Ponieważ mogą cię przywieźć do domu w plastikowej torbie. Przez te wszystkie lata starałem się temu zapobiec, a teraz mam wrażenie, że to, czego zawsze się tak bałem, może się spełnić.
- O czym ty mówisz?
- Posłuchaj mojej rady. Zostaw w spokoju przeszłość i rozstań się ze swą młodą towarzyszką podróży. Nic więcej nie mogę ci powiedzieć.
- To za mało. Dlaczego mam zostawiać to wszystko? Co cię właściwie obchodzi, co ja robię?
- Jeżeli będziesz chciał to ciągnąć, to nie ma dla ciebie przyszłości. Nie będę już mógł ci pomóc. Bóg jeden wie, ile mnie kosztowało przekonanie ich, żeby dali ci jeszcze jedną szansę. Chcieli cię widzieć martwego. Chcieli skończyć z tobą i tą dziewczyną raz na

zawsze. Mieć was z głowy. Nawet zapadła już decyzja. Dosłownie w ostatniej chwili udało mi się wszystko odkręcić. Nie masz pojęcia, za jaką cenę.

- Ten facet na parkingu, to ty go przysłałeś.

Rayland nie odpowiedział. Miał zmęczoną twarz. Nerwowo rozglądał się. Kimkolwiek byli tamci, wycisnęli ze staruszka wszystko, co mogli. Tennant spojrzał na limuzynę.

- Harry, nie chcę, żebyś zginął.

- Wcale nie mam na to ochoty, Rayland.

-Harry, proszę. - Rayland wyciągnął rękę i objął dłonią nadgarstek ręki syna. - Jeszcze nigdy nikogo o nic nie błagałem. Teraz to robię. Nie daj się zabić za coś, co nie ma już znaczenia. Daj temu spokój.

-Jak mogę to zostawić, na litość boską. Przecież gdzieś tam została część mnie. Pewne elementy mego życia nie pasują do siebie. Ja muszę to wszystko jakoś poukładać, zrozumieć. Chcę mieć życie w jednym kawałku. Czy potrafisz to zrozumieć?

- Ważniejsze jest, żebyś przeżył. Lepiej żyć i czegoś nie pamiętać, niż zginąć w jakiś okropny sposób.

- Ale ja już nie potrafię tak żyć. Chcę wiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi. Gdzieś zgubiłem dwanaście cholernych lat mego życia, a nawet więcej. Czy ty byś mógł tak po prostu odejść?

Rayland wyjął z kieszeni chustkę i wytarł nos.

- Ostrzegam cię, Harry. Daj temu spokój. Pamiętaj o tym. To samo tyczy się twojej małej

przyjaciółki. Chyba nie chciałbyś widzieć jej... uszkodzonej?

- Ona sama za siebie odpowiada, Rayland. Nie sprawuję nad nią opieki.

Rayland spojrział na limuzynę. Ulicą przejechała z hukiem ciężarówka załadowana drzewem. Cień na tylnym siedzeniu limuzyny poruszył się nieznacznie. Rayland zrobił krok w kierunku syna i rozłożył ramiona chcąc go objąć.

- Nie umieraj. Proszę cię.

Harry poczuł, jak otaczają go ramiona ojca. Na moment wróciło dawne przywiązanie i miłość do tego człowieka. Czuł, jak słaby jest jego ojciec. Ogarnął go straszliwy smutek. W tej chwili żałował tych wszystkich lat, które spędził z dala od niego. Mógł przecież zignorować istniejące między nimi różnice, zaakceptować fakt, że po prostu są inni. Różne poglądy na sprawy moralności nie mogły przecież przekreślić uczucia, jakie łączyło ojca i syna, a tak właśnie się stało.

- Kocham cię, Harry i nie potrafię znieść myśli o twojej śmierci - wyszeptał Rayland. Te słowa były przeznaczone tylko dla Harry'ego. Nikt prócz niego nie słyszał tego wyznania. - Jesteś dla mnie wszystkim. Zawsze tak było.

Tennant nie puścił ojca. Objął go mocniej. W gardle czuł dławiący splot uczuć: miłości i bólu, żalu i ulgi. Przeklinał własny upór, który przez tyle lat trzymał go z dala od ojca. Problem z uczuciami polega na tym, że ludzie nie zawsze potrafią się do nich przyznać. Lekceważą je, tłumią je w sobie, zapominają, że taka miłość jest czasami jedyną w życiu i jeżeli się ją ignoruje, rani się samego siebie.

- Jeżeli nie chcesz przerwać tych poszukiwań, mogę przynajmniej spróbować udawać, że to

zrobiłeś. Powiem im, że przystałeś na nasz układ.

- Powiesz komu?

- Nie sądzę jednak, że tak od razu przestaną was obserwować. Tego nie mogę wam obiecać. Moje źródło jest już na wyczerpaniu. Rozdałem już wszystkie karty. Nic więcej nie mogę zrobić.

- Kim są ci ONI, Rayland? Kim są ci twoi towarzysze? W co ty jesteś wplątany? Może gdybym to wiedział, mógłbym...

- To wszystko, co mogę powiedzieć - Rayland odsunął się. - Mam nadzieję, że zdołałem cię przekonać, Harry. - Podniósł głos, aby człowiek w limuzynie usłyszał go. Potem wyciągnął rękę, którą Harry uścisnął. W tym geście było coś definitywnego, tak jakby to było ich ostatnie pożegnanie. - Idź, żyj swoim życiem. Zapomnij o tamtych bzdurach. - Ojciec Tennanta odwrócił się i odszedł w kierunku limuzyny. Na chwilę postać na tylnym siedzeniu wyłoniła się z cienia. Tennant miał wrażenie, że skądś zna tę osobę. Gorączkowo szukał tej twarzy w pamięci. Rayland wszedł do samochodu, drzwi limuzyny zatrzasnęły się za nim i wóz ruszył.

Tennant patrzył za nim długo. Był świadom tego, że Alison wciąż stoi za jego plecami. Spojrzał w górę w słońce. Nad dachami zaczynały się zbierać stada chmur. Myślał o siedzącym w szarej limuzynie Raylandzie. Wracał do tego koszmarnego świata, o którym nie mógł powiedzieć nawet swemu synowi.

Tennant odwrócił się w stronę dziewczyny. Zamyślona, z rękami wepchniętymi głęboko w kieszenie płaszcza i wzrokiem utkwionym w ziemię, dreptała w miejscu.

Sądzę, że to, co usłyszałam było przeznaczone również dla mnie. To ostrzeżenie było skierowane tak samo do ciebie, jak i do mnie. Masz się trzymać z dala od swojej przeszłości i z dala ode mnie. On nic jest w stanie ochraniać twego tyłka, chyba że okażesz się grzecznym harcerzykiem, który robi to, co mu każą. W każdym razie, wiemy dlaczego jeszcze nie dołączyliśmy do Sajaca. Tatuś po prostu strzegł swej pociechy. - Kopnęła jakieś źdźbło trawy. - W porządku. Kocha cię i chce dla ciebie jak najlepiej, ale dlaczego tak mu zależało na tym, żebyś tego dalej nie ciągnął?

Tennant przyjaźnie uścisnął ramię dziewczyny. Wyobrażał sobie, że odwrotnie przytknął do oczu lunetę. Zobaczył dwoje maleńkich ludzi zamkniętych w zbyt wielkim dla nich świetle. Zwrócił się w stronę Schrader Street. Coś mówiło mu, że powinien zakończyć poszukiwania właśnie w tym miejscu, ominąć Schrader, zostawić to wszystko, posłuchać rady ojca. Ale to, co wiedział, nie wystarczało mu. Skoro zabrnął już tak daleko, dlaczego nie miał dociągnąć tego do samego końca.

Kiedy zszedł z chodnika na ulicę zdał sobie sprawę, że zna człowieka z tylnego siedzenia limuzyny. To był Noel Harker.

Zatrzymali się na rogu Schrader Street. Od i^x Haight dzieliło ich zaledwie kilka bloków. ||p1|k Tennant niepewnie spojrział w tamtym kierun- | fi ku. Przy którym z tych budynków stało kiedyś Ł S rusztowanie? Harry miał wrażenie, że znajduje się na ruchomych piaskach, które w każdej

chwili mogły go wchłonąć.

Alison wzięła go za rękę. Ruszyli w górę Schrader. Większość budynków zbudowano w stylu wiktoriańskim. W blasku słońca zdawały się aż kapać od ornamentów: zabawne balkony, wystające ze ścian, trójkątne okienka, które śledziły każdy ich ruch niczym wielkie obiektywy kamer. Za szybami czaiły się jakieś niewidoczne twarze. Tennant przypomniał sobie Noela Harkera siedzącego w limuzynie. Zastanawiał się, dlaczego ojciec utrzymywał kontakty z tym rzeźnikiem. Co sprawiło, że tych dwóch krążyło po tej samej orbicie. Oczywiście, jego ojciec obracał się kiedyś wśród producentów broni. W praktyce oznaczało to kontakty z Pentagonem. Może wciąż utrzymywał stare “przyjaźnie”, ale dlaczego Harker był z Raylandem właśnie tego dnia? Odpowiedź nasuwała się sama: Harker musiał być jednym z tajemniczych towarzyszy Raylanda. Tylko co to właściwie oznaczało?

- Który dom, Harry? - spytała Alison niepewnie. Pamiętasz? - Jej niepewność była zrozumiała. Spotkanie z Raylandem. Ostrzeżenie, żeby trzymali się z dala od tego miejsca. Alison chciała przejść przez to jak najszybciej, wyprzedzić niebezpieczeństwo. Tennantowi wciąż jeszcze dzwoniły w uszach słowa ojca. Kocham cię, Harry. Nie zniósłbym twojej śmierci. Śmierci. He czasu jeszcze im zostało? Czy ktoś zaplanował już ich śmierć? Czy stanie się to

właśnie tutaj, na jednej z ulic w Haight-Ashbury, w biały dzień? Nic więcej nie mogę ci obiecać. Zrobiłem wszystko, co w mojej mocy. Czas przestał mieć jakiegokolwiek znaczenie. Godziny mogły być równie dobrze minutami, minuty - sekundami.

Skręcił w wąską uliczkę. Alison niepewnie szła za nim. Tennant rozpiął torbę i wyjął z niej taurusa. Broń zdawała się niczym w porównaniu do tego co mieli "towarzysze" Raylanda. Harry wsunął rowolwer do kieszeni płaszcza. Alison przyglądała się temu w milczeniu.

Wrócili na Schrader Street. Tennant przyglądał się oknom. Jakiegokolwiek z nich mogło być tym, z którego oglądał samochody jadące Schrader Street w kierunku Panhandle. Którekolwiek z nich mogło być oknem pokoju jego i Maggie, pokoju, z którego zabrali ich ludzie bez twarzy. Okna nic mu nie mówiły. Przez niektóre widać było kwiatki i niewielkie fragmenty mebli. Gdzieś Tennant dostrzegł na szybach jakieś naklejki. To wszystko nic mu nie mówiło o mieszkańcach, o twarzach za szybami, o cieniach w mrocznych pokojach. Wsunął rękę do kieszeni i zacisnął palce na broni.

- Który to dom? - spytała ponownie Alison.
- Nie jestem pewien. Muszę się zastanowić. Przejdźmy jeszcze kawałek i wróćmy tamtą stroną. - Jak zwyczajnie to zabrzmiało. Zastanowić się. Ludzie ciągle używali tego słowa.
- Harry, nie sądzę, żebyśmy mieli czas na spacer po Haight.
- A czego się spodziewasz? Że tak po prostu wskażę dom i powiem: To właśnie ten. Chciałbym tak zrobić. Naprawdę. Chciałbym zwyczajnie podejść do jakichś drzwi, zadzwonić i być pewnym, że to te właściwe, że za chwilę wszystko mi się przypomni.

- W porządku, przepraszam. To dlatego, że czuję się jakbym była w pułapce.
- Jesteśmy w niej oboje.

Przytuliła twarz do jego ramienia. Oboje mieli przez chwilę nikłe poczucie bezpieczeństwa.

- Ja też przepraszam. Nie powinienem był reagować tak gwałtownie.

W jej uśmiechu dostrzegł jakiś cień. Wiedział dlaczego: ich sytuacja nie należała do najweselszych.

Doszli już do skrzyżowania Schrader z Haight. Haight Street wyglądała jak mroczny tunel prowadzący w przeszłość. Na ścianie jakiegoś zamkniętego sklepu ktoś sprayem wymalował hasło OBALIĆ RZĄD. Trochę dalej, przy cukierni, młody mężczyzna grzebał w silniku zardzewiałego dżipa. Miał czarne, bose stopy i brudne ubranie. Kiedy chłopak podniósł głowę i spojrzał z niechęcią na nich, Tennant odwrócił wzrok.

Młodzi ludzie, których do Haight wezwał dźwięk syren wolności, siedzieli na krawężniku. Między nimi krążyła butelka jacka danielsa. Prawdopodobnie uciekli z domów. Nie wyglądali jak poszukiwacze iluzji wolności.

Idąc tą ulicą, Tennant myślał, że w przeszłości musiał lędy chodzić setki tysięcy razy.

Sporo się tu zmieniło. Nie było już małych sklepików, w których sprzedawano najróżniejsze cuda, od fajek do haszu, po opaski na głowę. Zamiast nich pojawiły się sklepy ze skórą, hologramami i odzieżą z lat czterdziestych. Zniknęli też dealerzy, których kiedyś całe tłumy krążyły po ulicy pytając ciągle: Może czegoś potrzebujesz?

Ludzie, których widział teraz na chodnikach, poza nielicznymi dziwakami w niczym nie

przypominali dawnych przechodniów. Zauważył tylko bladą dziewczynę w indiańskiej sukni i przepasce na głowie i jakąś wysoką kobietę w aksamitnej kamizelce. Kiedy ją mijali, usłyszeli, że nuci sobie mantrę. Do nielicznych, dawnych mieszkańców dołączali nowi, którzy spodziewali się, że stare przedstawienie jeszcze trwa. Niestety, karnawał skończył się dawno temu.

Doszli do miejsca, w którym znajdował się sklep Roberts Hardware. Przynajmniej on się nie zmienił. Tennant pamiętał, że był tutaj raz i nawet coś kupił. Co to było? Drewniane półki. Tak. Półki na książki. Ciągłe przymocowywał te półki do ściany, a one po paru dniach znowu spadały. Wtedy ludzie nie przejmowali się takimi rzeczami, to było tak nieistotne wobec rozmiarów wszechświata. Ludzie myśleli zupełnie inaczej. Śmiech dziewczyny, lądujące na ziemi książki, stosy papierów na podłodze, jakieś rozbite szkło. Jego pamięć czasami go zaskakiwała. Potrafił przypomnieć sobie jakieś drobne szczegóły, a nie pamiętał, gdzie dokładnie mieszkał.

- Czegoś tu brakuje - powiedział nagle.
- Czego?

- Hałasu. Muzyki. Kiedyś wszędzie pełno było ludzi grających na cymbałkach albo dzwonkach. Zawsze słycać było miarowy rytm wystukiwany na bębenkach conga. Teraz jest cicho. To takie dziwne. Kiedyś ta ulica wibrowała dźwiękami.

Pustka. Haight było puste.

Przeszli na drugą stronę ulicy. Na rogu Clayton wciąż jeszcze stała Free Medical Clinic. Tennantowi coś nie dawało spokoju. Był kiedyś w tym miejscu. Próbowali go ratować. O mało nie wykitował po jakiejś koszarnej dawce STP. Cały świat zanurkował tamtej nocy w przepaść. Tennanta nawiedzały jakieś postacie w kapturach, a z nieba nad Haight przyglądał mu się nagi księżyc. Na dnie studni, w głąb której spadał, zobaczył swoją trumnę. Rozkładające się ciało. Czerwone oczy wpatrujące się w zapomnianą przez Boga nieskończoność. Nie pamiętał jakim cudem znalazł się w tej bezpłatnej klinice. Gdyby nie to, niewiadomo, czy zdołałby odnaleźć drogę powrotną z tego koszmaru. Ktoś musiał go tutaj przyprowadzić.

- Byłem kiedyś w tej klinice. Przez lewe narkotyki. Cholernie lewe. Nie pamiętam kto mnie leczył. Nie pamiętam ani nazwisk, ani twarzy, nic. -Tennant był rozczarowany. Spodziewał się chyba, że kiedy tutaj przyjedzie, przypomną mu się wszystkie szczegóły tamtego zwyczajnego życia. Niestety, nic nie działało się ot tak. Harremu odcięto dostęp do zwyczajności.

Alison spojrzała na niego ze współczuciem.

- Odkąd zaczęliśmy te poszukiwania, starałam wyobrazić sobie jak ty się w tym wszystkim czujesz. Strzępy, fragmenty, kawałki. Tak jakby w twoim mózgu eksplodowała bomba. - Dziewczyna wzruszyła ramionami ze smutkiem. Wzięła Harrego za rękę. - Nikt nie powinien

mieć takiego życia.

Strzępy, fragmenty. Tennant obejrzał się w kierunku Schrader Street. Chyba powinni już byli zawrócić. Zawahał się. Bezmyślnie zaczął studiować wywieszone w oknie restauracji menu. Zdrowa żywność. Kiełki fasoli i ogórka, szpinak, pełnoziarnisty chleb. Przez szybę widział krążącą między stolikami kelnerkę. Była szczupła, czarnowłosa. Mogła mieć około czterdziestu lat. Przez chwilę zdawało mu się, że jest trochę podobna do Maggie. Wrażenie minęło, kiedy kobieta odwróciła się w stronę okna.

Zawrócili. Tennant zastanawiał się dokąd szara limuzyna zabrała Raylanda. Teraz już idź, żyj swoim życiem. Zapomnij o tam tych bzdurach. Przed oczami miał obraz ojca wsiadającego do limuzyny. Jego biała skóra wydawała się jeszcze bledsza na tle szarej karoserii samochodu. W cieniu kryła się twarz Harkera. Kiedyś ta twarz była znana w całej Ameryce. Pojawiała się na okładkach wszystkich magazynów. Symbol brutalności. Miliony zwyczajnych ludzi żyjących w zgodzie z sąsiadami i bawiących się w parkach ze swoimi dziećmi, dowiedziały się, że przemoc i siła królują nie tylko w Wietkongu. Ta twarz była jak robak toczący serce jabłka, robak, którego osądzono, usunięto i w końcu o nim zapomniano.

Ale Tennant widział Harkera jeszcze gdzieś. Nie tylko w telewizji i w gazetach. Widział go w zupełnie innych okolicznościach.

Znowu ruszyli Schrader Street. Szli wolno w kierunku Panhandle. Nagle Tennant zatrzymał się. Na rogu wąskiej uliczki, która dochodziła do Schrader, stał duży wiktoriański dom pomalowany na żółto. Wyglądał jak wielkie ciastko. Gdzie ja widziałem Harkera?

W tej samej chwili jego myśli zwróciły się w zupełnie innym kierunku. Jego uwagę przyciągnął ten duży żółty dom. Długo patrzył w tamtą stronę. Huczało mu w głowie.

- To ten. Jestem tego pewien.

Alison chwyciła go za rękę i pociągnęła przez ulicę.

- Zaczekaj — zawołał. Nagle poczuł, że nie powinien tam iść, że wchodzi na obce terytorium.

- Dlaczego? Przecież wystarczy, że podejdziemy do drzwi i przeczytamy nazwiska tych, którzy tam mieszkają.

- Po co? Żeby znaleźć Maggie Silver? Jej tam nie ma, Alison. - Nagle dotarło do niego, że Maggie nie żyje. Nie mogła mieszkać w tym żółtym domu, bo zginęła, tak jak wszyscy pozostali. Jak Sajac, Kat i Carlos. Tylko on jeden z całej piątki jeszcze żył, jeżeli to można było w ogóle nazwać życiem. Ogarnęła go wściekłość. Na siebie, bo dał się wciągnąć w to bagno, na Alison, która wyrwała go z jego hermetycznego świata, na Raylanda, za to, że przez cały czas go obserwował, na Lannigana, za to co zrobił z jego pamięcią.

- Harry, wiem, że możemy nic tam nie znaleźć, ale chyba warto spróbować.

Tennant przyglądał się oknom. Które kiedyś należało do niego? Czarne kwadraty szkła. Z tej pozycji nie mógł rozpoznać żadnego. Przygniatał go cień wielkiego domu.

Alison studiowała uważnie tabliczki z nazwiskami. Było ich ponad piętnaście. Dwadzieścia lat temu ludzie przypinali tu kartki z imionami jakie przybrali w Haight. Czasami karteczki przedstawiały tylko rysunek tęczy, albo niedbale namalowany liść marihuany. Teraz, obok każdego dzwonka wisiała porządna tabliczka z nazwiskiem.

Tennant walczył z narastającym uczuciem frustracji mieszającym się z wściekłością.

Alison przerwała czytanie nazwisk i pchnęła drzwi. Ktoś musiał zapomnieć je zamknąć. Przed nimi ukazał się ciemny korytarz, w którego głębi były schody.

- Wchodzimy - powiedziała Alison.

Tennant wszedł za dziewczyną do środka. Oddychał z trudem. Powietrze było dziwnie gęste. Ruszył w kierunku schodów. Półpiętro rozjaśniało nieco światło wpadające do wewnątrz przez kolorowe okno-witraż. Ciekawy rysunek. Abstrakcyjne czerwone i niebieskie plamy. Zatrzymał się u stóp schodów.

Zapomnij o tamtych bzdurach.

Spojrzał na witraż. Czuł jak pot spływa mu po czole. Otarł go wierzchem dłoni. Wewnątrz budynku było piekielnie gorąco. Har-ry'ego otaczała jego własna przeszłość, ale nie były to wyraźne obrazy, tylko jakieś znajome kształty i cienie. Witraż. Czy przedtem też był tutaj witraż?

Nie. Ktoś musiał wmontować go w ścianę niedawno.

Tennant przypominał sobie jak wchodził po tych schodach wiele lat temu. Coraz wyżej i wyżej, do pokoju zawieszzonego na samym szczycie tego wielkiego domu. Kiedyś to była niemal ruina, której ściany wibrowały rock'n'rollem. Drzwi do mieszkań były zawsze otwarte. Wszędzie pełno

było młodych ludzi, śmiechu wolności i zapachu marihuany. Dzień i noc dom tętnił życiem. Czas był niepraktycznym wymysłem zwyczajnych ludzi. Tutaj był nikomu niepotrzebny. To był świat, w którym nikt nie umawiał się na godzinę. Nie istniały w nim zegary.

Zaczął wchodzić po schodach. Alison szła tuż za nim

Na półpiętrze jeszcze raz przyjrzał się witrażowi. Miał wrażenie, że jest we wnętrzu kalejdoskopu. Następne dziesięć schodów. Bolała go głowa. Czuł się dziwnie, jakby za chwilę miał się rozpaść. Idź dalej, Harry. Ciągłe pod górę.

Na piętrze przystanęli. Tennant nie wiedział czy powinni iść w prawo, czy w lewo. Teraz stracił nawet pewność, że to właściwy dom. Może sam chciał w to tylko uwierzyć. Chciał powiedzieć Alison: Widzisz, pamiętam. Teraz zdawało mu się, że budynek owija się wokół niego i pcha go w górę. Nie mógł się sprzeciwić tej tajemniczej sile.

Dwadzieścia lat temu prawdopodobnie wchodził po tych schodach razem z Maggie Silver. Trzymając się za ręce szli coraz wyżej. W pokoju on dotykał jej piersi, gładził uda. Czy istniało coś gorszego niż miłość, która się wypaliła? Uczucie, po którym został tylko popiół. Na chwilę zapomniał po co tu przyszli.

- W prawo, czy w lewo, Harry? - spytała Alison,

- Sądzę, że w lewo - zdecydował. Zauważył starą lampę z abazurem. Było w niej coś znajomego. Cienie w kręgu jej światła miały dziwną intensywność, jakby pochodziły ze świata, w którym wszystko było bardziej realne i wyraźne.

W końcu korytarza były drzwi. Tennant obawiał się, że otworzą się niespodziewanie zamykając go w prostokącie oślepiającej jasności. Nic takiego jednak się nie stało. Harry

podszedł do drzwi. Pomyślał, że dawniej mieszkania nie były numerowane, wtedy nikt nie dbał o tak przyziemne sprawy, jak numery na drzwiach. Teraz ludzie znowu przykładali wielką wagę do szczegółów. Czternaście. Jedyńka i czwórka. Białe, plastikowe cyfry przymocowane do ciemnobrązowego drzewa.

- Czy to tutaj? - spytała dziewczyna.

Tennant nie odpowiedział. Jakie to miało znaczenie, czy to tu, czy gdzie indziej? I tak mieszkał tu teraz ktoś obcy, ktoś, kogo Tennant nigdy nie widział.

Alison dotknęła jego ramienia. Zachęta?

- Sądzisz, że to tu? - wyszeptała.

Ogarnęło go dziwne przeczucie, że jest zaledwie o krok od jakiegoś straszliwego objawienia. W jego myślach coś majaczyło, jakiś niewyraźny kształt w ciemnościach bezksiężycowej nocy. Pomimo zaduchu panującego w tym domu, Harry trząsł się.

Gdzieś z góry dobiegł ich odgłos spuszczonej w toalecie wody. Dźwięk, którego zwyczajność powinna była zapewnić Tennanta

o rzeczywistości tego świata, ale on nie potrafił się rozluźnić.

Stanął tuż przy drzwiach. Czy ma tak po prostu zapukać i jeżeli otworzy ktoś obcy powiedzieć: "przepraszam, pomyliłem się?" Alison wychyliła się zza niego i delikatnie zastukała w drewno.

Nikt nie zareagował. Tennant, wstrzymując oddech, czekał. W duchu modlił się, żeby nikogo tam nie było.

Alison zastukała jeszcze raz.

Tennant popatrzył w głąb korytarza. Jego pamięć była jak olbrzymia sieć, w którą czasami wpadał jakiś motyl. Usłyszał śmiech Maggie Silver i zobaczył cień jej sylwetki w drugim końcu korytarza. Kiedy się śmiała, odchyłała do tyłu głowę, a dźwięk jej głosu był równie kolorowy, jak jej ubranie. Kapelusz z wielkim rondem, spod którego wypływała fala czarnych włosów, śliwkowy płaszcz, sznury koralu. Głowę miał pełną śmiechu Alison. Wspomnienia uzupełniała wyobraźnia. Maggie Silver. Srebrna Maggie. Kiedyś nazwał ją żywym srebrem. Będziemy się kochali przez całą wieczność, Harry. Bez względu na wszystko. Wiesz dlaczego? Dlatego, że dla niektórych ludzi miłość jest przeznaczona. Nie można z nią walczyć.

Przeznaczenie. W tamtych czasach przeznaczenie traktowano jak przedmiot, który można kupić w sklepie razem z kokainą i haszem. Wierzono, że wszystko jest zapisane w gwiazdach. Jeżeli mówiły one, że się zakochasz, to się zakochiwałeś.

Tennant znowu odwrócił się w kierunku drzwi. Alison zapukała po raz trzeci.

Z mieszkania dobiegł ich dźwięk spuszczonej wody. Po chwili drzwi otworzyły się. Kobieta patrzyła na nich znad okularów.

- Tak?

Długie srebrno-czarne włosy spadały jej luźno na ramiona. Zdjęła okulary i spojrzała raz jeszcze na Alison i Harry'ego.

- Jakaś składka? O co chodzi?

Tennant już to kiedyś słyszał. Teraz wróciło to, jak fragment melodii, której tytuł zagubił się w przeszłości.

- Szukamy kogoś - powiedziała Alison.

Kobieta zrobiła krok w ich kierunku. Zmrużyła oczy.

- Kogo?

Tennant oparł się o framugę drzwi. W tej chwili wiedział już, że odzyska! swą przeszłość.

- Maggie.

Niepewnie wyciągnął dłoń, jakby chciał chwycić swoje życie, tak jak zrywa się kielich delikatnego kwiatu.

- Pan chyba zwariował - powiedziała kobieta. Chciała zamknąć drzwi, ale Tennant zrobił krok naprzód, przestępując próg pokoju. Kobieta, nerwowo odgarniając włosy z twarzy, cofnęła się w głąb mieszkania. To była bez wątpienia Maggie. Ta sama, chociaż inna, podobnie zresztą jak on sam. Tennant miał wrażenie, że myśli przesłania mu mgła, pokój zawirował mu przed oczami. Widział tylko ją. Kobieta podniosła poplamioną od nikotyny dłoń, w geście, który miał znaczyć: "Stój, trzymaj się z dala ode mnie". Tennant nie zatrzymał się. Szedł ku niej myśląc, że wcale się tak bardzo nie zmieniła. Wokół ust pojawiły się delikatne zmarszczki, oczy straciły swój dawny blask, ale spojrzenie wciąż było jasne i inteligentne. Maggie nie miała już tak szczupłej talii. Nie nosiła już kolorowych ubrań, jej rzeczy miały spokojne, stonowane barwy, ale nawet w tym stroju była dawną Maggie. Tennant kochał ją tak samo jak kiedyś. Z trudem oddychał. Pragnął objąć ją, wymazać te wszystkie lata samotności, wypełnić znowu pustą

przestrzeń swego życia.

- Maggie - powtórzył.
- Wynoście się stąd albo zadzwonię po gliny.
- Nie rozumiesz - ciągnął Tennant, jakby nie słysząc słów kobiety - szukałem cię.

Kobieta zwróciła się do Alison:

- Nie wiem o co w tym wszystkim chodzi, ale lepiej zabierajcie stąd swoje tyłki zanim podniosę słuchawkę.

Tennant wyciągnął rękę w jej kierunku. Chciał ją dotknąć. Wierzył, że od tego dotknięcia spadnie maska obojętności. Kocham

ją tak samo jak kiedyś, tak samo, jak zawsze. M ilość była czymś stałym, istniała nawet wtedy, gdy o niej zapomniano, nawet w amnezji, trwała w jakichś zakamarkach pamięci, w zamkniętej przestrzeni, w samotności.

Odepchnęła jego rękę.

-No dobra. Starczy już tego. - Siegnęła w kierunku telefonu, ale Tennant zagroził jej drogę.

- Zejdź mi z drogi. Już!

- Ona cię nie zna, Harry. Nie widzisz tego? - wtrąciła Alison.

-Jak to, nie zna mnie? - przerwał Tennant gwałtownie nie odrywając wzroku od Maggie. Był na krawędzi szaleństwa, choć jednocześnie czuł, że są w nim jakieś elementy wolności, tak jakby nagle ostre światło reflektora wydobyło z mroku jego przeszłość. - Dlaczego, do diabła miałyby mnie nie znać?

-Zwyczajnie. Nigdy w życiu pana nie widziałam - odparła kobieta.

Tennant potrząsnął głową. Z uporem maniaka trzymał się raz podjętego tropu.

-Znam ją - powiedział. - To jest na pewno Maggie Silver, tylko nie rozumiem, dlaczego kłamie.

-Nie sądzę, że to kłamstwo, Harry. To chyba nie jest tak, jak myślisz.

Tennant zastanawiał się, dlaczego Alison broni tej kobiety, dlaczego staje po jej stronie?

- Chyba oboje zwariowaliście. - Kobieta zaśmiała się nerwowo. Na sekundę Tennant przestał patrzeć w twarz Maggie i rozejrzał

się po pokoju. Czuł, że to wszystko to jakaś cholerna sztuczka. Ściany, kiedyś pomazane w różnobarwne esy-floresy i zawieszane plakatami Bobby Kennedy'ego, Che i Boba Dylana, teraz

pomalowane były na spokojny, bladoliliowy kolor. W kilku miejscach wisiały małe ramki. Pod szkłem widniały nieznośnie porządne kompozycje z suchych kwiatów. Dawnej Maggie nie podobałyby się takie rzeczy. Twierdziłaby, że pasują tylko na strych domu jakiejś starej panny z Nebraski albo Północnej Dakoty - regionów, które dziewczyna nazywała Amerykańską Syberią. Mawiała, że tam ludzie śpią po osiem godzin i jedzą trzy razy dziennie i mają od samego początku poukładane życie. Nazywała ich ofiarami systemu.

Było późne popołudnie. Sączące się przez okno światło miało kolor whisky. Blask padał dokładnie w miejscu, gdzie kiedyś leżał zniszczony indiański chodnik. Teraz jego miejsce zajmował zwyczajny, purpurowy dywan. W oknie wisiały koronkowe firanki. Maggie nigdy nic powiesiłaby czegoś takiego.

Tennant był zdezorientowany. Świat wydawał mu się doskonałym dziełem fałszerza. Jeżeli ta kobieta nie była Maggie Silver, to dlaczego Tennant tak bardzo pragnął ją objąć i powiedzieć jej, że znowu są razem i że wszystko będzie w porządku?

Pokaż jej zdjęcie, Alison.

Alison wolno wyjęła strzęp gazety z torebki. Kobieta nawet nie chciała spojrzeć na fotografię.

- Słuchajcie, nie mam zamiaru pozwolić, żeby jakaś para lunatyków władowywała się w moje życie i nazywała mnie Maggie.

Alison podeszła do kobiety, wyciągając zdjęcie w jej stronę. W jej ruchach widać było wahanie. Głos dziewczyny brzmiał niepewnie. Harry czuł, że Alison jest przejęta.

- Proszę spojrzeć na to zdjęcie - poprosiła.

- Pieprzę wasze zdjęcia.

- Niech pani chociaż spojrzy, bardzo proszę. - Alison delikatnie położyła dłoń na nadgarstku kobiety. Przez moment Tennan- towi zdawało się, że znajduje się w innym świecie niż one. Jakaś nić porozumienia między obiema kobietami, jakiś znak, którego on nie widział, zagroziły mu drogę do tamtego świata. Starał się odsunąć od siebie tę myśl, ale nie mógł pozbyć się uczucia, że został z czegoś wyłączony.

Kobieta wzruszyła ramionami i wzięła od Alison wycinek z gazety. Włożyła okulary i spojrzała na zdjęcie.

- No i?
- Proszę dobrze się przyjrzeć - powiedział Tennant.
- A co takiego mam tam niby zobaczyć?
- Po prostu proszę patrzeć.
- Daj jej trochę czasu, Harry - powiedziała Alison.

Kobieta pokręciła głową.

- Piątka dzieciaków. To jakieś stare zdjęcie. Jaki to ma związek ze mną?
- Ty jesteś w samym środku - powiedział Tennant.
- To niemożliwe. W żadnym razie.

- Ja stoję trochę z boku.

Kobieta popatrzyła na Tennanta.

- Przyznaję, że istnieje jakieś podobieństwo między mną, a tą dziewczyną ze zdjęcia, ale przecież jej twarz jest ledwo widoczna zza tego kapelusza. Zresztą, pamiętałabym przecież, że ktoś zrobił mi zdjęcie. Pana też musiałabym pamiętać.

- Czy aby na pewno? - spytała Alison.

- Na pewno, mam świetną pamięć do twarzy.

Alison wzięła zdjęcie od kobiety i spojrzała zrezygnowana na Tennanta.

- Nawet jeżeli to jest Maggie Silver, Harry, to ona tego nie pamięta. Musisz się z tym pogodzić.

- Ależ ona musi to pamiętać...

- A ty pamiętałeś? - przerwała Alison.

Tennant milczał. Dlaczego Maggie nie pamiętała? Znał odpowiedź. Poczuł, że krew odpływa mu z mózgu. Lannigan.

- Słuchajcie oboje, nazywam się Barbara Gili. Musieliście pomylić adresy. Tu nie mieszka żadna Maggie Silver. - Spojrzała na Tennanta w taki sposób, że na chwilę odzyskał nadzieję. Znowu byli razem w tym pokoju, w którym kiedyś żyli i kochali się. Czekał aż kobieta coś sobie przypomni.

Niestety, nic takiego nie nastąpiło.

- Od jak dawna pani tutaj mieszka? - spytała Alison.

- Całe lata.

- Dokładnie ile? - Alison mówiła cicho, świadoma tego, że kobieta ma prawo jej nie odpowiadać. Dziewczyna była ostrożna i cierpliwa. Dlaczego jej nie przyciśnie? zastanawiał się Tennant.

- Nigdy nie liczyłam. - Kobieta ściągnęła do tyłu długie włosy. - Dość długo. Lubię to miejsce. Aż do dziś podobało mi się, że jest tu tak spokojnie. - Spojrzała na Tennanta. Dość długo, myślał Harry. Aż kipiał z niecierpliwości. Kobieta odwróciła się od niego. - Jeżeli to wszystko...

- Kiedyś mieszkaliśmy tutaj razem - przerwał jej. - Ty i ja. Mieszkaliśmy w tym pokoju...

- Mam tego dość.

- Wysłuchaj mnie, do cholery. - Tennant podszedł do niej i chwycił ją mocno za rękę. - Ty i ja. Maggie i Harry. Mieszkaliśmy tutaj razem.

- Tak? I sądzi pan, że mogłabym o tym ot tak zapomnieć? Niech pan posłucha, wiem, co tu się kiedyś wyprawiało. Wszędzie były prochy, a pan pewnie trochę z nimi przeholował. Proponuję, żebyśmy wszyscy zapomnieli o tym nieporozumieniu i rozstali się w zgodzie, dobrze?

Tennant nie zwrócił uwagi na to, co powiedziała kobieta.

- Na ścianach wisiały plakaty. Che Guevara, Hendrix. A tutaj - pociągnął Maggie w głąb pokoju - tutaj stało parę staroci, a na tej ścianie wisiały półki, które ciągle spadały...

- To są jakieś brednie - przerwała kobieta. - Pan mnie przeraża.

- Ciągle spadały, a ty się z tego śmiałaś, nie pamiętasz? - Tennant był zrozpaczony i zły. Miotaly nim uczucia, których nie potrafił nawet nazwać. Nie zostawi tego tak, zmusi ją, żeby sobie przypomniała. - Tutaj stało nasze łóżko przykryte kapą, którą dostałaś od jakiejś swojej ciotki...

- Proszę mnie puścić!

-Harry - wtrąciła się Alison - na miłość boską, daj jej już spokój.

-Ta ciotka miała na imię Harriet albo Henrietta, a ta kapa była pamiątką rodzinną.

Kobieta odepchnęła Tennanta i spojrzała na Alison.

-Proszę mu powiedzieć, żeby przestał. Proszę go stąd wyprowadzić.

Tennanta otaczały szczątki przeszłości, połamane półki, wielkie, stare łóżko, które skrzypiało w rytm ruchów ich ciał, plakaty na ścianach, muzyka dobywająca się z ich zdezelowanego stereo.

-Maggie, kochaliśmy się. - powiedział. Znaczyłaś dla mnie wszystko i nadal tak jest. Nic się nie zmieniło, dodał w myślach. Czuł jak jego ciałem wstrząsa jakiś dziwny szloch rozpacz. W tym miejscu jego życie miało swój początek i koniec. W tym pokoju został pogrzebany.

-Nie wiem skąd panu przychodzą do głowy takie rzeczy. Nic takiego nie pamiętam. - Kobieta wzruszyła ramionami. - Kochaliśmy się! Pan chyba jest psychicznie chory.

Alison dotknęła ramienia Tennanta.

- Daj temu spokój, Harry. Ona nie wie o czym mówisz.

Potrząsnął głową z furją. Paliła go szaleńcza gorączka.

- Pewnej nocy ktoś przyszedł i ciebie zabrał, Maggie. Dwóch mężczyzn. Pamiętam to. Po prostu weszli i cię zabrali. Opierałaś się, a jeden z nich uderzył mnie czymś, nie wiem czym... - Tennant chciał, aby mu uwierzyła. - Nie pamiętam, co się stało potem, bo od uderzenia straciłem przytomność. To wszystko wydarzyło się kilka tygodni po tym, jak opublikowano fotografię.

- Dość już, Harry - powiedziała Alison. - Nie dasz rady. Czy nie widzisz, że ona nic nie pamięta.

- Przypomni sobie, przypomni. - Tennant zapewniał sam siebie. Ujął Maggie za rękę. Przez chwilę stali tak, patrząc sobie w oczy. - W Chinatown zobaczyliśmy coś, czego nie powinniśmy byli widzieć, Maggie. W tym dniu, kiedy zostało zrobione tamto zdjęcie, byliśmy świadkami czegoś. Ty, ja i inni ludzie z tego zdjęcia. Fotograf też. Jesteśmy ofiarami, rozumiesz? Spróbuj, Maggie. Proszę cię, spróbuj.

- Chinatown? Nie mam pojęcia o co panu chodzi - powiedziała kobieta, ale w jej spojrzeniu pojawił się cień zrozumienia. Zniknął lęk. Rysy twarzy złagodniały. Poznałem cię w Haight, myślał Tennant. Nagle pojawiłaś się w moim życiu. Weszłaś w nie jak burza. Wróć do mnie, Maggie.

- Tęskniłem za tobą - powiedział cicho. - Dopiero teraz zrozumiałem jak bardzo mi ciebie brakowało. - W piersi czuł piekący ból. Słyszał bicie własnego serca. Miał wrażenie, że w jego żyłach płynie rtęć zamiast krwi. Całe jego życie kończyło się tu, w tym małym pokoju w Haight. Kobieta, którą kochał mówiła, że go nigdy przedtem nie widziała. Co oni nam zrobili? Co oni, na Boga nam zrobili?

Kobieta drżała.

- Chodźmy, Harry - powiedziała Alison.

-Maggie, wysłuchaj mnie, na litość boską. Kiedyś tu mieszkaliśmy. Robiliśmy imprezy, ćpaliśmy.

-Nigdy nie brałam narkotyków - zaprotestowała. - Zawsze ich unikałam. I tak zniszczyły życie wielu ludziom.

-Dobra, w porządku, niech będzie jak chcesz, nie ćpaliśmy. Tylko mieszkaliśmy tutaj razem.

- Nie.

-Spotkaliśmy się niedaleko stąd. Pamiętam, kiedy po raz pierwszy zobaczyłem cię w parku. Leżałaś na trawie. Byłaś sama.

Chyba byłem wtedy na jakichś prochach. Podeszedłem do ciebie i położyłem się obok. Zaczęliśmy rozmawiać.

Kobieta zaczynała się już naprawdę denerwować. Alison podeszła do Tennanta i pociągnęła go za rękaw. Nawet tego nie poczuł.

Myślał o pięknym słonecznym dniu i o spotkaniu na wzgórzu, które kiedyś zwano Hippie Hill. Ktoś puszczał latawca: smok wznosił przez chwilę się ku niebu, ale nie było wiatru, więc wylądował na drzewach.

- Miałaś na sobie aksamitne spodnie, do których przyszyte były małe kwiatki. Miałaś też ciemnoczerwoną bluzkę. Zapytałem jak masz na imię, a ty kazałaś mi zgadywać. Przeszedłem przez pół alfabetu zanim mi powiedziałaś. Pamiętasz? Zacząłem od Abigail, a zatrzymałaś mnie dopiero przy Lindzie.

Kobieta stała przy oknie. Alison obserwowała ją w skupieniu. Kobieta odwróciła się i spojrzała

na nią. Zdawała się dostrzegać jakiś związek między sobą i dziewczyną. Coś łączyło je na kształt niewidocznego przewodu. Nagle więź zerwała się. Jakaś ciężarówka przejechała z wielkim hukiem przez Schrader Street. Kobieta odwróciła głowę w stronę okna.

- Wierz mi, Maggie, przypomniałem sobie to wszystko zaledwie minutę temu.
- Pan kompletnie oszalał. Aksamitne spodnie. Kwiatki. Czerwona bluzka. Skąd to panu przyszło do głowy? Ma pan niezłą wyobraźnię.

Do Tennanta nagle dotarło, że kobieta uważa go za pomyłonego, za biednego szaleńca, którego trzeba spokojnie wysłuchać, gdyż nie wiadomo, do czego jest zdolny. Trudno było przewidzieć, co zrobi facet, który znajduje się na krawędzi rzeczywistości. Spojrzał na Alison, zastanawiając się, czy dziewczyna też myśli o nim w ten sposób. Biedny Harry. Zostaw tę kobietę w spokoju.

Nagle umilkł. Cała energia opuściła go. Nie mógł się poruszyć. Pragnął by ktoś młotem rozwalił jego serce w drzazgi. Bez litości. Kobieta podeszła do drzwi i otworzyła je.

- Przedstawienie skończone.
- Chodźmy, Harry - powiedziała Alison.

Tennant spojrział w kierunku otwartych drzwi, za którymi widać było korytarz. W cieniu stała Maggie Silver sprzed ponad dwudziestu lat. Opierała się o ścianę. Jedną rękę trzymała na

biodrze. Harry, zna/n jedno miejsce, gdzie możemy dostać naprawdę dobre opium, u Chinatown, u gościa, którego nazywają Lee. Mieszka nad swoim sklepem i podobno ma niezły towar.

- Chyba wyraźnie powiedziałam, przedstawienie skończone.

Tennant wciąż stał nieruchomo. Duch w korytarzu śmiał się. Chodź. Harry, zbieraj tyłek »• troki. Może zdążymy zanim Lee sprzeda wszystko. Co warte były te wspomnienia, jeżeli przyszło zapłacić za nie tak wysoką cenę? Oto twoja nagroda, Harry. Nic.

- Różnych Judzi widywałam w tych okolicach, ale z ciebie to kompletny odpal.

Tennant powoli szedł przez pokój. Wszystko na próżno. Został odrzucony. Przygniata! go ciężar przeszłości. Przeszedł przez próg i jeszcze raz odwrócił się w kierunku kobiety.

- Maggie. - Pragnął dotknąć jej twarzy, przytulić ją. Już po wszystkim, powiedziała by. Koszmarny sen skończył się. Znowu jesteśmy razem i tak już zostanie. Chciał tak powiedzieć, ale wiedział, że ona go nie wysłucha.

Kobieta patrzyła na niego niespokojnie. Tennant wiedział, że przegrał. Rozpacz by!a czymś nieskończonym. Nic nie było w' stanie jej zmierzyć.

- Przykro mi - powiedziała nagle kobieta. W jej głosie brzmiał ton współczucia. - Mam nadzieję, że w końcu znajdziesz to, czego szukasz, Harry. Tak chyba masz na imię?

Tennant nie odpowiedział. Chciał zapomnieć o wszystkim, udać, że nigdy tutaj nie był, zostawić ten pokój i Maggie Silver, ale wiedział, że to jeszcze nie koniec. Pamięć była czymś, co tworzy nierozzerwalną więź między człowiekiem, a jego życiem. Sam tego chciał. Harry. Zdobyłeś to, czego tak pragnąłeś. Pamięć. Maggie Silver. Wspomnienia z Chinatown. Teraz

jesteś o krok od wyjawienia wszystkiego, a wcale tego nie pragniesz.

Wyszedł na korytarz. Żadne duchy nie czały się w cieniu. Wokoło było zupełnie cicho. Tennant przeszedł kilka kroków i odwrócił się. Alison stała w drzwiach obok kobiety. Jasny prostokąt drzwi obejmował je obie. Przez chwilę Tennantowi zdawało się, że obie kobiety łączą się, zlewają się w jedną, ale to było tylko złudzenie. Po prostu Alison przesunęła się nieznacznie w bok i smuga światła oddzielająca obie sylwetki zniknęła na moment. Było to dziwne wrażenie - dwie kobiety stały się jedną istotą.

Podobne uczucie miał kiedy kochał się z Alison. Nagle stała się Maggie Silver.

Słyszał, że Alison zaczęła coś mówić. Potem zapadła długa cisza. Kobieta pochyliła głowę i patrzyła wyczekująco na Alison.

- Chciałam tylko powiedzieć... - dziewczyna zająknęła się. Jej głos załamał się, jakby straciła wątek.

Kobieta nie odezwała się. Alison wyciągnęła dłoń, dotknęła jej ramienia i zaraz potem cofnęła rękę.

- Nic takiego - powiedziała w końcu dziewczyna. - Przepraszam za kłopoty.

Kobieta zawahała się, spojrzała na Tennanta, a potem zamknęła drzwi. Zamknęła więcej niż drzwi, pomyślał Tennant.

Zeszli po schodach i wyszli na ulicę. Słońce już zaszło. Niebo miało szary, zimny kolor. Wiatr wiał w kierunku Panhandle i tam, ginął wśród drzew.

W milczeniu szli ku Haight.

- Zrobili z nią to samo, co z tobą - odezwała się w końcu Alison. Była zła i smutna. - Czuję... -

dziewczyna zawahała się - nie wiem, nienawiść, rozpacz. Chciałabym ich zabić. Tego właśnie chcę, Harry. Zniszczyć ich.

Tennant przytaknął. Jak mogli to zrobić? Jak mogli zniszczyć tamtych? Od czego należało zacząć? Na rogu Haight spojrział w lewą stronę. Zimny podmuch wiatru sprawił, że Tennant zadrżał. Jak mógł zostawić tak Maggie Silver? W tym fałszywym świecie. wśród złudzeń. Z drugiej strony nie wiedział nawet w jaki sposób mógł jej pomóc odzyskać pamięć. Dobrali się do niej tak jak do niego. Trzeba im przyznać, że przyłożyli się do tego. Lannigan musiał się nieźle starać. Dobra robota, boyo.

Ale oni również nie byli nieomylni. Nie przewidzieli wszystkich możliwości. Nie wzięli pod uwagę Alison Saegrove, która zmusiła Tennanta do szukania odpowiedzi. Znalazł już prawie wszystkie. W Chinatown otworzą się przed nim ostatnie drzwi. Dlaczego więc nie czuł zadowolenia? Był pusty w środku. Nawet wtedy, kiedy myślał o tamtym dniu w Chinatown, o tym, jak Sammy Obe ustawiał ich piątkę do zdjęcia. Nawet, kiedy przypominał sobie swoje uniesione ramię wskazujące coś po drugiej stronie ulicy, gdzie przed kościołem St. Mary's zebrał się mały tłumek. To nie było już żadnym osiągnięciem. Wcześniej myślał, że kiedy przypomni sobie.

dlaczego ci ludzie tam właśnie się zebrali, będzie czuł, że w końcu ma już całą swą przeszłość. Ale teraz wiedział już, że zawsze będzie mu czegoś brakowało. Maggie Silver. Ta świadomość była najgorsza ze wszystkiego.

Szli w kierunku Golden Gate Park. Wiatr poruszał drzewami. Zbierało się na deszcz. Wciąż się wahał, czy nie zawrócić i nie wytłumaczyć jej wszystkiego, wyciągnąć z ziemi szkielet przeszłości, kość za kością. Pokazać, że w jej życiu brakuje wielu elementów, że przerobiono ją z cudownej Maggie Silver w tę osobę, którą nazwano Barbara Gili. Ile czasu musiałby na to mieć?

- Przepraszam, Harry. Za wszystko.

Tennant gapił się na przejeżdżające samochody. Alison było przykro, jemu było przykro, całemu cholernemu światu było przykro. Czy to miało jakiegokolwiek znaczenie? Kopnął krawężnik.

- Nie rozumiem jednego. Dlaczego zostawili ją przy życiu? Rozumiem, że mnie "ochroniał" mój ojciec, ale dlaczego Maggie Silver nie zabito tak jak Carlosa albo Kat? - Przerwał na chwilę, czując, że ma sucho w gardle. - Potrafię sobie wyobrazić w jaki sposób myśleli. Nie mogli zamordować wszystkich ze zdjęcia, to mogłoby wzbudzić podejrzenia, więc upozorowali samobójstwo i wypadek, a z jednego zrobili kompletnego schizofrenika. Pozostałej dwójce wymazano przeszłość. Tylko Sajacowi udało się im uciec. Na jakiś czas.

Czuł jak wzbiera w nim gorycz. Kilka domów stąd jego Maggie żyła nie znając tak naprawdę swego życia. Co ona robiła całymi dniami? Pracowała w bibliotece? Przyrządzała koktajle? Cokolwiek to było, nie wymagało zadawania pytań dotyczących przeszłości, podobnie jak on w

swoim domu w stanie New York. Zobojętniali i odrętwiali, nigdy nie oglądali się za siebie, dlatego, że zaprogramowano ich tak, by nie mieli przeszłości.

- Byłoby znacznie prościej, gdyby zabili nas oboje - powiedział. Alison zmarszczyła brwi, ale nic nie powiedziała. W milczeniu

przeszli przez park. Dziewczyna wyglądała tak, jakby czegoś żałowała i jednocześnie się bała. Harry domyślał się, że chce mu coś powiedzieć.

Zatrzymał się. Wiatr rozwiewał mu połę płaszcza.

- Sądzę, że wiem, dlaczego nie zabili Maggie - powiedziała dziewczyna.

Spojrzał na nią. Cokolwiek to jest. nie chcę o tym słyszeć, pomyślał. Balansował na krawędzi przepaści.

- Proszę cię tylko o trochę cierpliwości - poprosiła. - Spróbuj mnie zrozumieć i nie bądź na mnie wściekły.

Czekał. Wiatr postawił kołnierz jego płaszcza. Na policzek spadła mu pierwsza kropla deszczu. Alison wyjęła z torebki jakąś pogniecioną kartkę papieru.

- Proszę.

- Po co mi to?

- Zobacz co to jest.

Niechętnie wyciągnął rękę i wziął papier. Przeczytał druk, ale nie mógł nic z tego zrozumieć.

- Co to? - zapytał.

- Metryka urodzenia.

Spojrzał jeszcze raz na papier. Słowa tańczyły mu przed oczami. Przyglądał się im, a one zrzucały

znaczenie, jak skórę, traciły sens.

- Moja metryka urodzenia, Harry.

Patrzył w twarz Alison i zastanawiał się, jak mógł być tak tępy i ślepy. Dlaczego nie zauważył tego wcześniej? Tylko czasem coś go zastanawiało. Teraz stało się to dla niego oczywiste. Jeżeli popatrzyło się na nią pod odpowiednim kątem, wyglądała zupełnie jak Maggie.

Z zamętem w głowie, kuląc się przed silnymi podmuchami wiatru, Tennant szedł szybko przed siebie. Gorączkowo szukał jakiegoś wyjaśnienia, prostego i łatwego. Pragnął, żeby istniał jakiś lek, dzięki któremu mógłby nie myśleć, specyfik, od którego przestałby rozumieć. Kiedy podniósł głowę, poczuł krople deszczu spadające mu na powieki i wargi. Płócienna torba objęła mu się o udo. Schronił się pod drzewo. Niedaleko znajdowało się wejście do Conservatory of Flowers - wielkiej, szklanej konstrukcji. Szyby były mokre od deszczu. Obok wejścia stała grupa turystów tłoczących się pod kolorowymi parasolami. Metryka urodzenia, myślał Tennant. Metryka urodzenia, imię matki wpisane w odpowiednią rubrykę.

I puste miejsce przy słowie Ojciec.

Nie chciał słuchać żadnych wyjaśnień, czy wymówek. Pragnął tak stać pod tym drzewem wsłuchując się w rytm wystukiwany przez krople deszczu o liście i gałęzie. Drzewo - dom. Właśnie tego potrzebował teraz, swego dawnego domu na drzewie. Wspiąłby się wysoko i zapomniał o świecie. Przypomnił sobie Raylanda wbijającego gwoździe w deski. HARRY'S PLACE - miejsce Harry'ego. Gdzie było jego miejsce teraz? Zbutwiałe drewno, zardzewiałe gwoździe, gąszcz liści przesłaniających dawne schronienie.

Dziewczyna przystanąła pod drzewem obok niego.

- Harry, wysłuchaj mnie.
- Skłamałaś. - To było więcej niż kłamstwo, ale Harry nie chciał o tym myśleć.
- Nie skłamałam.
- A co to według ciebie było, Alison? -Tennant odwrócił się od niej i ruszył w stronę szklanej

oranżerii. Przy wejściu zapłacił za bilet. Wewnątrz panował zaduch. W powietrzu mieszały się zapachy wilgotnych liści i ziemi. Kiedyś był tutaj na totalnym haju. Wtedy to miejsce wydawało mu się straszliwą dżunglą. Teraz był trzeźwy, ale wcale nie czuł się lepiej. Przeszedł pod wielkim filodendronem, który był chyba tak stary, jak sama planeta.

Dziewczyna ciągle szła za nim. Tennant oddalał się, zagłębiał się w tę olbrzymią oranżerię. Splątane pnącza, korzenie, mchy, pióropusze liści. Parna i mroczna dżungla uwięziona pod olbrzymimi szybami, wilgotność i temperatura pod stałą kontrolą. Tennant czuł, jak pot spływa mu po twarzy. Znalazł jakąś ławkę i opadł na nią, wyczerpany brakiem powietrza.

- Harry, proszę cię, posłuchaj.

Dziewczyna wolno zbliżyła się do niego. Odwrócił się. Zobaczył dwóch mężczyzn w płaszczach przeciwdeszczowych. Z uwagą przyglądali się korzeniom olbrzymiego filodendrona, który bardziej przypominał prehistorycznego ptaka, niż roślinę. Dwóch mężczyzn w płaszczach przeciwdeszczowych. Nie patrzyli w kierunku Tennanta.

Alison usiadła obok niego.

- Posłuchaj, kiedy się urodziłam, Maggie oddała mnie do adopcji. Dowiedziałam się tego dopiero półtora roku temu. Od tamtej pory próbowałam ją odnaleźć. Nie miałam adresu. Miałam tylko to zdjęcie, które zrobił Obe i nazwiska z archiwum Cygneta. Poszłam tym śladem. Sam wiesz, co znalazłam. Potem trafiłam do ciebie.

- A ja zaprowadziłem cię do niej.

Alison nerwowo uderzała palcami o uda. Westchnęła. Tennant rozpiął guziki płaszcza. Wilgotne dżinsy kleiły mu się do nóg.

- Wymyśliłaś sobie ten artykuł - powiedział. - Nie zleciło ci tego żadne pismo.
- I tak i nie.
- Nie lubię dwuznacznych odpowiedzi.
- Prawdą jest to, że pracuję dla pewnego pisma...
- Ale nie w tej sprawie.

Pokręciła przecząco głową.

- Nie, nie w tej sprawie.

Tennant wstał. Panująca w oranżerii wilgoć dusiła go.

- Należałoby to chyba nazwać bardziej osobistą sprawą, czy tak? - Przypomniał mu się domek motelowy, tamten pokój, jej szczupłe ciało, które tulił, intymność, którą rozwiął obraz Maggie Silver. Czuł się dziwnie. Metryka urodzenia bez wpisanego imienia ojca. Starał się nie myśleć o tym, ale nie mógł powstrzymać ogarniającej go fali mieszanych uczuć. Przecież zależało mu na niej. Myślał o przyszłości, w której ta dziewczyna również miała swoje miejsce. Jak mógł okazać się takim ślepcem?

Dziewczyna obserwowała go. Ich oczy spotkały się na krótką chwilę, Tennant odwrócił wzrok. Powinny tu być ptaki, myślał. Powinno być coś jeszcze oprócz tych wielkich, cichych roślin i szumu wody. Ptaki, życie, śpiew.

Alison przyglądała się swoim dłoniom.

- Nie powiedziałam ci o Maggie, bo bałam się, żerni nie pomożesz. Na pewno nie chciałbyś się mieszać w moją prywatną obsesję. Powiedziałabyś pewnie, żebym cię zostawiła w spokoju. Te poszukiwania doprowadzały mnie do szału. Zbyt wielu rzeczy dopatrywałam się w tej fotografii. Wymyśliłam tę historię, bo inaczej nie chciałbyś mi pomóc. Byłabym dla ciebie po prostu jakąś żalostną lalunią z miasta, uganiającą się za duchami. Powiedziałabyś, że nie masz dla mnie czasu.

- Więc wymyśliłaś ten artykuł?

- Tak.

- Wiedziałaś, że mogę trafić do pudła za narkotyki. Wykorzystałaś sytuację, Alison.

- To był przypadek. Nie miałam z tym nic wspólnego.

- Ale wykorzystałaś to.

- Tak. Przepraszam.

-Na rękę ci było to, że nie pamiętałem swojej przeszłości. Harry Tennant, kryminalista, pusta strona. Spróbujmy uzupełnić luki w twojej pamięci, Harry. Czyż nie tak mówiłaś? Złapmy ten rzadki okaz, białego wieloryba twojej przeszłości.

Alison spojrzała na niego smutno.

-Chciałam tylko odnaleźć moją matkę. To chyba ma dla ciebie jakiś sens? Byłam zdesperowana, Harry. Kiedy zaczęłam te poszukiwania, nie spodziewałam się, że znajdę tylko zabitych ćpunów i zagubione wspomnienia. Nie miałam zamiaru wciągać cię w takie bagno. Skąd mogłam wiedzieć, dokąd prowadziła ta ścieżka?

Tennant wsadził ręce w kieszenie. Chciała znaleźć matkę, myślał. Ja też, na litość boską. Ja też tego chciałem. Popatrzył w górę, na spadzisty, szklany dach. Na szybach skraplała się para. Strużki wody spływały w dół i skapywały na liście. Znowu stanął mu przed oczami tamten motelowy pokój. Pamiętał sposób, w jaki trzymał dziewczynę, nawet wtedy, kiedy nazwał ją imieniem jej matki. Potrząsnął głową. Nie chciał szukać takich powiązań. Splątany gąszcz przeszłości dusił go. Gapił się na szklany dach, o który uderzały z zewnątrz krople deszczu.

- Nie chcę się nad tym zastanawiać - powiedział. - Ty i ja, Maggie i ja.

- Rozumiem, ale ty też musisz spróbować zrozumieć, że żadne z nas o tym przecież nie wiedziało.

- Czy dzięki temu jesteśmy niewinni?

- Dzięki temu nie jesteśmy winni

- Mam gdzieś te gadki o winie i niewinności. Po prostu nie mam ochoty siedzieć tutaj zastanawiać się, liczyć. Twoje urodziny. Moje ostatnie spotkanie z Maggie. Nie potrzebuję tych obliczeń. Nie chcę o tym wszystkim myśleć. Czy z tego mogłoby wyniknąć coś dobrego?

Dziecko. Córka. Czy ona była jedynym śladem po dawnej Maggie Silver? To pytanie pojawiło się nagle w jego głowie. Przygnębiło go, ale jednocześnie, gdzieś na dnie jego świadomości czaiło się mgliste wrażenie, że właśnie odzyskał część siebie. Znowu przypomniał sobie motel, niejasne uczucie zbladło zupełnie. Nie chciał wiedzieć. Nie potrzebował żadnych dowodów. Przecież Maggie nie musiała być mu wierna. Może miała innego kochanka. Nie wierzył w to jednak, tak samo, jak nie mógł uwierzyć, że Alison może być owocem tamtego związku z kobietą, dla niego bezpowrotnie straconą. W którą stronę miał się zwrócić?

- Na to, co się stało, istnieje pewne określenie - powiedział.

- Zapomnij o tym...

- Ale ono nie daje mi spokoju, Alison.

- I co w związku z tym? Czujesz obrzydzenie?

- Nie, nie potrafię określić tego, co czuję. Nigdy nie znalazłem się w podobnej sytuacji. -

Tennant widział Alison stojącą przy łóżku w samych majteczkach. Słyszał jej słowa: Zdejmij je. Pamiętał, jak zsuwał je z bioder dziewczyny. Pamiętał dotyk jej skóry.

Alison, Maggie, jedna i ta sama osoba. Kiedyś kochał matkę. Kiedyś kochał.

A teraz córka. Córka.

A gdybyśmy się nigdy o tym nie dowiedzieli? Gdybyśmy nic nie znaleźli Maggie? Bylibyśmy razem, Harry. Ty i ja. (Żuję to. Wiem to. Gdybyśmy nic nie znaleźli Maggie, nigdy nie dowiedzielibyśmy się, prawda? I gdybyśmy zdołali przez to wszystko przebrnąć... Zakreśliła ręką krąg, tak jakby liście roślin w oranżerii były ich wrogami. Na pewno próbowalibyśmy zostać razem.

Wiedział, że tak by było. Na pewno by próbowali. Mogło im się udać. Alison i Harry, dwoje ludzi idących na oślep w stronę zachodzącego słońca. Pełnia szczęścia.

Kuląc się pod płaszczem przyglądał się ogromnym liściom rosnącego naprzeciwko filodendrona. Zastanawiał się nad tajemnicą olbrzymiego drzewa. Było ograniczone, kontrolowane, a jednak wolne. Pięło się ku szklanemu dachowi, a kiedy nic mogło już rosnąć w górę, zawracało, skręcało się, jakby chciało same siebie otoczyć i pochłonąć. Tennant nagle zapragnął wydostać się z tego szklanego więzienia. Po prostu wstać, wziąć torbę i wyjść.

Nigdy nic znośłem przypuszczeń, a przecież właściwie niczego nie możemy być pewni. Co tak naprawdę wiemy? Lepiej zostawmy tę sprawę w spokoju powiedział. Nic byli pewni? Harry wiedział. Czy gdyby dziecko nie było jego, Maggie Silver wciąż jeszcze by żyła? Wnuczka Raylanda. Jego własna córka. Maggie Silver również była ochraniająca. Odebrano jej przeszłość, jej własne życie, to prawda, ale oszczędzono ją ze względu na dziecko. Świat Tennanta składał się ze zbyt wielu kawałków. Harry nie umiał nim kierować. To prawda, dotarł aż do tego miejsca, ale

to nic była świadoma wyprawa. Nie panował nad swymi ruchami bardziej niż niesiony prądem rzeki przedmiot. Istniało zbyt wiele wątków. Załamane. Ruina. Błędy w systemach.

Alison położyła dłoń na jego ręce.

- Ja nie czuję wstępu, Harry. Jest mi smutno, bardziej, niż możesz to sobie wyobrazić. Nie możemy być... Nie ma dla nas przyszłości takiej, o jakiej być może oboje myśleliśmy.

Jej dotyk sprawił mu przyjemność, ale mimo to cofnął rękę.

- Nie wszystko jest stracone, Harry. Wciąż jeszcze możemy coś mieć. Może nas łączyć jakieś uczucie.

Uczucie? To słowo miało wiele znaczeń. Czy kochała go jak kochanka, czy jak ojca? Jakie to miało teraz znaczenie? Było mu duszno. Przeszłość okazała się zdradliwa. Przyszłość była nieprzewidywalna. Popatrzył na dziewczynę. Wciąż jeszcze mogę cię mieć, myślał, ale może mogę mieć roi więcej. Może mogę odzyskać Harry 'ego Tennanta.

Wziął torbę i wstał.

Dokąd idziesz? spytała Alison.

Nic odpowiedział. Po prostu odszedł. Dalej musiał działać sam. Nic chciał mieszać w to tego dziecka. Pobiegnęła za nim i chwyciła go za rękaw. Zatrzymał się dopiero kiedy wyszli z oranżerii. Stał w deszczu kapiącym z nieba i drzew.

Harry, nie możesz tak zwyczajnie sobie odejść.

Milczał.

Mam prawo iść tam, gdzie ty powiedziała dziewczyna.

Co powiedział Rayland? Czy chciałbyś, żeby ktoś ją uszkodził?

Nic możesz mnie teraz zostawić, Harry.

Zaczekaj tu. Wrócę po ciebie.

Mam gdzieś czekanie. Idę z tobą.

Nic chciał jej na to pozwolić, ale znał już upór dziewczyny. Jeszcze zanim zdążył powiedzieć nie, wiedział, że z nią nic wygra.

Nic rób mi tego, Harry. Jestem z tobą. Przez cały czas. Do końca.

Ruszył w kierunku ulicy. Dziewczyna szła za nim. Przez cały czas. Do końca. Nie ważne dokąd. Stał na chodniku i rozejrzał się za taksówką. Kiedy w końcu jakaś nadjechała, dziewczyna wśliznęła się do środka jeszcze przed nim. Nie zdołałby jej powstrzymać. Nawet nie było sensu próbować.

Kierowcy rzucił tylko krótką wskazówkę "Chinatown" i oparł się o siedzenie. Zamknął oczy.

Chinatown. Tam, gdzie Obe zrobił swoje słynne zdjęcie. I tam, gdzie zebrał się tłum przed St. Mary's. Tam, gdzie należało szukać korzeni tej zbrodni. Gdzie dziecko, dziewczynka, już formowała się w łonie Maggie Silver.

Kiedy wysiadali na skrzyżowaniu Grant i California, już nie padało. Na niebie, między ciemnymi chmurami, które wiatr przywiał z zatoki, wisiało mokre słońce. Tennant stał na rogu ulicy

i patrzył na kościół St.Mary's. Obok przejechał autobus pełen roześmianych turystów.

Harry przeszedł kawałek dalej. Minął kościół i to miejsce, z którego Sammy Obe robił swoje zdjęcia. Alison przez cały czas szła tuż za nim. Zatrzymali się przed sklepikiem, na którego wystawie były jedwabne szlafroki, latawce i krzesła zrobione z bambusa. W drzwiach stała Chinka i przyglądała im się z zainteresowaniem.

Ponad dwadzieścia lat temu Tennant szedł wtedy razem z Maggie. Chcieli kupić trochę opium. Po drodze natknęli się na Sama Obe. Poprosił, żeby dołączyli do naprędce zebranej przez niego gromadki. No dzieciaki, proszę o inteligentny wyraz warzy. Macie wyglądać tak, jakbyście wiedzieli coś, o czym wasi rodzice nawet nie śnią. Tak, o to chodzi. Świetnie. Ciągłe ich przestawiał. Carlos tu, Bear Sajac tam, Maggie do środka. Dość tych chichotów, dzieciaki. Ten obrazek ma być poważny. Macie wszyscy wyglądać mądrze i inteligentnie. Tennant przycisnął spocone czoło do chłodnej szyby wystawowej. Mądrze wyglądać. Pamiętał, jak Obe go ustawiał. To jest kompozycja, dzieciaki, nie jakieś pamiątkowe zdjęcie, które wysyła się babuni. Popatrzcie na mnie. Popatrzcie w moją stronę!

Właśnie. Popatrzcie.

Tennant odsunął się nagle od szyby, tak jakby była pod napięciem.

- O co chodzi, Harry? - spytała Alison.

Tennant szybkim krokiem wrócił na skrzyżowanie. Stał naprzeciwko kościoła, dokładnie w miejscu, gdzie kiedyś stał Obe.

- Przed kościołem stał tłum - zaczął cicho. - Było coraz więcej ludzi. Pojawiali się dosłownie

znikąd. W ciągu minuty plac przed kościołem zaludnił się. Najpierw pojawili się mężczyźni w ciemnych garniturach, a zaraz potem zaczęli się gromadzić inni.

- Dlaczego?

Dlaczego, Harry? Dlaczego? Powiedz jej. Powiedz swemu dziecku.

Tennant zmarszczył brwi. W księgarni przy kościele paliło się światło. Drzwi kościoła były otwarte. Jakiś mężczyzna stał nieruchomo w cieniu. Podniósł rękę na wysokość ucha, tak jakby chciał poprawić włosy, a potem cofnął się bardziej w cień.

- Tłum, Harry. Wspomniałeś coś o tłumie.

Nie spuszczał wzroku z otwartych drzwi kościoła. Postać nie ruszała się teraz.

-Harry - powiedziała dziewczyna.

-Staliśmy w tym miejscu - odezwał się w końcu. - Maggie, ja i pozostali. Staliśmy właśnie tutaj. Obe trzymał swój aparat.

-I co się później stało?

-Ktoś wyszedł z kościoła.

-Kto?

Przez chwilę milczał. Znowu był Harrym sprzed dwudziestu kilku lat. Patrzył na ludzi wychodzących z kościoła.

-Ludzie w ciemnych ubraniach to ochrona.

-Ochrona? Kogo?

Tennant miał wrażenie, że jego myśli pędzą jak lawina. Przez moment nic nie widział, ale potem wszystko się na powrót rozjaśniło, Widział dwoje ludzi wychodzących z kościoła.

Ochroniarze otoczyli ich kręgiem, oddzielając tę parę od tłumu. Ludzie śpiewali Kochamy cię, Bobby. O tak, kochamy cię. Maggie uniosła w zachwycie ręce do góry. Pamiętał jej jasną twarz, pamiętał ten świetlisty uśmiech.

- Bobby i Ethel Kennedy wyszli wtedy z kościoła. Kierowali się do Fairmont Hotel na Nob Hill. To był dzień przed wstępnymi wyborami w stanie California. Kolejny punkt programu kampanii prezydenckiej Bobby'ego. Sądzę, że był w kościele na mszy. Wokół niego i jego żony tłoczyli się różni ludzie. Osoby, które wykrzykiwały na głos życzenia pomyślności. Ochroniarze. Ludzie śpiewali. Kochamy cię, Bobby.

Tennant widział to wszystko. Bobby wyglądał na dziwnie zmęczonego, tak jakby już wtedy czuł ciężar własnej śmierci. Ethel promieniała, ale i w jej uśmiechu Harry dostrzegł jakiś cień smutku. Oboje byli skazani, choć sami jeszcze o tym nie wiedzieli. Nazajutrz, w klinice przy Ambassador Hotel, Bobby Kennedy umrze od ran postrzałowych.

Klinika.

Ale Tennant czuł, że nie o to mu chodziło. Co innego wtedy wskazywał.

-Widziałem coś - powiedział.

-Co, Harry?

Coś. Kogoś jeszcze. Nie mógł sobie przypomnieć dokładnie kto to był. Pamiętał tylko, że podniósł rękę i wskazał coś palcem.

Twarze pozostałej czwórki odwróciły się w tamtą stronę. Obe również spojrzali we wskazanym kierunku.

- Co widziałeś, Harry?
- Nie mogę sobie przypomnieć...
- Harry.
- Nie potrafię...
- Spróbuj. To już ostatnia przeszkoda.

Thumy, ochroniarze, część trzyma w rękach walkie-talkie. Bob- by i Ethel wychodzą z kościoła. To wszystko widział wyraźnie, ale nie mógł sobie przypomnieć, co przyciągnęło wtedy jego uwagę. Na negatywach, które widzieli w domu Karen Obe zauważył, że w jego geście było coś niezwykłego, tak jakby był zaskoczony tym, co widział. Kogo widział i rozpoznał?

Nie potrafił odtworzyć w pamięci tamtego obrazu.

Jakimś strzępem świadomości zarejestrował obecność brązowego samochodu, który zatrzymał się w pobliżu kościoła. Mężczyzna przy drzwiach spojrział na samochód i dał jakiś znak ręką. Trudno było domyślić się, co miał znaczyć ten ruch. Szybki i krótki gest zaniepokoił Tennanta. To nie to miejsce i czas, myślał. Wóz ruszył w kierunku skrzyżowania. Mężczyzna w drzwiach znowu znieruchomiał.

- Spróbuj, Harry - poprosiła Alison. - Postaraj się.

Pamięć Tennanta była wrakiem na dnie morza. Podniósł rękę i pokazał coś. Ale co? Ten obraz został wymazany. Kazano mu

o tym zapomnieć. Ktoś wkradł się do jego mózgu i zabił te wspomnienia. Zabił jego. Oparł się o ścianę. Z trudem utrzymywał się na nogach. Ktoś kazał mi o tym zapomnieć, myślał. Wkraczał na zakazane terytorium, otoczone drutem kolczastym i znakami zakazu wstępu. O taki drut łatwo się skaleczyć. Patrzył jak brązowy samochód mija skrzyżowanie. - Harry - powtórzyła dziewczyna. Tennant poczuł, jak potrząsa jego ramieniem. Walczył z własną pamięcią. Szukał. Nic. Bobby, Ethel, ochrona, pozdrowienia, śpiew I nic poza tym. Spojrzał na Alison. W głowie miał pustkę. Wciąż powtarzał sobie w myślach: Odwróć stronę, Harry. Zastanów się. Co widziałeś tamtego dnia? Mężczyzna w drzwiach zrobił krok w przód. Wyszedł z cienia. Tennant czuł, że coś jest nie tak. Przeszłość i teraźniejszość stały zbyt blisko siebie. Granica między nimi zacierała się. Coś zgrzytnęło w trybach zegara wszechczasów. Mężczyzna po drugiej stronie ulicy podszedł do krawężnika i zatrzymał się, patrząc wprost na Tennanta. Harry zatracił poczucie różnicy między tym, co się zdarzyło wtedy, a tym, co się działo teraz. Niewidzialna granica znikła. Przeszłość, czy teraźniejszość, jakie to miało teraz znaczenie. Był zawieszony w próżni czasowej. Osunął się w jedną ze szczelin w niesolidnych piętrach lat. Rayland Tennant szedł w jego kierunku. Harry ciągle nie mógł się wydostać z tej mieszanki przeszłości z chwilą obecną. Słyszał śpiewający tłum, widział Bobby'ego i Ethel otoczonych przez ich zwolenników i przez ludzi z

ochrony. Obrazy

i dźwięki plątały mu się w głowie. Rayland przeszedł przez ulicę i stanął w niewielkiej odległości od nich. Miał posępną minę.

Tennant już wiedział, co widział na ulicy tego dnia, kiedy Bobby Kennedy udał się do St.Mary's na swoją ostatnią mszę.

- Ostrzegałem cię, żebyś trzymał się z dala od tego, Harry - powiedział Rayland. - Ostrzegałem cię.

Tennant nie słyszał go.

- Widziałem cię wtedy tutaj. Widziałem cię w tłumie.

Rayland był spokojny.

- Widziałeś mnie. I kogo jeszcze?

- Ciebie i Harkera. Byliście razem tamtego dnia.

Tennant spojrzał w kierunku skrzyżowania. Czekoladowy samochód zawrócił i jechał teraz w ich kierunku. Harry wycełował palcem w pierś swego ojca. Pchnął go trochę za mocno, starszy człowiek zachwiał się i cofnął o krok.

- Zastanawiałem się wtedy: Co do diabła robi tutaj Harker ze swoimi ludźmi. Przecież oni nie należą do zwolenników Kennedyego. Byli jego przeciwnikami, jak wszyscy kołesie z Pentagonu. Byli wrogami wszystkiego, o co walczył Bobby Kennedy. Co więc tam robili?

- A co oni tam takiego robili, Harry?

Tennant widział teraz wszystko bardzo wyraźnie.

Ciembrazowy samochód sunął wolno w ich kierunku.

- Ty i Harker staliście trochę z boku. Rozmawialiście z kilkoma facetami z osobistej ochrony Kennedy'ego. Jeden z tych ludzi miał w ręku małe radio walkie-talkie.

- TaJc, Harry?

- Zauważyłeś mnie. Przypadkiem spojrzawsz w naszą stronę

i zauważyłeś mnie. W tym samym momencie, kiedy ja spostrzegłem ciebie i Harkera. - Tennant umilkł. Rayland z pochyloną głową mówi coś, a ci z ochrony słuchają go. Noel Harker w filcowym kapeluszu stoi niepewnie, jak ktoś, kto się obawia, że zostanie zauważony, rozpoznany. Rayland odwraca się i patrzy w kierunku Obe. Harry Tennant, który nie powinien tam się wtedy znajdować, podnosi rękę. Migawka. Obraz zostaje uwieczniony. Piątka dzieciaków na zdjęciu. Zderzenie dwóch różnych rzeczywistości. Mordercze przymierze. Przypadek w historii.

- A co potem, Harry?

- Potem Bobby Kennedy został zabity.

Rayland odwrócił się w kierunku brązowego samochodu. Był zdenerwowany i spięty. Przez chwilę patrzył na Alison, po czym znowu spojrzawsz na syna.

-A ty powiązałeś sobie moją obecność na ulicy tego dnia, z morderstwem Kennedy'ego?

Powiązałeś. To była najłatwiejsza, a zarazem najtrudniejsza część.

-To było tak, jakbyś wsunął but między drzwi, Rayland. Miałeś tam swoich ludzi. Nie wiem jakim cudem, ale zdołaliście się wkupić w krąg otaczający Kennedy'ego. Odwróciliście uwagę ochroniarzy. A może oni okazali się zbyt wolni. Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że wtedy nie spełnili swego zadania, co Rayland? Nie uważali wystarczająco długo, żeby Shiran Shiran zdążył odegrać swoją rolę.

- Shiran był szaleńcem, a poza tym działał sam, Harry.

-Tak, tak. Tylko, że według mnie wszystko odbyło się nieco inaczej. Shiran był jednym z waszych ludzi. Może kazałeś Lan- niganowi poprzestawiać mu w mózgu, tak samo, jak to zrobił ze mną i z Maggie. Może, nie wiem, Rayland, ale na pewno nie kupię tych twoich bajeczek, że nie macie z tym nic wspólnego. Ty

i Harker rozegraliście wszystko. Shiran był tylko pionkiem.

Rayland chwycił mocno rękę Harrego,

- To wszystko, co masz. Domysły. Twarze w tłumie. Stare dzieje. Nic konkretnego.

- Konkretnego? Jezu Chryste, Rayland, jak możesz stać tutaj

i prawić mi o konkretach? Część z nas nie żyje. Pozostałym

rozpieprzyliście dokumentnie życie Wszystko po to. , 'ebv zatrzeć wasze cholerne krwawe siady Nie n mi o udowadnianiu czegokolwiek. Nie mam zamiaru słuchać o twoich konkretach. Wi-
działem, co widziałem. Tak samo jak tamci biedacy Nieszczęśliwym trafem natknęli się na fotografa, który chciał im zrobić zdjęcie. Tennant nie mógł znieść dotyku Rayntnda. Wyrwał rękę z uścisku ojca.

- I mnie obarczasz winą za to, co is i. nim¹ stało¹

- Tak, winię ciebie. Czego się spodziewałeś, że dam u za to nagrodę?

- Nic nie rozumiesz, Harry.

- A co niby mam rozumieć? Byłeś zamieszany w morder^-o Kennedy'ego. Próbowaliście zatrzeć ślady. Zabiliście tamte dzieciaki. Reszcie zrujnowaliście życie. Czy tu jest coś do rozumienia¹ Nre istnieje nic, co mogłoby usprawiedliwić to. co zrobiliście I nie wciskaj mi kitu o tym, że to nie zależało od ciebie, rc nie tv podejmowałeś decyzje...

- Wciąż jesteś naiwny - przerwał mu Rayland. - Brak a poczucia rzeczywistości.
- Odpieprz się, Rayland.
- Spróbuj spojrzeć na to z mojego punktu widzenia, Harry.

Niektóre partie były zdania, całkiem słusznie zresztą, że Bobby oznaczałby dla naszego kraju totalną klęskę.

Całkiem słusznie. Typowy zwrot Raylanda.

- Jakie partie? Te twoje dupki z Pentagonu? Kolesie Noela Harkera? Kompani od interesów z bronią? Kennedy nie podobał im się, czyż nie tak?

- Kennedy nie podobał się wielu ludziom - odparł Rayland.

To wszystko nie jest aż tak oczywiste, jak ci się zdaje, Harry.

Szukasz prostych odpowiedzi, ale takie po prostu nie istnieją. To zbyt skomplikowane. Nie byłbyś w stanie tego zrozumieć.

- Co jest skomplikowane? Według mnie to cholernie proste, Rayland. Bobby chciał zakończyć tę idiotyczną wojnę. Mówił; koniec z Wietnamem, a to oznaczało koniec zysków dla twoich przyjaciół. Nie mieliby dokąd wysyłać tych swoich drogich i wydumanych maszynek do zabijania. Ja właśnie tak to rozumiem. | Zabijaliście ludzi. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości | Rayland. Jesteś takim samym potworem, jak tamci.

- Potworem, Harry? - Starszy mężczyzna patrzył na Tennanta z wyrazem głębokiego smutku w oczach. - Czy potwór chroniłby swego syna przez te wszystkie lata? Czy potwór oszczędziłby Maggie Silver tylko dlatego, że nosiła twoje dziecko? - Rayland uśmiechnął się smutno do Alison. - Nie sądzę, Harry. Potwór pozbyłby się ciebie na samym początku. Tego właśnie chciał Harker. Chciał, żebyś się znalazł, jak on to określał, głęboko pod ziemią. Chciał się ciebie pozbyć raz na zawsze. Próbowałem cię chronić. Ciebie i twoje dziecko.

Moje dziecko, pomyślał Tennant. Córeczkę Maggie.

- Ty to nazywasz ochroną? Piękne określenie jak na cholerną zabawę z ludzkim mózgiem.

- Zrobiłem co było w mojej mocy. Zrobiłem to, co musiałem.

- Tak. Świetny z ciebie tatuńcio. Nie mógłbym pragnąć lepszego.

Alison dotknęła ramienia Tennanta. W innych okolicznościach Harry mógłby uznać, że ojciec wyciąga do niego rękę na zgodę. W tej chwili gest wydał mu się obrzydliwy, przegniły. Spojrzał na Alison. Była blada. Blask jej oczu zniknął. Tennant otoczył ją ramieniem i przyciągnął do siebie. Wtuliła twarz w jego płaszcz.

Brązowy samochód zbliżał się do miejsca, w którym stali. Harry patrzył, jak jego koła wjeżdżają na krawężnik. Tylne drzwi otworzyły się.

Znał ludzi, którzy wysiedli z samochodu. Pierwszy był Noel Harker. Na jego ciemnej twarzy malowały się złość i determinacja. Za Harkerem stanął gruby Walter Swin, agent ubezpieczeniowy z portfelem pełnym plastikowych dowodów tożsamości, tym razem nie miał okularów przeciwsłonecznych. Na samym końcu z samochodu wysiadł Frank Rozak, fałszywy

adwokat, człowiek Raylanda. W dużej, powykręcanej przez reumatyzm dłoni trzymał pistolet.

Na szybki znak Raylanda mężczyźni zaczęli okrążyć Tennanta. Harry odsunął od siebie dziewczynę. Uciekaj, powiedział tylko, ale Alison nie ruszyła się. Powiedziała mu przecież, że jest z nim do samego końca. Tu właśnie był koniec. Tu kończyła się ich droga.

Przyciągnął ją znowu do siebie i spojrzał na swego ojca. Twarz Raylanda wyrażała bezgraniczny smutek.

- Proszę, żebyście, ty i Alison, wsiedli do samochodu - powiedział Rayland spokojnie. - Bez żadnych przedstawień.

Szamotanina na ulicy nie była oczywiście w stylu Raylanda Tennanta. Z takimi sprawami znacznie lepiej radził sobie w miejscach mniej publicznych. W jakichś ciemnych zakamarkach, klinikach, prywatnych klubikach, w których spotykał się z innymi, żeby ustalić bieg historii. Kto umrze, a kto będzie żył? Maklerzy na giełdzie władzy. Skorumpowani, zbrodniarze.

- Dokąd chcecie nas zabrać?

Rayland nie odpowiedział. Zresztą, Tennant i tak wiedział. Ludzie Raylanda otoczyli ich. Harry pomyślał o broni, ukrytej w kieszeni płaszcza. Nie miał innego wyboru. Musiał spróbować. Szybko sięgnął do kieszeni i wy dobył broń. W tym samym momencie Noel Harker uderzył go pięścią w szyję. Ogłuszony ciosem, wypuścił taurusa z ręki. Rozak natychmiast podniósł go z ziemi.

Noel Harker uderzył go jeszcze raz. Szybki, prosty cios w gardło. Zrobił to z taką satysfakcją, jakby całe lata czekał tylko na to, by móc zadać Tennantowi ból. Osobista zemsta. Wyrównanie rachunków z Raylandem Tennantem. Chcę załatwić twego chłopaka. Chcę zabić tego sukinsyna.

- Dość - powiedział Rayland. - Wystarczy, na miłość boską. Wystarczy, Harker.

Harry osunął się na kolana. Nie mógł wydobyć z siebie głosu. Podniósł głowę i spojrzał na Alison. próbując powiedzieć cokolwiek, sam nie wiedział co. Noel Harker brutalnie postawił go z powrotem na nogi. Przez chwilę Tennant patrzył prosto w jego oczy, pełne wrogości i wściekłości. Ten człowiek był zdoiny do wszelkiego okrucieństwa. Tennant z przerażeniem stwierdził, że nienawiść tego człowieka nie ma żadnych granic.

Pociągnięto go do samochodu. Przez cały czas miał przytknięty do żeber pistolet Rozaka. Tennant czuł odrazę. Znalazł wystarczająco dużo siły, by uderzyć Rozaka łokciem w klatkę piersiową. Mężczyzna na chwilę stracił równowagę, ale ten moment trwał zbyt krótko, aby Tennant zdążył chwycić dziewczynę i wyrwać się tym ludziom. Harker, pomimo protestów starego Raylanda uderzył Harry'ego pięścią w twarz. Ktoś chwycił go pod ręce i dosłownie cisnął na tylne siedzenie samochodu. Jak przez mgłę docierało do niego, że Alison, pomimo protestów przekleństw i zacieklej walki, została wepchnięta na siedzenie obok niego. Dziewczyna dotknęła jego twarzy. Zdawało mu się, że na jej palcach zobaczył własną krew.

Poprzez nawracające fale piekielnego bólu dotarło do niego, że zna skądś człowieka, który siedział z przodu. Mężczyzna odwróci! się.

- Tym razem wyleczymy cię dokładnie, Harry. - Lannigan uśmiechnął się do niego w ten swój cholernie uprzejmy sposób.

Tennant usłyszał odgłos zamykających się drzwi. Nie tylko samochodu. Wszędzie zamykały się drzwi. Jedne po drugich.

Nie wiedział dokąd go zabrano i jak długo spał. Kiedy się obudził, wszystko wokół było białe. Odwrócił głowę i zobaczył małe okienko tuż pod sufitem. Wpadało przez nie do środka szare światło.

Już wiedział.

Próbował się podnieść, ale nie mógł. Był przywiązany do łóżka pasami. Bezskutecznie szarpał się. Czuł jak krew odpływa mu z twarzy. Miał suche usta. Dziaśła przykleiły mu się do warg. Dawano mu jakieś leki. Środki uśmierzające ból. Wiedział, że to tylko początek. Potem naszprycują go narkotykami, po których człowiek nie ma siły się poruszać.

Zapadł w krótki sen.

Kiedy się znowu obudził, zdawało mu się, że przypomina sobie jakąś postać stojącą przy jego łóżku i ostrożnie wbijającą igłę w jego ramię. Nie czuł zastrzyku. Znowu zasnął. Później dano mu trochę wody. Pił powoli, przez słomkę. Dostał jeszcze jeden zastrzyk. Nie miał pojęcia, jak długo to wszystko trwało. Czas przestał istnieć, dzielił się na tysiące sennych fragmentów, między którymi pojawiał się Lannigan - przyjacielski, uśmiechnięty, w koszuli z podwiniętymi

rękawami. Mówił coś cicho, tak jak nauczyciel, który tłumaczy coś nieposłusznemu uczniowi.

Czasami człowiek nieświadomie zbliża się do krawędzi, boyo, robi krok i zanim zdąży się zorientować, leci w przepaść.

Musimy wyciągnąć cię z tego, Harry. Musimy cię naprawić i dostroić. To naoliwimy, tamto wymienimy, dokręcimy wszystko jak trzeba. Znowu będziesz doskonałą całością. Będziesz chodził jak szwajcarski zegarek.

Tennant zaklął i szarpnął pasy, którymi był przywiązany do łóżka. Szarpał się tak długo, aż poczuł nieznosny ból w mięśniach. Pieprz się, Lannigan. Nic jestem żadną cholerną maszyną.

Mylisz się. Harry. Wszyscy jesteśmy maszynami. Cudownymi maszynami. Skomplikowanymi. ale wspaniałymi. A co najważniejsze, jesteśmy maszynami, które można ..naprawiać". Możemy się odnawiać. regenerować.

Znam twoje sposoby regeneracji, Lannigan.

Śpij spokojnie, boyo.

Nie chcę spać ty sukinsynu.

Tennant poczuł ukłucie igły. Jego gniew rozproszył się. Spał śniąc o niczym. Obudził się z uczuciem wielkiego pragnienia. Wciąż był przymocowany do wąskiego, twardego łóżka. Wiem, co widziałem w San Francisco, myślał. Wiem, co się tam zdarzyło. Nie zdołają tego wymazać. Nie pozwolę im. Bez względu na wszystko, będę się tego trzymał.

Zastanawiał się, dokąd zabrali Alison. Nawet zapytał o to Lannigana, ale ten odpowiedział mu tylko, że wkrótce ją zobaczy. Zaufaj mi.

Zaufać temu człowiekowi?

Lannigan mówił spokojnym, wyciszonym głosem: Czasami mamy urojenia, Harry. Zdaje nam się, że widzimy rzeczy, które tak naprawdę nie istnieją. Doświadczamy czegoś, co ja nazywam fałszywymi wspomnieniami. Wierzmy, że coś się zdarzyło, podczas gdy w rzeczywistości nic takiego nie miało miejsca. W tym właśnie cały problem.

Tennant z całych sił zaciskał powieki i starał się myśleć o Alison. Jeżeli skoncentruje swe myśli

na dziewczynie, wygra z narkotykami i z Lanniganem, przezwycięży te chwile, w czasie których odpływał w ciepłe i spokojne fale oceanu snu. Czasami, kiedy Lannigan przychodził do pokoju Tennanta, Harry ciskał w niego wszelkimi przekleństwami. Wtedy Irlandczyk tylko długo wzdychał. Lannigan zachowywał się tak, jakby winił siebie samego za niepowodzenia swoich pacjentów. Zdawało się, że frustrowała go nieudolność medycyny. Jego westchnienia były jak drzazgi.

Nocami Tennant walczył z narkotycznym snem, próbując skupić swe myśli na wiszącym za oknem księżycu albo na szumie padającego deszczu. Wywoływał w wyobraźni twarz Alison. Czasami

mi myślał o niej tak intensywnie, że jej obraz rozmazywał się. Wtedy Harry wpadał w panikę. Pocił się, miał dreszcze, nie mógł opanować łomotu serca. Krzyczał, ale nikt nie przychodził. Jego głos umierał bez echa. Nie mógł się wydostać poza białe ściany.

Pewnego ranka Lannigan zapytał go: Co pamiętasz o Maggie Silver?

Kochałem ją, odparł Tennant.

A gdybym ci powiedział, że ona nie istniała?

Uznałbym, że masz nasrane w mózgu.

A co byś powiedział na perspektywę spędzenia tutaj sporego kawałka swego życia, Harry? Tylko ty i ja? Już raz tak przecież było. Wtedy rozmawialiśmy całymi godzinami. Opowiadałeś mi o swoich problemach.

Nie pamiętam tego, Lannigan.

Chcesz zobaczyć swoją kartę? Mam ci puścić nagrania twoich zwierzeń? Czy wtedy

uwierzyłbyś mi? Spędziłeś w tym miejscu ponad rok, Harry.

Tennant pokręcił przecząco głową. Nigdy tutaj nie był. Wiedział to na pewno.

Pewnie twierdziłbyś, że twoje akta zostały sfałszowane, czy tak?

Tak.

Jesteś uparty. Kiedy przywieźli cię tutaj po raz pierwszy było z tobą naprawdę źle. Ciągłe słyszałeś dzwony i krzyki mew, panicznie bałeś się telefonów. Nie uwierzyłbyś teraz, gdybym ci opowiedział, co wtedy wyprawiałeś. Wyciągnęliśmy cię z tego. Naprawdę opiekowaliśmy się tobą troskliwie. Tak było, Harry. To ja prowadzę to miejsce, więc wiem o wszystkim, co się tutaj dzieje. W tej klinice leczymy udęczone dusze. Przynosimy ulgę cierpiącym. Z tobą niezupełnie nam się udało. Zawiedliśmy cię, boyo.

Nie nabierzesz mnie, Lannigan. Nie uda ci się dostać do wnętrza mojej czaszki.

Lannigan uspokoił go. Działał delikatnie i ostrożnie. Narkotyki wstrzykiwano Harry'emu trzy albo cztery razy dziennie, potem przychodził Lannigan i oferował mu swoją pomoc w przezwyciężeniu kryzysu. Obiecował mu, że już niedługo nie będzie musiał leżeć przywiązany do łóżka, że wkrótce usuną te upokarzające pasy imocowania, będzie mógł sobie chodzić gdzie będzie chciał, czy to nie będzie wspaniałe?

Kolejne dni mijały. Harry poznawał to po zmieniających się za oknem kolorach. Ludzie wchodzili i wychodzili. Przynosili mu wodę, leki i jedzenie. Czasami jakaś pielęgniarka zmieniała mu ubranie, jedną luźną, zieloną koszulę na inną, podobną. Tennant zaczął inaczej postrzegać czas. Teraz odmierzał go za pomocą światła, a nie zegarów. Wciąż starał się skupić swe myśli na dziewczynie. Nie chciał tego zapomnieć, za nic.

Czasami w ogóle nie słuchał tego, co mówił do niego Lannigan. Zamykał po prostu oczy, a Irlandczyk ciągnął swoje monotonne wywody. Jego spokojny, opanowany głos wślizgiwał się do mózgu Harrego.

Kiedyś Tennant zapytał Lannigana: Ile ci za to płacą? A może dla ciebie jest to raczej sprawa poglądów politycznych, co?

Lannigan przez chwilę masował kościstą dłonią ramię Harrego. Był to jeden ze sposobów “leczenia”. Kuracja dłońmi. Guru z kliniki rozdziela spokój pomiędzy swoich wiernych.

Nie ma nic za darmo, Harry.

Więc ile ci płacą, Lannigan?

Irlandczyk miał doskonale wypracowaną metodę unikania bezpośrednich odpowiedzi na pytania, jeszcze jeden element “kuracji”. Interesuje mnie, na jakich zasadach funkcjonuje tak wspaniały zegar jakim jest ludzki mózg. Lubię określać się mianem badacza.

Badacza, któremu nieźle płacą. Zarabiasz kupę krwawej forsy. Utrzymanie tej kliniki sporo kosztuje. A >v politykę się nie mieszam. W grę na pewno wchodzi spore sumki, co?

Powiedzmy, że pochodzą one od organizacji dobroczynnych, Harry. Nie powinieneś zaprzętać

tym sobie głowy. Ty jesteś tutaj, aby wyzdrowieć.

Albo zwariować do reszty. Powiedz mi jak to było z Shiranem. Czy on też był klientem centrum odnowy Lannigana?

Paul Lannigan uśmiechnął się, a potem westchnął. Przez cały czas masował ramię Tennanta wolnymi kolistymi ruchami. Nie sądzę, abyś znalazł to nazwisko w naszych aktach, Harry. Czasami masz bardzo dziwne pomysły.

Pewnego popołudnia - a może to był już wieczór, Harry stracił już rachubę czasu - Lannigan powiedział mu, że Rayland Tennant nie był w San Francisco tego dnia, kiedy zamordowano Kennedyego. Masował Tennantowi szyję. Jego ręce pachniały lekami. To, co jak twierdzisz widziałeś, tak naprawdę nigdy się nie zdarzyło. Rozumiesz? Twego ojca tam nie było, ani wtedy, ani później. Czy to do ciebie dociera, Harry? Nie było tam również Noela Harkera. Czy to jasne?

Tennant czuł, jak palce Lannigana wciskają się w jego ciało. Nie potrafił się uwolnić od tych rąk. Próbował odwrócić głowę na bok. ale uniemożliwiały mu to pasy. Wciąż powtarzał sobie w myślach: Widziałem Raylanda. Widziałem Harkera. Widziałem ich obu w 1968 i widziałem ich później znów...

Kiedy? Kiedy to było?

Jaki to był dzień, miesiąc, rok? W jego mózgu nie istniał już podział na tygodnie i miesiące. Kalendarz przestał istnieć.

Ktoś zakrył małe okienko w jego pokoju. Nie miał teraz pojęcia czy był dzień, czy noc. W pokoju przez cały czas było ciemno. W jego życiu było ciemno. Zagłębiał się coraz bardziej w

ciemną toń mętnej wody. Stracił czucie w nogach. Nie czuł również bicia swego serca. Kiedy przychodzili robić mu zastrzyki, nie czuł ukłucia igły.

Wciąż jednak walczył. Walczył z pragnieniem zamknięcia oczu. Walczył ze snem, a kiedy przegrywał tę nierówną walkę i zasypiał, walczył z marzeniami sennymi. Szeptał sam do siebie. Nazywam się Harry Tennant. Nazywam się Harry Tennant. Wiem, co widziałem. Pamiętam Alison. Pamiętam obojętną twarz Maggie. Nie uda się tego wymazać, Lannigan. Nie tym razem.

Widzisz, Harry, wszystko czego chcę, to żeby poprawił się stan twojego zdrowia psychicznego. Jesteś w rozsypce, Harry, na najlepszej drodze do szaleństwa. Zawróć, pozwól mi cię poprowadzić. Porzuć tę cholerną ścieżkę i chodź ze mną. Bądź rozsądny. Sam niczego nie osiągniesz.

Wytrzymaj, Tennant. Nie słuchaj go.

Znowu robili mu zastrzyki. Nie potrafił ich nawet zliczyć. Leżał obojętny na wszystko, co się wokół niego działo. W pokoju było zawsze ciemno. Tęsknił za światłem. Prawie cały czas czuł pragnienie, ale nikt nie przynosił mu już wody. Osłabiony, rozgorączkowany, z nieustannym, ćmiącym bólem głowy - wrak człowieka. Zatracał poczucie tego, co jest rzeczywistością, a co tylko snem.

Jacyś ludzie wchodzili i wychodzili. Byli dziwnie niematerialni. Przepływali obok jego łóżka, pochylali się nad nim, na siłę podnosili mu powieki, dotykali i odpływali. Harry uroił sobie, że może latać, ale kiedy siłą woli próbował unieść się z łóżka, nie dawał rady. Jego odleżyny podeszły krwią. Ciało miało zapach śmierci.

Raz dobiegł go dźwięk dzwonu z jakiejś odległej wieży. Wielka mewa przeleciała przez jego pokój głośno uderzając skrzydłami. Na chwilę zawisała tuż nad jego twarzą. Poczł woń wygłodniałego ptaszyska, bał się jego drapieżności. Krzyczał o pomoc, ale nikt się nie zjawił. Muszę się trzymać, myślał, Ale czego właściwie miał się trzymać? Alison? Maggie? Mglatego wyobrażenia o samym sobie? Dziwny świat, myślał. Kruchy. Jeżeli uderzysz, rozprysnie się jak kryształ.

Lannigan szeptał mu prosto w ucho. Pozwól sobie pomóc, Harry. Znam pewien sposób.

Czy to mu się tylko śniło? Palila go gorączka. Płomienie rujnowały kolejne piętra jego ciała zostawiając po sobie tylko popiół. Pocił się. Chciał utonąć we własnym pocie. Zagasić trawiący go ogień.

Lannigan szeptał. Będę dla ciebie dobry, Harry. Tylko musisz mi zaufać. Rozumiesz co do ciebie mówię? Mogę ci pomóc. Brałeś zbyt wiele lewych narkotyków, krzywdziłeś sam siebie, ale nie wszystko jeszcze stracone. Pomogę ci, jeżeli mi na to pozwolisz.

Tak, pomyślał Tennant. Chcę, żebyś mi pomógł.

Pewnego dnia pozwolono mu przespacerować się po pokoju. Miał wrażenie, że jego nogi są z waty. Widzisz, Harry, powiedział Lannigan, jest coraz lepiej. Już niedługo będziesz mógł stąd

wyść, robić to, co będziesz chciał. Ale jeszcze nie teraz. Musimy jeszcze porozmawiać.

1 rozmawiali. Tennanta zabierano do biura Lannigana, dużego pokoju, w którym stały skórzane fotele i było mnóstwo roślin. Każdego popołudnia rozmawiali przez godzinę. Potem Tennant wracał do swego białego pokoju. Nigdy nie pamiętał tego, co do niego mówił Lannigan. Z łóżka usunięto pasy i uchwyty. Odsłonięto też okno. Harry był im za to wdzięczny. Czasem wiatr stukał w szybę uschniętą gałęzią drzewa.

Jaka była teraz pora roku? Nie miał pojęcia. Spotkania z Lanniganem wydłużały się. Irlandczyk często świecił Tennantowi w oczy małą iatareczką i mówił coś spokojnie. Trzeba cię uwolnić, Harry, odciążyć cię, pozbierać w jedną całość, ale na to potrzeba czasu. Na wszystko potrzeba czasu. To nie jest tak proste, jak spacer po parku, Harry. To musi trochę potrwać. Musimy sobie zaufać. Musimy przejść przez to razem.

Ufasz mi, boyo?

Tennant przytaknął. Nie widział powodu, dla którego miałby nie ufać Lanniganowi. W tym nieprzyjaznym miejscu, gdzie korytarze rozbrzmiewały krzykami obcych ludzi, gdzie jakieś ręce bezustannie uderzały w klawisze rozstrojonego pianina, Lannigan był jedynym jego sprzymierzeńcem.

Czasami, po tych wspólnych rozmowach, Harry zapadał w stan głębokiej depresji. Miał wtedy wrażenie, że otacza go czarna pustka, z której nie sposób się wydostać. Czasami siadał na łóżku i zaczynał płakać. Płakał godzinę, dwie, zupełnie nie wiedząc dlaczego. Czuł, jakby coś w jego wnętrzu rozdzierało go boleśnie, jakby ktoś wbijał mu w serce sopel lodu. Uderzał się dłońmi po

udach albo bił pięściami w ściany. Brałem za dużo narkotyków. Złych narkotyków. Lewe dragi z ulicy, LSD mieszane z cyjankiem. Anielski pył. Wszystko.

Lannigan pomagał mu wyjść z depresji. Ciągłe zapewniał go, że da sobie radę, że wszystko będzie O.K.

Tak, Lannigan. Oczywiście.

Pewnego dnia Lannigan zapytał go, czy chciałby się zobaczyć z Alison. Tennant długo się zastanawiał skąd zna to imię. Raz nawet prawie mu się udało przypomnieć, ale obraz natychmiast rozplynął się we mgle. Lannigan wyglądał na zadowolonego. Dobrze ci idzie, powiedział. Wkrótce będziesz mógł wyjść do parku.

Wiele dni później Irlandczyk znowu spytał o Alison. Tennant spojrzał na niego ze zdziwieniem. Nie znał nigdy kogoś o tym imieniu.

Potem pozwolono mu spacerować po parku w towarzystwie pielęgniarza, który miał na imię Charlie. Charlie był miłym kompanem do rozmów. Na dworze było bardzo zimno, ale świeciło słońce. Harry lubił te spacerki, chociaż czuł się po nich trochę zmęczony.

Śnił o swoim ojcu. Nie mógł sobie dokładnie przypomnieć jego twarzy. Przyjmował to ze spokojem. Lannigan powiedział mu

przecież. że dobrze jest zapominać pewne rzeczy z przeszłości. Nigdy nie mógłby wyzdrowieć, gdyby nie zapomniał.

Coraz częściej spotykał Lannigana. Czasami trzy albo cztery razy dziennie. Pewnego popołudnia, kiedy Tennant siedział w burze u Irlandczyka. w jego głowie pojawiła się myśl: *Lubię tego człowieka. Wiele mu zawdzięczam. Mam wobec niego dług, którego nigdy nie zdołam spłacić.*

Dobrze zapamiętał ten dzień, kiedy zaprowadzono go do pokoju pełnego stołów i pokazano jak się piecze koszyki. Na początku »-dawało mu się to zbyt skomplikowane, ale w końcu się nauczył, Patrzył na swoje palce przeplatające wiklinę i miał wrażenie, że należą one do kogoś innego. Ta praca dawała mu satysfakcję. Uspokajała go.

- Chciałbyś zobaczyć Allison? - zapytał Lannigan pewnego wieczora.

- Nie przypominam sobie, żebym znał jakąś Allison - odparł Harry.

Lannigan zabrał go wtedy z sali, w której pleciono koszyki, do świetlicy. Jesteś zdrowy, Harry. Twój umysł i dają działają prawidłowo. Teraz popracuj trochę nad kondycją. I Tennant podnosił ciężarki, pocił się, czuł się wspaniale. Nie miał już depresji, ani nagłych napadów płaczu. Życie przestało być dla niego koszmarem.

W czasie spacerów towarzyszył mu teraz nie tylko Charlie. Zabierali ze sobą jeszcze małego człowieczka o imieniu Sammy. Sammy był umysłowo chory', ciągle bełkotał coś o jakichś znakach

i wróżbach. Tennant z nim nie rozmawiał, nie miał o czym.

Powiedział Lannigan owi, że przy Sam mym czuje się dziwnie nieswojo, że tamten człowieczek działa mu na nerwy. Po tej rozmowie Sammy już nie chodził z nimi na spacer.

Na krótko przed świętami, kiedy w biurze Lannigana pojawiły się świąteczne dekoracje, Irlandczyk zapytał Harry'ego. co pamięta ze swojej przeszłości.

Harry odparł, że pamięta swój drewniany domek w lesie i to, że uprawiał wtedy marihuanę.

- A potem?
- Potem trafiłem tutaj.
- Dlaczego?
- Bo byłem bliski nerwowego załamania.
- Aie teraz czujesz się lepiej;.ⁿ
- Teraz czuje się wspaniale
- LubJeś hodować swoją trawkę. Harry?
- Chyba tak. Tak sądzę.

To wystarczyło Lannigan odszedł.

Tenanta nie męczyły i aż żadne sny. Był zadowolony, że jego życie toczyło się spokojnie, planowo. Rozmowy z Lanniganem. Sen, Lekarstwa. Ćwiczenia na siłowni. Czuł, że fizycznie jest silniejszy niż kiedykolwiek przedtem, ale zaczął odczuwać dziwny niepokój. Pewnego ranka zapytał Lannigana. kiedy będzie mógł opuścić klinikę.

- Chcesz stąd wyjść, Harry⁰
- Tak. Czuję się świetnie. Chciałbym wrócić do tego, co kiedyś robiłem.
- To znaczy do uprawy trawki?

-No. czegoś w tym rodzaju,

Lannigan obiecał Harryemu, że się nad tym zastanowi.

Miesiąc, może sześć tygodni po świętach Bożego Narodzenia, Lannigan zapytał Harry'ego. czy' naprawdę czuje się na tyle dobrze, by móc zamieszkać samodzielnie.

-Wszy stko jest w najzupełniejszym porządku - odparł Tennant - tylko zaczynam się czuć, jak by to powiedzieć, ograniczony. Nie chciałbym się okazać niewdzięczny.

Lannigan przysiadł na skraju łóżka.

-Niedaleko stąd jest mała farma. Właśoad chce ją sprzedać Mógłbyś ją kupić, jeżeli cię to interesuje.

-Oczywiście, że interesuje.

-Dobrze. Jest tylko jedno zastrzeżenie: tym razan żadnych narkotyków.

-W porządku.

-Mówię serio, Harry. Możesz sobie uprawiać co chcesz, byłe było to coś, czego ludzie nie mogą palić.

-Pewnie. Kapusta. Kukurydza. Jeszcze aę zastanowię.

-To ważne dla twojego dobra, Harry. Chyba me chcesz mieć kolejnego załamania?

-Nie.

Pod koniec lutego, kiedy poła przykryte były śniegiem, a drzewa wyglądały tak. jakby się miały nigdy nie obudzić, Lannigan zawiózł

O

Harry'ego do małego drewnianego domku stojącego wśród pól i Jasów. Od kliniki dzieliło go tylko dwadzieścia minut jazdy samochodem. Dom wyglądał solidnie. Był prosto i funkcjonalnie umeblowany. Podobał się Tennantowi.

Chciałbym mieć psa, Paul.

- Sądzę, że to dobry pomysł.
- A jeżeli się źle poczuję, to wiem gdzie cię szukać.
- Właśnie. Do kliniki trafisz z łatwością.
- Kto jest właścicielem tego domu?
- Jakaś spółka. Nie pamiętam dokładnie, boyo.

Po tygodniu, podczas którego Harry odpowiedział na tysiące pytań dotyczących jego przeszłości i rodziny, pozwolono mu przeprowadzić się do drewnianego domku. Tennant kupił sobie szczeniaka, ale na razie nie wiedział jak go nazwać.

Chodził na długie spacery po polach. Lubił, kiedy jego stopy zagłębiały się w świeżym śniegu. Spacerował wśród drzew. Często spoglądał na swój nowy dom. Było w nim coś znajomego. Czuł się tu u siebie.

Lannigan wynajął dla niego mały dostawczy samochód. Tennant jeździł nim do pobliskiej miejscowości - do Shelbyville. Mógł tam kupić wszystko, czego potrzebował dla siebie i dla psa. Raz czy dwa razy zatrzymał się przy budce telefonicznej, która znajdowała się przy sklepie. Był przekonany, że powinien do kogoś zadzwonić, ale nie wchodził do kabiny. Nie było przecież

osoby, do której mógłby zatelefonować. Nie wiedział zresztą, dlaczego tak się zachowywał. Muszę się z kimś zaprzyjaźnić, myślał. Wtedy będę miał do kogo dzwonić.

Nie czuł się samotny.

Pewnego dnia, wychodząc ze sklepu, zauważył, że przy jego samochodzie zaparkował szary autobus. Wiedział, że tym autobusem przewożono pacjentów Kliniki. Lannigan wierzył, że kontakt ze światem zewnętrznym ma dobry wpływ na jego pacjentów.

Tennant patrzył w okna autobusu. Przy jednym siedziała blada dziewczyna i przyglądała mu się. Harry'ego zaciekawił wyraz obojętności w oczach dziewczyny. Nie wiedział nawet dlaczego. To był tylko jakiś chwilowy impuls. Tennant wsiadł do swego wozu

i wrócił do domu. Przez całą drogę myślał o dziewczynie. Miała czarne włosy i wielkie, smutne i puste oczy. Wspomnienie jej twarzy

nie dawało mu spokoju. Była jedną z pacjentek Lannigana. Dlaczego znalazła się w Klinice? Czy> była chora? Wziął proszek na uspokojenie i położył się. Zapomniał o dziewczynie.

Jego życie toczyło się spokojnie.

Całe tygodnie nic się nie działo, aż pewnego ranka obudził się z uczuciem strachu. Miał jakiś straszny sen, pełen ludzi, którzy chcieli go skrzywdzić. Ubrana na czarno dziewczyna też była w jego śnie. Tennant szybko się ubrał, wsiadł w samochód i pojechał do Kliniki, do Lannigana.

Irlandczyk uspokoił go, dał mu jakieś leki i masował ramiona.

Harry nie opisał swego snu w szczegółach. Marzenia senne były czasem zbyt niejasne, aby próbować je opowiadać. Powiedział tylko Lanniganowi, że niewiadomo dlaczego źle się poczuł.

- Nie przejmuj się tym, a przede wszystkim nie w padaj w panikę. Wróć do domu, weź coś na

uspokojenie i spróbuj odpocząć.

- Tak zrobię.

Tennant pojechał z powrotem do swego małego domku. Dzień był jasny i mroźny. W domu było zimno. Harry przyniósł drewna i rozpałił ogień na kominku. Potem usiadł na kanapie i przyglądał się buzującym płomieniom. Odczuwał pewien rodzaj zadowolenia, Miał dom, ogień, psa. Czego mógł więcej chcieć?

Idiotyczne pytanie. Miał przecież wszystko. Wszystko, czego potrzebował. Podniósł się i wziął pogrzebacz. Podłożył więcej drewna. Snop iskier trysnął w stronę komina. Żarzący się płatek opadł Harry'emu na dłoń. Tennant syknął i strząsnął go pośpiesznie. Poszedł do kuchni i włożył rękę pod strumień zimnej wody, a potem delikatnie ją osuszył. Wrócił na kanapę i znowu siedział wpatrując się w ogień. Ręka bolała go trochę. Popatrzył na czerwony ślad poparzenia. Nie wiedział dlaczego, ale nagle zaczął myśleć o tamtej dziewczynie z autobusu. Potem jej obraz zniknął, a Tennant został sam z nieznośnym uczuciem żalu.

Wczesną wiosną postanowił zasiać kukurydzę, zieloną fasolę i groszek. Z tyłu za domem oczyścił kawał ziemi. Systematycznie usuwał wszelkie chwasty. Skaleczył się w palce. Krew ściekała strużką do wnętrza dłoni. Harry włożył palce do ust. Poczł smak własnej krwi. Myślał o ponurej twarzy dziewczyny uwięzionej za

szybą autobusu. Ciemne oczy, krótkie, czarne włosy. Może kiedyś w przeszłości, spotkał ją. Nie był tego pewien. W tej chwili czuł ? okropnie samotny.

Usiadł na trawie obok jednej z przygotowanych grządek. Uważnie przyglądał się ziemi. Z domu wyszedł jego pies. Harry pomyślał że powinien w końcu nadać jej jakieś imię. Jasnożółte słońce wisiało na bezchmurnym niebie. Tennant podniósł patyk chcąc rzucić go psu, ale szczeniak jeszcze nie umiał aportować. Harry zaczął kreślić na ziemi linie. Dwie długie, tworzące jak gdyby dwa boki trójkąta połączone krótkim mostkiem. Przyjrzał się temu, co narysował? Litera A.

Nic nie znaczyła. Zdeptał ją butem.

KONIEC